PRZEGLĄD

MIESIĘCZNY.

ROK I.

I

Zeszyt I. Miesiąc Październik 1874.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1874.

Str.

Moralność i wiedza jako czynniki w historyi przez Józefa Szujskiego 3
Bezkarność, przez Stanisława Koźmiana z uwagami wstępnemi przez *** 22
Homer w Polsce (z powodu przekładu Odyssei p. Lucyana Siemieńskiego) przez Hugona Zatheya . 55
Listy z za Atlantyku, przez ** 115
Przegląd literacki 135
Kronika Bibliograficzna 159

PRZEGLĄD
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt I. Miesiąc Październik 1874.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1874.

MORALNOŚĆ I WIEDZA

JAKO CZYNNIKI W HISTORYI.

Prelekcya J. Szujskiego, miana w czerwcu 1874, na korzyść Towarzystwa Śgo Wincentego à Paulo w Krakowie.

Przedmiot dzisiejszego wykładu nasuwał się prelegentowi niejednokrotnie. Wyzywały do podjęcia przedmiotu dosyć zagęszczone między publicznością i młodzieżą książki, wyzywały niektóre pisma peryodyczne, szczególniej warszawskie, od lat kilku objawiające kierunek mocno zdaniu prelegenta przeciwny w sprawie, która go jako trudniącego się historyą obchodzić musiała. Chociaż wzięty z zakresu filozofii a mianowicie filozofii historyi, mniemam, że się nadaje do prelekcyi publicznej; dotyka bowiem spraw najrzeczywistszych, najpowszechniejszych, w samych abstrakcyach gubić się niepotrzebuje a godzien jest zaiste zająć uwagę publiczności.

Długie wieki była historyografia raczej kunsztem pisarskim lub czynem obywatelskim, jak umiejętnością, dziejoznawstwo zaspokojeniem ciekawości, wskazówką dla mężów politycznych raczej, niż powszechnym przedmiotem nauki. Najznakomitsze dzieła historyczne, jakie nam przekazała starożytność i średnie wieki Tucydydes czy Tacyt, Grzegorz Turoneński, czy Froissart, Machiavelli czy Długosz powstały z bezpośredniego, że się tak wyrażę,

potrącenia piszącego, do przedstawienia bliższej lub dalszej przeszłości; niesie je też indywidualność autora, opiniami swemi i sądem wybitna, na współczesnych szczególnie wypadkach znamię swoje wyciskająca. Wszystkim tym ludziom przyświecało Cycerońskie o historyi zdanie, że jest mistrzynią życia. Niepojmowali dziejopisarstwa i dziejoznawstwa w oderwaniu od życia, jako nauki dla siebie. Obok nich, w pewnem już do dzisiejszego pojęcia zbliżeniu spotykamy erudytów historyi, zbieraczy, uczonych zajętych pisaniem jej z książek i opowieści drugich, często pod wpływem potężnym znakomitych osobistości; a jeźli niedorastają oni wielkości dziejopisarzy pierwszej kategoryi, w kunszcie przedstawienia rzeczy często od nich są wyżsi. Takiemi w starożytności są greccy pisarze historyi rzymskiej, takim Liwiusz takimi średniowieczni i humanistyczni kompilatorowie dziejów. Erudycya ta, połączona z krytyką ściślejszą w wieku XVII wydała te ogromy prac historycznych, jakiemi zadziwiają nas Baroniusz i kontynuatorowie, Bollandyści i kongregacya Benedyktynów ś. Maura, erudycya ta wydała pierwsze zbiory historyków, których ogromne foliały każą do dziś dnia podejmować trud podwójny, intelektualny szukania i czytania, fizyczny dźwigania kilkunastufuntowych książek.

Rozpatrując się w tej erudycyi historycznej, do dziś dnia po największej części użytecznej i niezbędnej, widzimy wprawdzie, że ona istnieje dla siebie, że potrącenia do życia i ruchu od samej siebie odbiera, że szukanie prawdy faktów, sprawdzanie autentyczności dokumentów np. jest jej pobudką i czynnikiem ożywiającym, ale nie widzimy jeszcze dążenia do objęcia nagromadzonych faktów w jednę całość, przejętą myślą do nich przystającą, ustawienia ich w pewien system umiejętny, który dzisiaj spotykamy. W historyach powszechnych po dziejach czterech monarchij starożytnych: babilońskiej, assyryjskiej, perskiej macedońskiej i królów żydowskich, następują zwyczajnie systemem średniowiecznym: *Vitae Imperatorum et Pontificum* jako główne tło historyczne, zresztą rozbiegają się dzieje w historye szczegółowych królestw, około tego wielkiego ogniska. Jest to ogólny szablon dziejowy, nieprzerwany podziałem na wieki średnie i nowożytne, z oznaczeniem tylko naczelnego w dziejach wypadku, przyjścia Chrystusa, jako dzielącego historyę na dwie wielkie połowy.

Temu stanowisku historyi, jako czynu dokonywanego pismem, dzieła sztuki i stylu i dzieła pracy uczonej, odpowiadało długie wieki i przyjmowanie jej przez społeczeństwo. Masy, nie tylko najniższe, ale średnie, żyły bez znajomości historyi; korporacye, stany, zakony poprzestawały na swojej własnej, wciągając do niej tylko fakta wielkie lub zbliska ich dotyczące; żywy zmysł dla dziejów miewały tylko wyżyny społeczeństwa, panujący i mężowie stanu, dostojnicy świeccy i kościelni. Ci zaś pojmowali ją przedewszystkiem jako naukę praktycznego życia lub jako uświetnający przybór wysokiego stanowiska, które zajmowali. Tak np. manuskrypt Długosza, który długie czasy na druk czekał, znajdował się w kopiach u wielu najznakomitszych rodzin polskich, dostępny tylko tym, którzy byli powołani wiedzieć coś więcej, niż tłum szlachty, kontentujący się Bielskim i Kromerem, a potem lada lichą i niesmaczną kompilacyą historyczną. Tak należało do edukacyi czytanie historyków, ale nie systematyczny historyi wykład, nauka historyi poszczególnych, szczególnie rzymskiej, ale nie całości dziejów.

Rozpatrując się też w wielkiej masie literatury historycznej, widzimy w niej albo umyślne albo naiwne niejako niewychodzenie po za masę krytycznie lub mniej krytycznie zestawionych faktów; umyślne, gdy obawa obrazy jakiej potęgi społecznej autora wstrzymuje, naiwne, jeżeli się zagrzebał w erudycyi i po za książki nigdy kombinującą myślą wyjść nie umiał. Uwaga nad historyą, badanie praw historyi znajdujemy długi czas nie w historyi samej, ale w naukach, które podówczas wyższe zajmowały stanowisko, w książkach, które niepochodziły od historyków erudytów w ścisłem tego słowa znaczeniu. Na czele myślicieli, obejmujących całość i cel historyi znajdujemy ś. Augustyna w dziele *de Civitate Dei*, ś. Tomasza z Akwinu, kreślącego porządek moralny chrześciańskiego świata, postać Dantego, twórcy komedyi Boskiej, stawiającego się jako sędzia minionych pokoleń. Najgłębsze historyczne prawdy doświadczalne złożył Machiavelli w swoim Książęciu; zapatrywań ponurych kalwinizmu szukaćby należało w rzadkiej książce Vireta: *Le monde a l'empire*, a dociekając np. wyobrażeń polskich o dziejach i ich przeznaczeniu, przyszłoby rozpatrywać się w Modrzewskim, Orzechowskim i Skardze. Hobbes i Monteskiusz praktyczni politycy, powiedzieliby nam więcej pod tym względem niż

urzędowi historyczni erudyci. Nareszcie pierwsi dwaj mężowie, którzy dali początek pojmowaniu historyi w odniesieniu jej do najwyższych zagadnień człowieka i ludzkości, którzy w masę faktów starali się wnieść nie mechaniczny, ale wewnętrzny ład jednej myśli, Bossuet i Vico, nieliczą się wcale do historyków, pierwszy z nich był teologiem, mówcą, księciem Kościoła, mężem stanu, pedagogiem delfina Francyi, drugi księdzem także, humanistą raczej niż historykiem.

Discours sur l'histoire universelle Bossueta i *La scienza nuova* Jana Chrzciciela Vico, uchodzić też mogą słusznie za pierwsze próby traktowania historyi, jako osobnej, w sobie samej zamkniętej nie nauki, ale umiejętności. Przyznał to Vico zowiąc dzieło swoje umiejętnością nową: *scienza nuova*. Przyznał i Bossuet mówiąc w wstępie swego dyskursu do Delfina: Aby wszystko zrozumieć w historyi, trzeba znać stósunek jednej do drugiej historyi, trzeba znać porządek czasów, następstwo państw i wiekuiste istnienie religii, bo na następstwie państw a wiekuistości religii polega cała historya świata.

Problemat postawiony przez Bossueta i Vicona stanął odtąd na porządku dziennym umysłowości europejskiej. Najbliższem głośnem dziełem jest tu: *Essai sur lès moeurs* Voltaira, zapatrywania Roussa złożone w jego paradoksalnej rozprawie o wpływie wiedzy na obyczaje, rozprawka Kanta: *Ideen zur allgemeinen Geschichte in weltbürgerlicher Absicht* (1784) i współczesne co do roku wydania, dzieło Herdera *Ideen zur Philosophie des Geschichte.* Za wpływem tego ogólnego, filozofującego kierunku musiała się zmienić historyografia, musiała wyjść z epoki erudycyjnej, specyalizującej, w epokę łączącą zapatrywania filozoficzne na całość biegu dziejów z przedstawieniem faktów a przez to samo zbliżać się do stanowiska osobnej, zamkniętej w sobie, jeden wielki dział objawów świata uogólniającej umiejętności. Wybijała też dla niej godzina, gdy miała się stać udziałem masy wykształconych, obudzić powszechny interes, by zająć przez długi czas najpopularniejsze między naukami stanowisko.

Rzecz zaiste interesująca jak wyglądały te pierwsze, do Kanta i Herdera sięgające wyobrażenia filozoficzne o historyi, a więc o celu dziejów ludzkości, o prawach niemi poruszających.

Przejdziemy je w krótkości, zwracając następnie uwagę na to, co je wszystkie charateryzuje.

Bossuet daje pierwszy wyraz pojęciu, które świat katolicki, z mniejszemi lub większemi odmianami o historyi rozwijał. Dwa czynniki są głównym dziejów wątkiem: czynnik władzy i czynnik religii, jeden zmienny, drugi stały. Kieruje niemi siła nadprzyrodzona, Opatrzność, niełamiąca ludzkiej woli i samodzielności, ale mieszająca się w każdą czynność ludzką. „W czynnościach ludzkich“ wypowiada tu myśl zarówno niezmiernie prostą, jak niezmiernie głęboką, „jest coś, czego człowiek nigdy nieprzewidzi i nieobliczy, jest to owe coś tajemnicze, które służy za narzędzie Bogu do wykonywania swego opatrznościowego rządu.“ A więc Opatrzność, Opatrzność dotykająca śmiercią mocarzy, gotujących światu przewroty niezmierne, Opatrzność ukrywająca w łonie społeczeństw nieznane czynniki kary lub dźwignienia się! Czyni to zaś Opatrzność wedle sprawiedliwości swojej, wedle wielkich praw moralnych nakreślonych i objawionych ludzkości. Nazwał to p. Laurent doktryną fatalizmu katolickiego.

Podnosząc na wielu miejscach dogmat Opatrzności, występując przeciw fatalizmowi Epikura, Machiavella, Hobbesa i Spinozy, osobliwszy prawowierności i poganizmu mieszaniec, niejasny a często sprzeczny z samym sobą w swojej Scienza nuova, Vico wprowadza w filozofię historyi doktrynę nawrotów (*ricorsi*). Każdy naród ma swoje epoki, które przejść musi, historya idzie temi samemi nawrotami, wieku półbogów, wieku bohaterów i wieku ludzi, aby dziwną koleją znowu zaczynać od początku. Na dnie tej doktryny obok wspomnień klasycznych o wieku złotym i następnych, tkwi przekonanie, że istotą dziejów jest podleganie naturalnym tylko prawom i dla tego to pozytywistyczne filozofie historyi lubią Vicona uważać jako protoplastę.

Co Vico natrącał do tego przyznał się otwarcie Montesquieu w „*Esprit des lois.*“ Nie mówi on wprawdzie o nawrotach, bo nie mówi o samej historyi, ale traktowanie przez niego społeczeństwa ludzkiego jest tylko wykazaniem, że ono w całości zależy od warunków fizycznych, w których żyje, obraca się w kole możności, które mu okoliczności wskazują. Ci co dzisiaj wojują potęgą klimatu, jako nowém odkryciem, niech zajrzą do

Montesquiego budującego na fizycznych własnościach ziemi niezmienną dolę dziejową.

Vico i Montesquieu wskazują przynajmniej jedno z praw, które w życiu ludzkości zaprzeczyć się nie da, które na narodach wybija piętno swoje. Cóż robi Voltaire? Duch przeczący i burzący, żyjący jedynie w atmosferze polemicznej i szyderskiej, Voltaire poświęca swój *Essai sur les moeurs* polemice z pojęciami chrześciańsko - katolickiemi. Używa on po raz pierwszy broni, którąby się dzisiaj trywialną wydać musiała, broni, którą posługują się ateiści uliczni, szyderstwa z mniemanych Opatrzności rządów. Krucyaty przypisuje krzykliwemu mnichowi Piotrowi d'Amiens, reformacyę kłótni Augustyanów z Dominikanami, sprowadza największe wypadki do intrygi drobnej, skandalicznej, nikczemnej: z nerwowem rozdraźnieniem stawia ślepy fatalizm przeciw Opatrzności bożej.

Herder, głowa entuzyastyczna a pełna sprzeczności, stawiając raz w wymownych słowach rządy Opatrzności, nie chce ich wszakże mieć po za ludzkością, ale w ludzkości, odstępując też od myśli Bossueta, koniecznie zapadać musi w naturalizm Montesquiego, a nawet miejscami w fatalizm Voltaira. Rozwija szeroko i trafnie wpływ przyrody na człowieka a w smutnym humorze nazywa pracę dziejową ludzi męczarnią Ixyona, Syzyfa i Tantala. Natura ludzka zawsze jedna, po tysiącu wieków będziemy takiemi, jakiemi jesteśmy obecnie.

Kant zlekka dotykający filozofii historyi, zamykając to pierwsze niejako koło myślicieli, protestant, rzecz dziwna wraca do Bossuetowskiego postulatu Opatrzności. Nie pojmuje on przypuszczenia rządów Opatrzności w naturze, jeżeli ich się nie widzi w dziejach świata, chociaż sprawdzenie ich tamże daleko większym ulega trudnościom. Ten rząd musi mieć cel, tym celem musi być **postęp**. Jako takie cele postępu zakreśla Kant w kilku pisemkach spółczesnych rewolucyi francuzkiej: rzeczpospolitą, religię wolną od węzłów ortodoksyi i to nazywa założeniem Królestwa Bożego na ziemi.

Po raz pierwszy, w ustach pruskiego filozofa, spotykamy się tu ze słowem **postęp**. Nie znał tego pojęcia Bossuet, Vico, Voltaire, nie wypowiedział jeszcze Herder, a w ciągu XVI, XVII i XVIII w. niebrakło zapatrywań wręcz odwrotnych, że ludzkość niepostępuje, ale upada. Pomimo nowej nauki, którą nieśli:

Luter, Kalwin i jego uczeń Viret uważali świat za upadający. Doktryna Vicona wprost była przeciwna postępowi, Rousseau tęskniąc sentymentalnie za *étât sauvage* widział w postępie nauki nieszczęście człowieka. Herder wyklucza możność wskazywania drogi postępu, twierdzeniem, że historya przyszłości przewidywać nie może. Starożytność złoty wiek kładła po za sobą, średnie wieki spodziewały się wielokrotnie tylko — końca świata. Zkądże ta nowa idea wprowadzona w myślenie o historyi, idea której genezę tem bardziej zbadać warto, że dzisiaj jest tak potężną.

Nie jest to wcale pomysł Kanta. Słowo *progrès* w znaczeniu postępu ludzkości, jako celu jej i drogi, wylęgło się właśnie we Francyi. Pierwszy użył go Turgot w „*Ebauche d'un discours sur le progrès humain*, a odtąd w gorących dniach przed i wśród rewolucyi francuzkiej stanęło ono jako sztandar, przeciwko *prejugès*, przeciwko przesądowi. Nie trzeba było obszernych dzieł, aby się przyjęło; droga, po której Francya kroczyła, zasłana ruinami dawnego świata, potrzebowała wielkiej dewizy, która jako błyskawica przebiegła Europę i królewieckiego filozofa obudziła z abstrakcyjnej zadumy.

Tą dewizą stał się *postęp*, nie postęp nauk, nie postęp moralności, nie postęp handlu, przemysłu, pracy ludzkiej, ale to uznanie, że to co się dzieje, dobrze się dzieje, że to co się działo, gorzej się działo, że wszystko co było należy oceniać wedle chwili pewnej, którą się za dodatnią, wprost do wysokich celów prowadzącą uważa. Na takie śmiałe twierdzenie nie zdobyły się liczne poprzednie wieki w historyi i rzeczywiście z tej strony rzecz uważając je przypomina się owo biblijne: *Eritis sicut Deus scientes bonum et malum.*

Na pierwszy rzut oka jest to teorya najbardziej do Bossuetowskiej zbliżona. Dzieje ludzkości nie są prostym trafem, nie są tylko panowaniem sił natury — mówi jedna i druga — dziejami ludzkości kieruje myśl wyższa — mówi jedna i druga. Tylko że Bossuet myśl tę zostawia u Boga w uczuciu wiary i nadziei: rewolucya francuzka oddaje ją ludziom, opatrując generacyę swoją przymiotem nieomylności w dążeniach i myślach. Ale nie podlega wątpliwości, że jeżeli co, to zmięszanie w idei postępu pierwiastku chrześciańskiego fatalizmowi przeciwnego, z eudajmonizmem pogańskim i najponętniejszą z namiętności u-

mysłowych pychą, że to zmięszanie mówię przyczyniło się walnie do bezprzykładnie szybkiego rozszerzenia idei postępu w świecie, do oparcia na niej wszystkich wyobrażeń o świecie i dziejach.

Na niej oparł się też od razu cały podział dziejowego obszaru. Na straży wieków średnich stanął Chrystus, na straży nowych Kolumb, Guttenberg i Luter, najnowsze otwierała rewolucya. Z ideą postępu w ręce łatwo było odnaleźć podziały, chociażby sprzecznej często natury: Konstantyn W„ Karol W., koniec wojen krzyżowych, westfalski pokój. Co przy teoryi Bossueta w dwie wielkie rozpadało grupy, co przy teoryach naturalizmu układało się w grupy powstających i upadających państw i narodów, to teraz weszło z łatwością w gotowe szablony, mierzące przeszłość wedle tego, jak ona obecny wiek postępu przygotowała. Kult też postępu wprowadził w historyę ten eklektyzm w sądach, mięszający najprzeciwniejsze żywioły razem, podnoszący kolejno do znaczenia gotujących drogi pańskie osobistości wykluczające się nawzajem, wyrzucił *de facto zasady* z historyi. Wprowadził on za to, oparte, chociaż tylko na wielkiej hipotezie, zestawienie i objęcie całości dziejów, jako organicznej całości, stał się dla niej owym owocem dobrego i złego, od którego spożycia, jako umiejętność żyć zaczęła.

Ogólnik postępu musiał się oczywiście stać przedmiotem szczegółowego studyum historyczno-filozoficznego. Podniesiony na ziemi francuzkiej zajmował on szczególniej filozofię niemiecką, używany jako punkt widzenia dziejów w sposób najrozmaitszy. Nie ma systemu filozofii w Niemczech, któryby jeżeli nie osobnego dzieła, to przynajmniej właściwych zapatrywań w tem wielkiem a trudnem dziale myślenia nie posiadał. Hegel nazwał starożytność tezą, średnie wieki antytezą w historyi, w rozwoju germańskiego żywiołu, jako żywiołu wolności, zapowiadał syntezę wieków nowszych. Szelling przeprowadzając postęp świadomości przez naturę do człowieka, w dziejach widział stopniującą się świadomość od Oryentu do Grecyi, od Grecyi do Rzymu, od pogańskiego Romanizmu do indywidualizmu Chrześciaństwa, w samymże pojmowaniu Chrześciaństwa w przeciągu ery Chrystusowej, widział w średnich wiekach fazę zwaną Petrynizmem (katolicyzm), w nowszych Paulinizm (w reformacyi) a przewidywał epokę ś. Jana (religii wolnej opartej na Chrześciaństwie). Po katolickiej stronie w Niemczech modyfikowali te teorye

Schlegel Fr., Windischmann, Molitor i Görres, odziewając teoryę postępu w szaty mistyczne, ratując wywodami filozoficznemi dogmata Kościoła. W Polsce kierunek ten filozofii niemieckiej najwięcej obudził filozoficznej myśli; świadkiem Krasiński i Cieszkowski, układający na kanwie Hegla i Szellinga pierwszy: Trzy myśli Ligenzy, drugi Prolegomena zur Historiosophie i Ojcze Nasz, stawiający po idealizmie germańskim, jako antytezie realizmu starożytności, syntezę przyszłej epoki woli, natchnionego czynu. Przypominam tu legendę Krasińskiego z kardynałem, rozpoczynającym epokę trzecią, gdy kontuszowa szlachta nad głową św. Pawła trzyma walącą się świątynię rzymską. Nie waham się nawet do tej kategoryi historyozoficznych kombinacyj policzyć messyanizmu Mickiewicza, chociaż ten tak absolutnie w trzecim tomie prelekcyi obszedł się z Heglem, Szellingiem i filozofią niemiecką w Polsce.

W jedynej prawie sprzeczności z teoryą postępu, kreślącą przeszłe a zapuszczającą się w przyszłe drogi świata, była w Niemczech Szopenhauera filozofia prowadzona dzisiaj przez Hartmanna. Wbrew panującemu w filozofii niemieckiej optymizmowi, stawia Szopenhauer najskrajniejszy pessymizm jako charakterystykę doli świata, broni chrześciańskiego dogmatu upadku człowieka, stawiając jako najwyższą domagalność umysłu zapadnięcie w stan indyjskiej bezwoli, ratującej od czułości na złe w świecie i ludzkości. Dziwna zaiste protestacya przeciw gorączce postępowego optymizmu.

Nazwaliśmy powyżej tę całą seryę zapatrywań historyozoficznych pomieszaniem antyfatalistycznego pojęcia chrześciańskiego Opatrzności z eudajmonizmem pogańskim i pychą ludzką, stawiającą własną drogę jako drogę nieomylną, Bożą, Opatrznościową. Chrześciańska idea łagodziła złe tego kierunku, wiodła do wielkich pomysłów, do prac i usiłowań naukowych potężnych a nieomylimy się może, jeżeli tej poruszającej myśli historyozoficznej przypiszemy potężny rozwój nauki historyi i wielką jej popularność. Poczucie, że to, co się w dziejach działo, działo się dobrze i zmierzało ku lepszemu jeszcze, zwrócić musiało umysły do pełnego życia i chęci zrozumienia życia, badanio przeszłości, do gorącego jej zamiłowania, do rozpatrywania jej krytycznego we wszystkich kierunkach, któremu często brakło należytego przedmiotowego spokoju, ale które bądź co bądź mnó-

stwo faktów odczutych i zrozumianych na jaw wydobyło. W Niemczech, we Francyi, w Anglii, w Polsce do niedawna historya była przeważnie i największy interes budzącem badaniem, a badanie to — poświadczyć tu mogą protestanccy pisarze o Kościele katolickim, odbywało się z naukowym punktem honoru, aby dotrzeć do prawdy i niezataić prawdy.

Z drugiej strony przyznać należy temu kierunkowi, że w gruncie na racyonalizmie oparty, miał szeroko otwarte oko na niezmierzoną chrześciaństwa wielkość, miał wagę w sobie, niepozwalającą mu jeszcze mięszać go z Budaizmem lub nauką Konfutsego, miał w Szellingu i filozofach i poetach-myślicielach polskich, poczucie ideału, poczucie tego, czego ludzkości brakuje, co ją rozrywa i co ją boli, co przewalczonem i zmienionem być musi, stawiał wielkie postulata, czy kościoła śgo Jana Szellinga i Krasińskiego, czy epoki woli Cieszkowskiego, czy dociągnięcia moralnego w messyanizmie. I spoglądając dzisiaj, w jakich sferach snuje się myśl filozoficzna naszych pigmejów po dziennikach pozytywnych, musimy z epoką tą, niestety, minioną opłakiwać ludzi, którzy mieli pierś nie podług miary krawca, lecz Fidiasza. Jeżeli też i wśród nich niepodobna nie dopatrzyć pewnej apateozy fatalizmu czynów dokonanych, jeżeli chylą głowy przed ludźmi, których uważają za ludzi Opatrzności, to wybierają przynajmniej olbrzymów, że tu wspomnę Mickiewiczowski kult Napoleona!

Połączenie to atoli dwóch sprzeczności nie mogło pozostać długotrwałem. Upadły w ciągu wypadków systemata historyozoficzne Niemców, a jeżeli kiedy, to dziś, uśmiechnąć się każdy musi nad epoką syntetyczną des Germanenthums als des Zeitalters der Freiheit z kościołem śgo Jana reprezentowanym chyba przez Reinkensa! I jak idea postępu *de la déesse ráison* stanęła niegdyś na rewolucyjnym ołtarzu w postaci Fryny starożytnej, tak naga, kategoryczna wyszła po raz drugi z głowy francuzkiego myśliciela Augusta Comta, niepoznana zrazu w świecie żyjącym eklektyzmem Cousinów i Villemainów, ale potężniejąca prostotą swego twierdzenia, odsuwającego wszelkie niewłaściwe związki.

Comte wywiódł naczelną formułę systemu z tego, co w filozofii abstrakcyjnej było w mgle tonącym szczytem budowy. Filozofia niemiecka budowała od abstrakcyj logicznych do histo-

ryozofii, Comte od historyozofii zaczął. Naczelna formuła o trzech dobach bytu ludzkości teozoficznej, metafizycznej i pozytywnej, przypominająca poniekąd Vicona wiek Bogów, bohaterów i ludzi, jest najkrótszą, najprostszą historyozofią, jaką kiedykolwiek podano światu. Jest ona niezawodnie absurdem, ale absurdem kolosalnym, konsekwencyą żelazną z przyjęcia postępu wyprowadzoną. Skoro minęła epoka wiary w to, czego rozumem dosięgnąć nie można, powinna mieć prekluzyjny termin epoka, w której się kuszono, aby dosięgnąć tego rozumem, od tego terminu zaczyna się pozytywizm, epoka w której myślenie zastósowano do tego przekonania. Jeżeli zaś koniecznie potrzeba jakiegoś kultu, miejmy prawdziwy, kult siebie samego, kult ludzkości.

Szczerze i brutalnie, nielogicznie co do faktów dziejowych, ale co do pojęcia pewnej chwili dziejowej, jako uznającej się na drodze doskonałości i prawdy, ściśle logicznie! Napróżno też sili się p. Laurent wykazać wszystkie pyszalstwa, dzieciństwa, niedouctwa Comta, stojące tuż obok wywodów nieubłaganej logiki: Comte wskazać mu zdoła cały szereg ludzi, jak Littré, Buckle, Draper, Hartpole-Lecky, Stuart, Mill, Spencer, Lewis, którzy lepiej przygotowani budowali na logicznej jego podwalinie, może w poprzednikach Viconie, Voltairze i Kancie, wyróżnić to, co mu torowało drogę, upoważniało do zuchwałego twierdzenia.

Wyręczając mistrza, z ogromnym zasobem przeczytanych książek a żadnym znajomości życia, bierze się Buckle do dzieła, aby myśl pozytywną w historyi bliżej określić i przeprowadzić. Dwa są czynniki w historyi, mówi: moralność i wiedza, działające wśród niezliczonych wpływów ziemi klimatu na ludzkość. Pierwszy mało się zmienia, drugi okazuje widoczny postęp. On też jako postępujący wedle praw niezmiennych, może wieść do zrozumienia, uporządkowania, rozkładu przestrzeni dziejów. Postęp ten wiedzy odbywa się kosztem dwóch powag, powagi religii i powagi władzy — *ergo:* upadek religii i władzy jest postępem. Tak zamyka się poczet filozofii historyi rozpoczęty od twierdzenia Bossueta, że historya jest widowiskiem dwóch czynników, religii i władzy, że stałość pierwszego, zmienność drugiego główną jej treść stanowi. Kończy się fatalizmem praw natury i fatalizmem prawa postępu wiedzy. Postęp wiedzy,

uznający że religia jest tylko wytworem spłoszonej objawami natury wyobraźni, że władza jest tylko prewencyjnym środkiem przeciwko niedość rozszerzonym pojęciom, co rozumne a co przez to samo dobre; musi doprowadzić do chwili, gdy wiedza wyprze całkowicie religią i prewencyjny środek władzy, przynajmniej tam, gdzie na to prawa natury pozwolą.

Nie w tych pociągniętych, lub koniecznie wyciągnąć się dających konsekwencyach spoczywa siła przekonywająca systematu Buckla. Spoczywa ona na nowości i zadziwiającej często zręczności dowodów, że nic nie ma w historyi prócz fatalizmu prawa natury i fatalizmu prawa postępu wiedzy. Ale dowody te podane są kosztem rozbicia i unicestwienia tego, co się dotąd historyą nazywało. Naród po narodzie bierze Buckle pod anatomiczny i fizyologiczny rozbiór, nie idąc za postępem czasu, za następstwem wielkich epok historycznych, ale używając metody, którą przyrodniczą nazywa i którą jako jedyną do przeprowadzenia historyi na stopień i stanowisko umiejętności ścisłej wskazuje. W wszechstronném obejmowaniu faktów ekonomicznych, społecznych, intelektualnych; w pozostawieniu na boku politycznych jest owa siła imponująca umysłom, szczególniej młodym, które zapominają, że historya oddawna niezaniedbywała pierwszych, pomimo że na przednim planie stawiała drugie. Zapominają, że właśnie w tem odrywaniu od naturalnego ich gruntu, w tem zestawieniu ryzykownym rzeczy odrębnych, ginie istota historyi, polegająca na położeniu i wytłumaczeniu wszystkiego w czasie i miejscu, że jeżeli w uwzględnianiu czynnika wewnętrznego nie ma nowego odkrycia, w oderwanem jego traktowaniu i zestawieniu jest oczywiste dla prawdy niebezpieczeństwo.

Ale nie chcemy się spierać o metodę i nie powiemy, aby nic z metody Buckla do umiejętności historyi przenieść nie należało. Przeszła ona ogniową próbę w samemże dziele jego i poparła bardzo silnie fałszywe z gruntu zapatrywanie, wynikłe z chęci uporządkowania ogromnego obszaru wiedzy nabytej: poleciła się tą obroną fałszu tak, że w służbie prawdziwszych pojęć potężniejszaby się ukazać musiała. Bardzo być może, że wielkie bezdroża, na które Buckle pojęcie historyi zaprowadził, wpłyną na świadomych lepiej zadania historyi, że cofając się z drogi abstrakcyi, której w ubiegłej epoce filozofii i nauki nadużyto, wrócą do opartej na samych faktach ścisłości, że liczyć

się będą więcej ze zdobyczami wiedzy na polu przyrody, o ile te wkraczają w świat ludzki. Bardzo być może, że jak na pogańskiej nauce starożytności wzrosła najświetniejsza myśli chrześciańskiej epoka, tak z przyswojonemi środkami dzisiejszego pozytywnego, niezawodnie pogańskiego kierunku, wystąpi po raz wtóry nauka chrześciańska, przyjmująca zdobycze prawdy i ustawiająca je do harmonii z tą prawdą, o której zapomniano.

Nie metoda powtarzamy, ale założenie jest w Bucklu fałszem, który obala całą jego budowę, założenie, o którem niewiadomo, czy poprzedziło budowę, czy też wynikło z ducha człowieka, nieprzypatrującego się nigdy życiu a szukającego najprostszego środka uporządkowania nagromadzonej z książek wiedzy. Przypuściwszy z Bucklem, że czynnik moralności nieulega prawom postępu (wedle nas podlega on innym prawom) niepodobna się zgodzić na wykluczenie tego czynnika od rozpatrywania historycznego, odsądzenie go od prawa stanowienia o budowie i rozkładzie dziejów. Dajmy na to, że jak powiada Buckle, wiedza postępuje a moralność fluktuacyjnemu ulega ruchowi, to pierwszym obowiązkiem badacza było zastanowić się, dla czego znacznemu stopniowi wiedzy towarzyszy często nadzwyczajny upadek przeciętnej moralności, dla czego przy niskim jej stopniu może być znaczna suma moralności, dla czego epokom niedouctwa towarzyszą zwyczajnie najopłakańsze skutki, dla czego w czasach upadku moralności i wiedza upadać musi, wiedza która z moralnych pobudek czerpie swoje siły, nowych potężnych zyskuje pracowników. Chwile rozkwitu wiedzy, potęgi umysłowej są w dziejach tak sporadycznie rozsiane, jak chwile wyższej moralności, zdarzają się wśród trudniejszych, słabną wśród korzystniejszych warunków: nie pomoże nic, jeżeli nie ma boskiej iskry twórczej w piersiach ludzkich, jeżeli pierwiastek mądrości zastąpi sama tylko szkolarska rzemieślniczość, jeżeli polihistoryzm, wielowiedztwo, zastąpi pierwiastek twórczości i natchnienia, jeżeli przyjdzie chwila przeżuwania pełna zarozumiałej pewności siebie, ale razem czczości wewnętrznej,

A przytem walne pytanie, co jest wiedza, co jest treścią wiedzy u Buckla. Tu przekonywamy się, że pojęcie jego jest czysto dogmatycznem, że to tylko nazywa wiedzą, co się przyczyniało i przyczynia do zbliżania epoki pozytywizmu Augusta Comt'a; z jednej strony zdobycie coraz większej liczby faktów

rozumowych, doświadczalnych, postęp nauk na doświadczeniu opierających się, z drugiej wykluczenie wszystkiego, co mówiło o stósunkach człowieka do jego najwyższych zagadnień i w imię tych zagadnień rozwiązanych nakładało mu obowiązki. Wiedza jest racyonalnem odrzuceniem tego, o czem się dowiedzieć racyonalnie nie można, postęp jest oparciem życia na tem odrzuceniu. A jeżeli też myślenie wszystkich wieków aż do Comt'a i Buckla twierdziło inaczej na mocy faktów i doświadczeń ludzkich i dziejowych? Jeżeli pierwszym najpowszechniejszym faktem, ktory wpada w oczy każdemu badaczowi rzeczy ludzkich jest właśnie fakt, że człowiek i ludzkość nieobywały się nigdy bez religii i władzy, że wszelka wiedza, która przeczyła istnieniu tych dwóch czynników była teoretycznie chybioną a praktycznie zgubną, jeżeli sam system pozytywny kierunkiem swym negującym religię i władzę jest właśnie dowodem, iż o potędze tych czynników wie, a więc jest religijnym i powagowym o tyle, że sam chce dogmatyzmem swoim despotycznym zastąpić religię i powagę władzy? Co wtedy? Czem jest ujeżdżanie Buckla na wojnach religijnych, na zgubności nietolerancyi średniowiecznej, objawiającej się w stósach i więzieniach inkwizycyi, jeżeli przeciwko tym klęskom, przeciwstawi się klęski, jakich doznała ludzkość przez działalność czynników, zbliżonych do racyonalnej jego drogi, czynnikow podnoszących omnipotencyę państwa, kruszącego względy religijne, omnipotencyę społeczeństwa, depcącego powagę religii i władzy; jeżeli miasto nietolerancyi, mającej za sobą pobudkę moralną zgromadzenia ludzi około jednej prawdy, żąda despotyzmu idei, opartej na przeciwnem faktom historyi, ocenieniu natury ludzkiej, jakoby jej postęp polegał na wyzbywaniu się czynników religii i władzy?!

Bierze zatem Buckle nie wiedzę, ale jedno przejściowe, skrajne, chwilowe pojmowanie wiedzy, jeden niemożliwy postulat tejże, jako miarę postępu, jako drogoskaz historyi. Jego tylko szukając, widzi jego korzyści i pożytki polegające na podniesieniu ekonomicznego dobrobytu, społecznego równouprawnienia, usunięciu pewnych zabytków średniowiecznego barbarzyństwa, a tracąc z oka inne czynniki nie widzi jakie ujemne strony pociągał za sobą ich upadek i ich lekceważenie, o jakie straty przywiedziona została ludzkość zaprzaństwem religijnych i moralnych postulatów. Uszedł oka jego fakt bijący, jak przy sto-

sunkowo ogromnym zasobie wiedzy o faktach doświadczalnych przy zastósowaniu ich w życiu, istnieć może najwyższa nieporadność w tysiącznych stosunkach życia społecznego, które na wiedzy o faktach doświadczalnych oprzeć się nie mogą, w stosunkach rodzinnych i wychowaniu pokoleń, w wzajemnem stosunku warstw społecznych i ekonomicznych, antytez bogactwa i pauperyzmu, w stosunkach politycznych wracających na wielką skalę w epokę panowania siły fizycznej, bez uwzględnienia jakiegokolwiek moralnego kodeksu. Czyliż to w wieku wielkich zdobyczy eksperymentalizmu, w wieku ułatwionych komunikacyi przez koleje i telegrafy, w wieku, gdzie cała waga tych ułatwień przyczynia się do doskonałości funkcyi społecznego organizmu, nie jest zadziwiającym fenomenem ta niezmierna bezsilność ludzka w urządzeniu się społecznem i politycznem, tak że owe zdobycze rozumu prowadzić się zdają do coraz srozszych, nie dających się przewidzieć i obliczyć zawikłań i kataklizmów? Z góry powiadam, że zdają się prowadzić, bo zdobycze rozumu eksperymentalnego same przez się, uważam zawsze za dobre i zbawiene, ale dla tego, że są niewystarczające, dla tego, że fizyczną dotąd stronę świata, człowieka i społeczeństwa objęły, że śmiały negować moralną: nie mogły one zaćmić blaskiem swoim epok, gdzie ich b yło mniej, ale więcej wiedzy faktów moralnych. jako ważniejszych, trudniejszych i konieczniejszych dla człowieka.

Jeżeli to rozumowanie jest prawdziwe, jeżeli wiedza, jak ją pojmuje Buckle, nie jest prawdziwą wiedzą, ale częściowem jej tylko pojęciem, najistotniejsze zadania z oka spuszczającem, jeżeli polega na negacyi faktu zajmującego nierównie więcej miejsca w historyi, niż eksperymentalizm zwyczajny przyczyn fizycznych, w cóż się obraca cała budowa? Zaiste nie pozostaje z niej nic, prócz zalet metody, użytej do jednego szeregu wyrwanych dowolnie faktów a nieużytej do olbrzymiej całości tych faktów.

Jeżeli zaś prawdą jest, że wiedza eksperymentalna faktów fizycznych, fakta moralne na drugi plan usuwająca, od usunięcia powagi religii i władzy postęp swój a względnie postęp świata zależnym czyniąca, wiedza niosąca wielkie zresztą zdobycze i wielkie wynalazki, istnieć może obok cofnięcia się ludzko-

ści w czasy twarde, żadnego z zagadnień społeczeństwa nierozwiązujące, owszem plączące ją w coraz nowe zawikłania, jeżeli przyczynia się nawet do nich o tyle, o ile przeczy wszystkiemu po za sobą, jeżeli ludzkość pod każdym względem z trwogą musi spoglądać w przyszłość tych zawikłań, jeżeli przy niej widzimy srogie objawy dysharmonii w jednostce i zamętu w masach, jeżeli zastosować się do niej da wiersz Sofoklesa:

Biada tej wiedzy, co się nie zda wiedzącemu:

gdzież wtedy teorya postępu, gdzie uprawnienie, aby wzrostem tej wiedzy mierzyć całą przyszłość, aby od jej postępu zależnym czynić postęp w przyszłości? Czy nie nasuwa się zupełnie inne oznaczenie punktu dziejowego, na którym stoimy? punktu z którego patrząc raczej Schopenhauerowski pessymizm, niż optymizm Kanta, Hegla, Comte'a i Buckla praw nabiera: myśl, że skoro przy takich zasobach racyonalnych istnieć może taki obłęd, takie niepoznanie natury ludzkiej, taka niewytłumaczona niczem ślepota, kroczenie dalej fatalne w konsekwencyi tego obłędu musi być drogą do przepaści? Czyli cały rozkład dziejów w myśl postępu wiedzy emancypującej się z pod powagi religii i władzy nie da się w takim razie zestawić z rezultatem coraz większego *minus*?

Pierwszy krok: wiek reformacyi, rzucenie się na powszechność powagi kościelnej, rozbicie idei jednolitości chrześciaństwa.

Drugi krok: wiek l'etat c'est moi, podniesienie idei omnipotencyi państwa, wyższego nad względy moralne — aż do podziału Polski; rozbicie idei rządu chrześciaństwa.

Trzeci krok: wiek rewolucyi, podniesienie idei omnipotencyi społeczeństwa, rozbicie idei władzy chrześciańskiej.

Czwarty krok: wiek komuny i pochodzenia od małpy: podniesienie idei gminy przeciw spo-

łeczeństwu, a raczej jednostki, która wypowiada społeczeństwu wojnę dopóki jej dobrze nie będzie, która też woli pochodzić od małpy, aby od Boga nie pochodziła.

Czy powtarzam, nie da się sprowadzić teorya postępu, jeżeli się jaskrawych barw używa, jeżeli idąc za przykładem Buckla idzie do skrajności, do karykatury panowania petroleum? Co wtedy z wiedzą się stanie, skoro petroleum nie lubi tak bibliotek i dzieł sztuki? Kto ją będzie uprawiał i czy przypadkiem jako niepotrzebna powaga nie pójdzie za religią i władzą?

Zaiste! teorya postępu Szellingów, Cieszkowskich, Krasińskich, Mickiewiczów, skromniejsza, wychodząca z poczucia, że ludzkość chociaż wie wiele, powinna jeszcze odbyć jakieś wielkie stadya udoskonalenia moralnego, teorya, która przewidywała i prorokowała kataklizmy, będące koniecznym skutkiem radykalnego pojęcia postępu i wiedzy, o ileż była głębszą, szczytniejszą, rozumniejszą i dalej widzącą!... Mogła ona tu i owdzie wpaść w kolej, którą dziś z brutalną narysowano konsekwencyą, ale nigdy i nigdzie nie wyparła się poczucia wielkiego idealnego dążenia, które wyssała z nauki chrześciańskiej; mogła mieć chwile dumy, pychy nie miała.

Dziwna też rzecz, że dzisiaj, w kraju, który może najgłębsze pod względem historyozoficznym wydał rezultata, w kraju gdzie poeci prorocze prawie wobec tego, do czego dzisiaj teorya postępu doszła, zajmują stanowisko, urwała się nagle nić myślenia w tym kierunku a importowany towar pozytywizmu i Buckleizmu szerzyć się zaczyna. My w szczególności winniśmy być lepiej, niż ktokolwiek przeciwko niej uzbrojeni — a nie widać walki i odporu w tym kierunku. Zapewne nie wystarczyłoby tu przejęcie stanowiska przez filozofów i poetów naszych zajętego, poddaćby je należało krytyce, uwolnić z naleciałości obcych, ale to, coby pozostało, wystarczyłoby zawsze na utorowanie drogi do głębokich zagadnień, które pochód dziejowy nastręcza.

Odrzucając teoryę postępu od pewnej chwili dziejowej wstecz i naprzód historyę oceniającego, jaką jest teorya w czasach rewolucyi francuzkiej powstała, należałoby przedewszystkiem

uznać i badać: 1) czynnik fizyczny, jako materyalną podstawę historyi, jako jej *przestrzeń* nie zapadając w opłakany błąd, aby wszystko fatalizmem tego czynnika tłumaczyć, 2) czynnik oczywistego postępu doświadczalnej wiedzy, rezultat prosty i konieczny *czasu,* w którym się historya odbywa, bogacący pokolenia spuścizną doświadczeń przeszłości, 3) czynnik moralny, którego uznanym przez Buckla fluktuacyom należałoby nakreślić a przynajmniej starać się nakreślić prawa, 4) czynnik nareszcie najwyższy, Opatrznościowy, który jak Bossuet głęboką uczynił uwagę, jest tem tajemniczem coś w czynnościach ludzkich, które myli wszelkie rachuby i kieruje nawą dziejów wedle woli wyższej, wieczystej. Cztery te czynniki mają to do siebie, że fizyczny i moralny stają wbrew, intelektualny i Opatrznościowy przemawiają *za* ruchem postępu dziejowego. Jak rozum ludzki zdobywa z czasem prawdę faktów a nie złudę, tak w Opatrznościowym rządzie jest rękojmia, że jest postępem ku dobremu, skoro jest, skoro istnieje, Ale gdy cel i miara tego dobrego jest ostatecznie tam, zkąd dane warunki fizyczne, prawa moralne i możność rozumowego rozwoju, dociekanie prawa postępu nie może się odbywać, nie można tego celu i miary określać wedle chwilowego zapatrywania się ludzi na przeszłość i przyszłość, ale należałoby w tem dociekaniu uwzględnić wszystkie czynniki wedle ich ważności wzajemnej, wedle ich stósunku do siebie i oddziaływania. Wtedy wypowiadam tu moje indywidualne przekonanie, okaże się w historyi postęp, ale postęp ku gloryfikacyi Boga i praw Bożych, postęp ku temu, co raz Kant genialnie natrącił, ku sprawdzeniu Opatrzności. Wtedy okaże się, że to co dzisiaj alfą i omegą postępu nazywamy, jest tylko jedną fazą dalej w tem mierzeniu się ducha ludzkiego z duchem Bożym i prawami Bożemi, postępową, bo zbliżającą chwile ich uznania. Największa idea chrześciaństwa, uniwersalizm katolicki płomiennemi głoskami zapisanym jest w dziejach. Naturalniej niż w inny sposób dzielą się one na epoki, znaczone zjawieniem się pogańskich potęg do materyalnego lub moralnego boju z chrześciaństwem, potęg z zamierzchłych czasów historyi pochodzących lub budzących się w piersi człowieczeństwa. Cesarstwo rzymskie i potop ludów aryjskich, mahometanizm, zmartwychwstały klasycyzm i jego skutki w myśli ludzkiej, panteizm dzisiejszy i niezmierny rozrost faktycznej wiedzy badającej każ-

dy zakątek ziemi... wszystko to, kolejno, epokami dąży do mierzenia się z prawdą moralną chrześciaństwa, do zastąpienia jej i wyparcia. Jest to nieuchronne, Opatrznościowe, bo objęcie tego wszystkiego i pokonanie *w czasie*, jest celem i zadaniem chrześciańskiej prawdy. W tém też znaczeniu można mówić o postępie i badać jego prawa.

BEZKARNOŚĆ.

Zanim głos sami w tym przedmiocie zabierzemy, podajemy naprzód kilka spostrzeżeń o bezkarności nam udzielonych:

„*Justitia firmatur solium; — justitia fundamentum regni; — justitia elevat gentes, miseros autem facit populos peccatum; — sine justitia, quid sunt regna, nisi magna latrocinia.*“ — Podobne sentencye, a moglibyśmy ich przytaczać bez końca, świadczą, że po wszystkie czasy ród ludzki w sprawiedliwości widział główne źródła życia, zdrowia i potęgi społeczeństw, że z jej brakiem państwa i społeczeństwa upadają. Po wszystkie też czasy, pojęcia sprawiedliwości i kary były w umyśle ludzkim nierozłączne i nigdy sprawiedliwości inaczej nie przedstawiano jak tylko z mieczem w ręku. Im lepsze zdrowie w narodzie, tem większa w nim musi być miłość prawa, tem goręcej pragnąć musi przywrócenia jego panowania, ilekroć zostało obalone i tem silniej domagać się ukarania jego burzycieli.

* * *

Jak zaprzeczenie kłamstwu koniecznem jest dla wyznania i stwierdzenia prawdy, tak kara jest stwierdzeniem sprawiedliwości; bez niej sprawiedliwość jest czemś mglistem i niepewnem, co jeszcze nie wcieliło się w życie. Kara jest potrzebą obrażonego sumienia publicznego, i to jest nierównie wyższy i zacniej-

szy tytuł jej istnienia, niż owe względy czysto utylitarne, jakie dzisiejsi moraliści stawiają, postrachu na złych ludzi lub ich poprawy, jakkolwiek i te względy mają swoję wagę. Gdzie kara nie idzie w ślad za występkiem, tam sumienie publiczne cierpi głód, albo gdzie tego głodu nie ma, tam znać, że zmysł sprawiedliwości zagasł w społeczeństwie, że spółeczeństwo nachyla się ku upadkowi.

* * *

Karność i rządność, bezkarność i anarchia są to synonimy. Naród który karać nie umie, nie potrafi się rządzić, i choćby też miał zapewnione wszystkie inne warunki bytu, choćby świecił męztwem, patryotyzmem i poświęceniem rozpaść się musi, gdy karać przestanie; musi zdać rządy innemu narodowi, który chociaż wielu jego cnót publicznych jest pozbawionym, ale tę tylko nad nim posiada wyższość, że miecz sprawiedliwości umie krzepką trzymać dłonią. Naród taki może obudzać najserdeczniejsze sympatye i do pewnego stopnia szacunek, ale ufności nie wzbudza, bo nie daje rękojmi, że sobie sam wystarczy. A jak zupełne zaniechanie wymiaru sprawiedliwości, prowadzi państwo do ruiny niechybnej, tak znowu samo zelżenie kary zbyteczne, odejmuje mu siłę i znaczenie. Mówiąc o konieczności kary śmierci, De Maistre dodaje: „Nietylko nienależy jej znosić, ale mniemam, że każde państwo które ją zniesie u siebie, stanie się, o ile to od niego zależy, państwem drugiego rzędu. Narody pierwszorzędne po wszystkie wieki na śmierć skazywały i jeśli się nie mylę, podobnież i nadal skazywać będą.“

* * *

Jak do każdego państwa, tak i do dziejów naszych zasady wyżej przytoczone dadzą się żywcem zastosować. Jeźli wszelka kara w ogólności, to przedewszystkiem kara za zbrodnie stanu szła u nas w parze ze zdrowiem i z mocą rządowego elementu. Nieuniknioną w wieku XV, jeszcze dość często zdarzająca się choć już niemało utrudniona w wieku XVI, w XVII stuleciu a bardziej jeszcze w XVIII prawie wcale się nie napotyka. Też same zbrodnie, które pod jagielońską dynastyą pociągały za sobą banicyą, infamią i śmierć, za królów elekcyjnych, a zwłaszcza

od śmierci Batorego, najczęściej nie były już karane, a później, smutno powiedzieć, znajdowały swych obrońców a nieraz oficyalne, uroczyste usprawiedliwienie. Byłoby rzeczą wielce nauczającą gdyby ktoś chciał ułożyć paralellę rosnącej słabości państwa wraz z bezkarnością za zbrodnie. Przykładów historycznych tu niebrak; wyliczać wszystkich nie mamy czasu; kilka celniejszych, które na pamięć nam przychodzą, podamy.

Opowiada Długosz pod r. 1432 że starosta ziemi kujawskiej, Mikołaj Tumigrała z Sękowa, który w czasie wojny z Krzyżakami, wydał im zamek nieszawski, na rozkaz króla uwięziony i pod sąd stawiony na sejmie w Sieradzu, *choć się tłómaczył, że nie miał dość siły, by zamek obronić,* czci i życia pozbawiony został.

Za Zygmunta starego, podobnegoż losu za podobną zbrodnię doznał Radwanowski. Ten gdy zamek Ornetę w Warmii położony, oddał Krzyżakom, na sejmie piotrkowskim od czci był odsądzony, co w prawie polskiem równo ze śmiercią znaczyło, bo każdemu służyło prawo zabić infamisa. Potrafił on jednak umknąć do Lwowa, jak powiada Bielski pod r. 1521 „tam tułając się, z desperacyi, sakrament Ciała Pańskiego ukradł i żydom przedał, a co potem spalon był. Innych też szlachciców dwanaście, jego towarzyszów, od czci odsądzono.“

* *
*

Za zabójstwa prywatne śmiercią u nas nie karano, ale grzywnami i więzieniem na dnie wieży, rocznem albo dwurocznem. Nie była to lekka kara jeźli z ścisłością była wykonana; wszakże wielu naszym monarchom i celniejszym mężom stanu zdawało się koniecznem ją obostrzyć i za rozmyślne zabójstwa karę śmierci nałożyć. Projekt taki wielokrotnie za Olbrachta i Zygmunta I. na sejmy był wnoszony, ale nigdy jak mówi Modrzewski „większość po dobrej stronie nie stanęła.“ Mnożyły się też w kraju zabójstwa, o co trzykrotnie w mowach swych, króla, senat i rycerstwo tenże Modrzewski upominał, uroczyście ich strofując „za tę pogardę prawa bożego, które zabójców na gardle karać rozkazuje.“ — W r. 1538, gdy wniesiony na sejm projekt gardłowy upadł większością głosów, Zygmunt August jeszcze wówczas młodzieniaszkiem i tylko tronu będąc następcą radził, żeby na zabójców wydać uchwałę do sentencyi każdego

z posłów zastósowaną, to jest iżby głowy tych, co za grzywnami wotowali, grzywnami ubezpieczyć, a przeciwnie karą śmierci bronić życia tych, którzy za taką karą się oświadczyli. Ta rada, jakkolwiek żartobliwie podana, możeby i dziś jeszcze znalazła trafne zastósowanie przy projektach o zniesieniu kary śmierci, które w parlamentach wciąż się zjawiają. — Porówno jak królowie z jagielońskiej rodziny, pragnął Batory karę śmierci na zabójców nałożyć, ale widząc że nie złamie w narodzie wstrętu do tej zbytniej jak mniemano surowości, tego przynajmniej przestrzegał, aby istniejące prawa z całym rygorem były wykonywane, i w tym celu wydał okólnik do starostów grodowych, aby skazanym na wieżę żadnych ulżeń nie czynić.

* * *

Ale wróćmy do zbrodni publicznych. Dwa przykłady takich zbrodni znane są z epoki króla Stefana. Podczas wojny z Iwanem Groźnym odkryto, że jeden z panów litewskich zacnego rodu, Grzegórz Ościk, z Radziwiłłami spokrewniony, tajemnie się z Rosyą porozumiewał, od niej listy i posłańce odbierał, a w listach, które do Iwana Groźnego pisywał, obiecywał zgładzić króla. Naradziwszy się z przybocznymi panami radnymi, król kazał go uwięzić, a gdy przetrząśnięto jego mieszkanie, znaleziono blankiety z podpisami i pieczęciami różnych senatorów, kształtnie podrobionemi, dla tem lepszego udania, jakoby wielu miał swojej zbrodni uczestników. Gdy rzecz do senatu została wniesiona, w obecności którego król odprawiał tego rodzaju sądy, obrońca dowodził, że obwiniony nieprawnie został uwięzionym i odpowiadać nie ma, przywodząc na to prawo służące szlachcie, że bez pozwu należytego sądzoną być nie może. Argument taki wiele panom radnym dał do myślenia: wzdragali się pierwsi stawiać przykład ubliżający wolności szlacheckiej i byli zdania, aby Ościk z wolnej nogi odpowiadał. Przemogło na szczęście zdanie tych, którzy raczej zwracali uwagę na czas, w jakim zbrodnia została popełniona i że kiedy król w obozie prawie przebywał, wojną będąc zaprzątniony, sąd ten nie za zwyczajny, ale za wojskowy poczytany być winien. Widząc Ościk, że już od sądu się nie uwolni, począł uręczać, że choć dawał nieprzyjacielowi nadzieję odebrania królowi życia, nie czynił tego z jakiejś, broń Boże, nienawiści, ale z niedostatku, długami będąc

trapiony, które pieniędzmi cudzemi spodziewał się zapłacić; prosił przeto pokornie, aby mu tę winę odpuszczono. Nic to jednak nie pomogło i gardło dać musiał.

Drugi wypadek z tej epoki o wiele głośniejszy i różnostronnie opisywany, przedstawia rząd mądrego króla w zapasach z rosnącym nierządem, rząd jeszcze zwycięzki, ale już po raz ostatni. Awanturnik wysokiego pochodzenia, Samuel Zborowski, który senatora zacnego rodu zabił podczas sejmu, na zamku i pod bokiem królewskim, skazany na banicyą, skorzystał ze zmiany króla, aby wrócić do kraju, nie cichaczem, ale publicznie, z hałasem i niemałem prawu urąganiem; gdy zaś poufnie od króla został upomniony, aby się z kraju wynosił, pospołu z braćmi na życie królewskie umawiać się począł. Nie dość na tem, razem z kanclerzem państwa, który jako starosta grodowy do Krakowa na sądy jechał, chciał i ten warchoł do stolicy swój wjazd uczynić. Czyniąc zadosyć powinności i nie mogąc dłużej znosić takiego lekceważenia praw i powagi Rzpltej, kazał go pojmać Zamoyski i z wiedzą króla i celniejszej Rady, jako zwykłego zbrodniarza stracić. Ledwo się o tem wieść rozeszła, zerwała się tak wielka w Rzpltej burza, takie gniewy i taka nastała wrzawa, że jej echo przez trzy wieki trwające, jeszcze do uszu naszych dochodzi i w niefortunnych rehabilitacyach banity od czasu do czasu dziś jeszcze się przedłuża. Wyrzekano *„na tak srogie tyraństwo,“* płakano *„nad zgnębioną w osobie Samuela Rzpltą;“* kazano wiązać się, *„aby wolność publiczną zasłaniać od niebezpieczeństw, na które była narażoną.“* Po województwach. zwłaszcza gdzie silniejsi byli dyssydenci, rwano sejmiki albo podwójne odprawiano wybory; były i takie, które posłom swym dały zlecenie *„podciągnąć pana kanclerza pod sąd za zabójstwo Samuela.“* Król nie dał się spłoszyć krzykami, i owszem sprawę dalej prowadząc, kazał na sejm wnieść proces braci Samuela o zbrodnicze zamachy obwinionych. Burzyła się po zwyczaju Izba poselska, ale Senat dotrwał przy prawie i powadze majestatu, snać dzielnością królewską ujęty; dopomagała mu też pewno do tej rezolutności gwardya węgierska, którą król miał na swoje rozkazy i która w świeżej potrzebie z Moskwą tak znaczne oddała usługi.

* *
*

Był to ostatni, całkowity nad anarchią tryumf. Bo choć i później zdarzały się z nią walki uwieńczone zwycięstwem rządu, jednak nigdy tak stanowczem, aby winowajcy odnieśli to, na co zasłużyli. Zazwyczaj rząd miał dosyć siły, aby zwyciężyć, nie miał jej, aby ukarać. Zwycięzcy nie pozostawała inna rola, jak wspaniałomyślnie przebaczyć; buntownicy wracali spokojnie do domów, tylko w Rzpltej nigdy odtąd spokoju nie było. Taki właśnie przebieg walki zdarzył się w słynnym rokoszu Zebrzydowskiego, o którym z kolei wspomnieć nam przychodzi.

Statkiem i odwagą królewską, w bitwie pod Guzowem, zwycięstwo przechyliło się na dobrą stronę, rokoszanie na głowę pobici; Herburt z wieloma ujęty, Djabeł Stadnicki pospiesznie na Ruś ucieka, Zebrzydowski przez trzy miesiące kryje się w celi klasztornej; tylko Radziwiłł Janusz, choć z dobrze podszarpanemi hufcami, ratuje się na Litwę, by tam nowe robić zaciągi i albo odwetu poszukać, albo przynajmniej zapewnić sobie bezpieczeństwo. Król dał polecenie Chodkiewiczowi ścigać Janusza. Wprawny wódz żwawo za niedobitkami następował i tak zręcznie ich pocztami swemi ścieśnił, że Radziwiłł w żaden sposób o swojem wzmocnieniu i wojny domowej odżywieniu myśleć nie mógł. Nie stracił przeto rezonu ani przeświadczenia o nietykalności swojej osoby. Gdyby Batory był siedział na tronie, możeby pan podczaszy litewski i pan wojewoda krakowski przypłacili głową swą butę, albo co najmniej banicyą, ale za Zygmunta inne były czasy: panowie Rada bardzo w pierze urosła. Zebrała się na nieszczęście taż Rada i na nią panek zuchwały wyprawia dworzanina swego ze skargą — na Chodkiewicza. Powiada tedy w swym liście, że czekając skutecznego uleczenia uraz Rzpltej, o wznawianiu rzeczy i zbieraniu gromad nie myślał, ale spokojnie w swoim domu chciał siedzieć. „Tymczasem wiadomość wziąłem (pisze on), że *prywatny mój nieprzyjaciel*, któremu, jako żywom, nietylko przyczyny żadnej ale i okazyi do niechęci nie dał, *sieci na mnie narzucać począł*. I kiedym widział . . . że zamiast na postronnego iść nieprzyjaciela, on wojsko zbierać i *in centro* królestwa na Podlasiu, gościńce wszystkie niemal zajmując, rozkładać począł, przyszło mi też radzić o sobie, i ludzi nie do zaczepki, lecz na odparcie gwałtu, według ziemiańskiego przemożenia mego, przysposobić, jakobym w sieci te na się zastawione, z ubliżeniem honoru mego lada-

jako siebie wciągnąć nie dał." A zabiegając w tej ostatniej chwili, aby co szkodliwego na Rzpltę nie przyszło (śmie to pisać po dwuletnim rokoszu), odzywa się do panów radnych, „abyście wspomniawszy sobie na przodków moich szczere i szczęśliwe względem Rzpltej posługi, zabieżeć temu raczyli, iżby mnie szlachcicowi w wolnej Rzpltej urodzonemu i prawem żadnem nie przekonanemu, krzywda w niczem się nie działa." Posłaniec zaś w imieniu pana swego dodał: „Oświadcza się książe przed Bogiem, oświadcza przed Waszmościami, że przyczyny daje, lecz przymuszony na koń siędzie, a przykładem przodków swoich i trzymając się zwyczaju swego, nieprzyjacielowi placu nie ustąpi."

Tak przemawiał do senatu zwyciężony i do ostateczności już prawie przywiedziony buntownik. A cóż senat na to?... Coby począł w takim razie senat wenecki lub jakaś inna najwyższa magistratura krajowa. Kazałaby postąpić jakby tego wymagały powaga rządu, prawo i bezpieczeństwo Rzpltej. Ale u nas inaczej: *uściskajmy się i niech będzie temu koniec!* Słusznie przestrzegał X. Piotr Skarga naszych mężów stanu: „Nie kuście się o weneckie rządy, bo weneckich rozumów nie macie." Senat wyprawia dygnitarza *„obu stronom przyjaznego,"* aby hetmana z Radziwiłłem pojednać. Wprawdzie odpisując Januszowi uprzedza go Senat, że Chodkiewicz nie z prywatnej jakowejś zemsty, ale z rozkazania J. król. Mości na niego następuje, nie mniej przecież i o tem donosi, że hetman otrzymał polecenie, aby się już więcej Radziwiłłowi nie przykrzył, ale do zgody i do braterskiego afektu podał rękę. I tak się stało. Radziwiłł w odpisie swym senatowi przyrzekł wszelką powolność, z Chodkiewiczem pojednał się powierzchownie; potem, jakoby dla słabości zdrowia, nie mogąc osobiście jechać do Krakowa, króla za bunt listem przeprosił. „Zakończyła się (pisze historyk, z którego te szczegóły wyjmujemy) ta dwuletnia scena ogłoszeniem powszechnej amnestyi, to jest zwyczajną w Polsce wszystkich publicznych gwałtów, zuchwalstwa przeciw królowi i niesprawiedliwości satysfakcyą. Poszedł kraj w ruinę, rozlało się krwi obywatelskiej wiele, interesa publiczne, mianowicie inflantskie, zgoła zaniedbane; panowie zaburzywszy kraj, dali sobie dobre słowo nie serce. A mądry pomyślał: „na co było tyle zachodów, kiedy każdy przy swojem został."

I odtąd też każdy przy swojem zostawał, choćby niewiedzieć jak w Rzpltej warcholił i niewiedzieć ile względem Rzpltej zawinił; i odtąd też nie było zdrady, nie było tak ciężkiego przeciw ojczyznie zaniedbania lub wzruszenia pospolitego pokoju, któreby za sobą karę pociągnęły. Za Władysława IV, pan Samuel Łaszcz chodził w delii, którą dla fantazyi podszył dekretami bannicyi na siebie wydanemi, a było ich trzydzieści kilka. — Za Jana Kazimierza, Radziejowski Szweda a za nim trzech innych nieprzyjaciół na Rzpltą sprowadził, ojczyznę popchnął w przepaść nieszczęść, z której się już więcej nie dźwigła; przez ciąg sześcioletniej wojny, przez tego łotra wywołanej, stracił kraj czwartą część swej ludności z wojny, głodu, powietrza a najbardziej, że się za granicę wynosiła, szukając pewniejszego przytułku. Niemniej dlatego spotkała go niechybna amnestya, „ta zwyczajna w Polsce gwałtów publicznych satysfakcya;“ i owszem ledwo się wojna skończyła, ułaskawiony zdrajca jechał do Stambułu w randze ambasadora J. kr. Mości. — Na początku tej wojny szlachta wielkopolska, w 20,000 zebrana, zawarła na swoję rękę pokój ze szwedzkim jenerałem, nie troszcząc się wcale o króla i rząd jego, i dając w ten sposób najhaniebniejszy przykład do tylu innych równie haniebnych w epoce tej odstępstw. I to uszło bezkarnie. — Smoleńsk, najpierwszą w Polsce fortecę Rzpltej, wrota od wschodu, której Zygmunt III przez trzy lata dobywał, Filip Obuchowicz z Lipy, wojewoda smoleński, poddał Rosyi (1654), mając przeszło 4000 doborowej załogi; zaczem jej wojska po całej Litwie wnet się rozlały. Kąsały go za to „po grubiańsku“ *Zoile*. „Nie gniewaj się Waszmość (pisze jeden z nich), że ja tobie tytułu wojewody smoleńskiego nie daję, bo dając go, zełgałbym; kiedyście bowiem Smoleńsk oddali, toście i tytuł swój przedali. *Lepiej było panie Filipie, siedzieć tobie w Lipie.* A teraz gorzej się z tobą stało, niż gdybyś w nowy kożuch ubrany, ugrzązł w gęstem błocie, bo wpadłszy w złe rozumienie i obmowy ludzkie, w sromotę, siedzisz jak dzięcioł w dziupli spruchniałego drzewa. Co my durni ludzie w kożuchach siedm lat niegdyś Smoleńsk zdobywali, to wy mądrzy ubrawszy się w sobole, za czternaście niedziel go oddali. Powiadają ludzie, że za mniejszą winę nastraszono nieboszczyka Ościka, za to tylko, że nieostrożnie karteczkę do Moskwy napisał. A my i Cara w nogę całowali i grosze pobrali, a bez mała nie minie nas to,

co z tamtym się stało. Pan Gosiewski nie wiele po łacinie umiał, a jednak z mniejszym ludem, z mniejszym aparatem wojennym i z mniejszą żywnością Smoleńsk obronił." — Nie sprawdziły się groźby *„paszkwilantów,"* jakoby los Ościska miał dotknąć pana wojewody. Wprawdzie zapozwano go przed sąd sejmowy, ale sejm nie miał czasu zajmować się taką fraszką; byli też ludzie, co go zasłaniali i do końca życia zasłonili. A we dwa lata po śmierci Obuchowicza wyszła konstytucya sejmowa, która z potomków jego i spółwinowajców wszelką zdjęła odpowiedzialność. „Ponieważ *ex manifestis probationibus* (słowa są uchwały sejmowej z r. 1658) i z inkwizycyi *per scrutatores* na teraźniejszym sejmie *clare patuit*, iż *non ex aliquo condictamine* z nieprzyjacielem . . . ale z pewnych defektów . . . zamek smoleński w ręce nieprzyjacielowi przeszedł, przeto jako sukcesorów wojewody smoleńskiego tak i obywateli smoleńskich *liberos et innocuos pronuntiamus."*

Były więc *„defekta,"* ale nie znaleziono ich godnemi kary; bezkarność i anarchia stały się odtąd systemem Rzpltej, zaczem i owe *„defekta"* wracać musiały, z których zawsze jakaś szkoda na kraj się rozlewała. I odtąd, czy hetmani odmawiali posłuszeństwa królowi i na swą rękę z postronnymi prowadzili negocyacye, czy podskarbiowie bogacili się groszem publicznym z krzywdą ubogiej Rzpltej, czy w czasie wojny umawiano się z zewnętrznym nieprzyjacielem naprzeciw własnemu monarsze, a wewnątrz kraju trapiono zajazdem spokojnych obywateli; — wszystko to uchodziło płazem, tonęło w braterskiem *kochajmy się*, — wszystko zamazywała jakaś pacyfikacya lub ogólna amnestya, a wreszcie na wszystko znajdował się nieomylny sposób: *liberum veto* i zerwanie sejmu, ta najwyższa bezkarności sankcya!

* *
*

Pierwszą najszczytniejszą funkcyą każdego rządu, od Boga nań włożoną, jest straż sprawiedliwości „aby ci (jak mówi jeden z ojców Kościoła), których nie wstrzymuje bojaźń kary Bożej, grozą miecza świeckiego do poszanowania praw przymuszeni

zostali.“ Od tego wysokiego zadania żaden rząd bezkarnie uwolnić się nie może. Jak armia, która się bić nie chce, staje się motłochem godnym pogardy, jak Kościół, który zaniedbuje modlitwy i ofiary przestaje być Kościołem i godzien jest aby go ludzie zdeptali, tak też i rząd, który sprawiedliwości nie strzeże, sprowadza na siebie i na swych poddanych klęski nieobliczone, nie ma racyi bytu i drugiemu miejsca ustąpić musi. Tak się też stało i z dawnym rządem Rzpltej: ustąpił miejsca sąsiądom. — Wszystkim pamiętna jest głośna sprawa zabójstwa owej młodej pani, która stała się bohatyrką jednego z najpiękniejszych poematów polskich. W dawnych trybunałach naszych nie było kary na możnych winowajców, więc i tym razem omal nie skończyło się wszystko na podarku dwóch wsi, któremi ojciec zabitej chciał się pocieszyć z łaski zabójcy. Ale w tym czasie, ziemia ruska, gdzie ta zbrodnia została spełnioną, przeszła pod obce panowanie. Nowa monarchini, Marya Teresa, kazała ściśle jej dochodzić, trybunał ogłosił wyrok śmierci. A gdy sprawca jej trucizną od haniebnej śmierci wolał się uwolnić, cesarzowa kazała wyrok na trupie wykonać. — Podobnież w epoce pierwszego rozbioru toczył się w Warszawie głośny proces królobójców. Opinia publiczna, jak to u nas zwyczajne, wzięła ich w swą opiekę; widziała w nich, jeśli nie bohatyrów godnych uwielbienia, to w każdym razie godnych litości, i nie oni też, ale król zdawał się być winnym. Nie śmiał Stanisław August domagać się na nich kary, owszem sam za ich ułaskawieniem przemawiał, i dopiero na stanowcze żądanie obcych rządów, Austryi i Rosyi, jeden z królobójców swą zbrodnię gardłem przypłacił.

* * *

. . . . Ale na co się przyda minionych dziejów smutne rozpamiętywanie, kiedy i dzień dzisiejszy nie mniej dostarcza przykładów. Owszem dzisiejsze przykłady jeszcze smutniejsze jeśli to być może od dawnych. Bo dawniej choć publiczne zbrodnie uchodziły bezkarnie, prywatnych zazwyczaj dosięgała kara, — dziś i to już wątpliwe. Dawniej mó-

wiono: małych złodziei wieszają, wielcy bezpiecznie biegają; dziś i wielkim i małym nic złego się nie dzieje.*) Nie przeczymy, że była w dawnych wiekach zbyteczna srogość kar, zresztą twardością życia i obyczajów dość usprawiedliwiona; ale chociaż mogły być potrzebne pewne zwolnienia, to jednak nie do tego stopnia, aby odjąć karze należną jej grozę a spółeczeństwu nieodzowny na złych hamulec. Nie przeczymy, że w dawnym systemie więziennym pożądane były pewne reformy, ale jednak nie tak daleko, aby więzienia zmieniać w wygodne dla złoczyńców pomieszczenie, aby one wszystkie ich potrzeby w taki sposób zaopatrywały, jakiego nie zazna człowiek biedny, z mozołem na chleb swój zarabiający. Nie dawno temu pisał z więzienia lwowskiego młody złoczyńca do matki swojej, chwaląc się jak mu na niczem nie zbywa, jak się z nim dobrze obchodzą, jak rad jest, że się tam dostał. „O mój synaczku, odpisała mu matka, pilnujże się, abyś tak dobrego miejsca nie stracił.“ To też nic u nas zwyczajniejszego nad to, że gdy złoczyńca swą karę odsiedzi, opuściwszy więzienie postara się, by doń wrócić czem prędzej **).

* * *

---

*) Wartoby większą uwagę zwrócić na tę chorobliwą litość, króra się zawsze lituje nad zbrodniami, nigdy nad społeczeństwem. W procesach kryminalnych spostrzedz można, że byleby winowajca miał coś szlachetności, zaraz sympatye wszystkich kobiet pozyska; już gotowe go bronić i uniewinniać i wpływ ich bywa tak silny, że nieraz swego dokażą. Właściwe to uczuciu, że się do indywiduum przywiązuje i zasada nawet najwyższa o tyle tylko doń przemawia, o ile przez indywiduum bywa reprezentowana. Ta okoliczność sprawia, że natury uczuciowe do wymiaru sprawiedliwości najmniej są zdolne. Sprawiedliwość jak polityka musi wyłącznie przestrzegać zasady, a wszelkie na tem polu zboczenie ciężko przypłacić potrzeba.

**) Nie idzie o to tylko, aby więzienia uczynić twardszemi, choć i to ze wszech miar potrzebne, ale i o to, aby one istotnie dążyły do umoralnienia skazanego. W ten tylko sposób więzienia odpowiedzą swemu nazwisku: dom poprawy i kary. Na tem polu w więzieniach galicyjskich,

Instytucya przysięgłych, która zabezpieczając los niewinnych, miała zapewnić na winowajców należną karę, wymierzoną już nie wedle martwej skali poszlak lub dowodów, ale według żywego sumienia sędziów, stała się w naszych czasach i nie w jednym podobno kraju, prawdziwem *refugium pecctorum*. Bywają wyroki, które świadczą że w sumieniu przysięgłych zasady prawa i moralności głęboko zostały zachwiane i że ci, którzy rygorem kary mieli wzbudzić poszanowanie dla własności, rodziny, władzy i Kościoła, sami dla tych najwyższych w każdym narodzie instytucyj bardzo małe mają poszanowanie. Bywają przysięgli, których orzeczenia każą żałować, że winowajca pociągnięty został do odpowiedzialności; bo jeźli źle jest zostawiać występek bez kary, to stokroć gorzej doczekać się wyroku, że on na karę nie zasługuje. Sędzia, który w ten sposób pełni swój urząd wysoki, nierównie winniejszy jest od złodzieja lub mordercy. Bo ci choć kradną i zabijają to jednak pokryjomu i tem samem jakieś jeszcze uznanie sprawiedliwości oddają; tamten przeciwnie, wobec światła i z władzą najwyższem otoczoną dostojeństwem, albo zupełnie zbrodnię uniewinnia albo tak lekko się z nią obchodzi, że sama kara staje się do zbrodni podnietą. Że takie wyroki są dla sumień ludzkich zgorszeniem, dla organizmu społecznego trucizną, tego zbyteczna dowodzić; ale jeźli niewolno jest sędziow i sądy oddawać pod sąd, to zaprawdę domagać się wolno i należy, aby je zastąpiono innemi, bezpieczeństwu publicznemu lepiej odpowiadającemi."

---

z wyjątkiem Wiśnicza, wszystko jest jeszcze do zrobienia. Byłoby rzeczą nader pożądaną, aby sejm krajowy zajął się tym przedmiotem i wyznaczył komisyą z ludzi sumiennych, specyalnych do zbadania stanu więzień i projektowania ich reformy. Ogłoszone niedawno prace hr. Andrzeja Zamoyskiego *o systemie więzień irlandzkich*, byłyby nader szacowną wskazówką dla takiej komisyi.

I.

Przypadek który nazwiemy szczęśliwym, poznał nas z powyższemi od niechcenia na papier rzuconemi notatkami, jednego z naszych przyjaciół, a głębokiego badacza dziejów ojczystych. Zbyt one odpowiadały wewnętrznemu naszemu usposobieniu, jakiemuś uczuciu, nie umiejącemu znaleść nazewnątrz wyrazu, a przecież trapiącemu zakątek ducha, w którym siedziba sumienia, aby mogły pozostać w tece autora; wydobyliśmy je też z niej i dzielimy się niemi z czytelnikami naszymi. Jednocześnie stały się one dla nas ową kroplą, która przelewa napełnione naczynie owem czemś, które tak często w życiu nadaje formę tłoczącym się uczuciom i gromadzącym się myślom, owem *fiat* niezbędnem czy to w wielkich czy małych rzeczach, jednem słowem uporządkowały one owe trapiące nas uczucia, owe tłoczące się myśli o nowej chorobie dzisiejszego organizmu społecznego, którą odczuwaliśmy a którą dwa określają wyrazy — nowoczesna bezkarność! Mniemamy, i zaiste nie mylimy się, że nie sami odczuwamy ową chorobę, lecz że raczej to nasze poczucie jest tylko następstwem ogólniejszej, powszechniejszej potrzeby całej pozostałej jeszcze gromady uczciwych ludzi, której pierś szlachetną przytłacza to samo co nas oburzenie i przerażenie na widok owego społecznego objawu nowoczesnej bezkarności.

Widzimy z powyższego rysu dziejów naszych jak stopniowo bezkarność powiększała się i wzmagała z upadkiem narodu, z upddkiem spółeczeństwa i ze zbliżaniem się ostatecznej katastrofy. Była ona oznaką, symptomem upadku, była owym zwiastunem zawalenia się gmachu i widocznym dla niezaślepionych dowodem, „że jest coś chorobliwego w Danii.“ I w samej rzeczy do tego stopnia doprowadzona, rozwielmożniająca się zuchwale wobec sumienia publioznego, tak iż stała się nie wyjątkiem, ale zwykłym stanem społeczeństwa, była ona już zarazem przyczyną i skutkiem osłabienia ogólnego, rozprzężenia wszelkich węzłów, prostracyi i zgnilizny, po których nastąpił, bo nastąpić musiał, rozkład czy też jak go dzieje nazwały, rozbiór. Strasznie, bezprzykładnie w historyi upadło to społeczeństwo, upadł ten naród, który przecież tysiąc lat o własnych stał siłach, nie bez chwały i względnej wielkości; upadł nie dla braku przymiotów i cnót, których mu najzaciętsi wrogowie nie zaprzeczają, lecz w skutku zbytniego rozwielmożnienia się w nim pewnych zabójczych wad a więcej jeszcze w skutku miękiego z niemi obchodzenia się, niedostatecznej walki, zbyt słabej przeciw złemu reakcyi, a między temi wadami, kardynalną bezsprzecznie była owa bezkarność, której bogdaj czy nie bezpośredniem następstwem był nie tylko straszny, ale pod wielu względami sromotny upadek.

Niewprawny budowniczy oglądając stary gmach nie łatwo rozpozna czy pewny i bezbieczny; umiejętny i wytrawny, wypowie pod tym względem stanowcze zdanie, a to dla tego że pierwszy nie potrafi rozóżnić porysowań murów, drugi umie odgadnąć doniosłość każdego z nich. Są porysowania w murze bez znaczenia i doniosłości, które nie zatrwożą wprawnego oka umiejętnego budowniczego, są to bowiem po prostu porysowania ścian, nieuniknione następstwa czasu, dające się łatwo naprawić, są inne przecież, które zwrócą jego uwagę, zastanowią go i w końcu nakażą mu odsądzić budynek od dalszego użytku, grożą one bowiem zawaleniem, bo sięgają aż do fundamentów, których osłabienie ich jedyną przyczyną.

Któż z myślących ludzi patrząc na dzisiejszy gmach społeczny, który pomimo ciągłych gorączkowych napraw i hosmannowskich upiększeń, wciąż trzeszczy i co chwila, to z tej to z owej strony grozi głowom mieszkańców, nie starał się zbadać

jego rzetelnego bezpieczeństwa i rzeczywistej trwałości, nie starał się dociec czy i o ile ozdoby jego nie ukrywają bliskiej katastrofy zawalenia? Wielką sztuką w tem badaniu jest właśnie rozróżnienie zewnętrznych bez doniosłości porysowań od tych, które od fundamentów pochodzą, a jeżeli nie godzi się ani też jest uczciwem i użytecznem straszyć lokatorów fałszywemi alarmami, to z drugiej strony zbrodnią jest nie przestrzedz ich o porysowaniach świadczących, że podwaliny zgniłe, lub że się rozpadają.

Nie raz już przyszło nam w tem piśmie, zwrócić uwagę na oznaki zatrważające a raczej zapowiadające upadek dziejowo bliski, dzisiejszej apoteozowanej cywilizacyi. Wprawne i zdrowe oko wśród wszystkich świecideł, któremi otoczono tę cywilizacyę, dostrzeże niewątpliwie osłabienia, opadnięcia, zgnilizny, dostrzeże onych porysowań sięgających aż do fundamentów a każde wprawne i zdrowe ucho, wśród gwaru reklam i szabasu uwielbień świata dzisiejszego dla siebie samego, dosłyszy pewnych szmerów i odgłosów świadczących o obsuwaniu się murów. Między temi licznemi oznakami, nad któremi nie dalej jak w zeszłym roku zastanawialiśmy się na tem miejscu, coraz wyraźniej, coraz straszniej i tragiczniej odrysowuje się na murach gmachu owa bezkarność, na którą przychodzi nam dziś zwrócić uwagę, a która zaista nie jest nieznaczącem i bez doniosłości porysowaniem ścian, lecz szczeliną idącą od fundamentów do szczytu, a świadczącą o rozpadaniu się podwalin. Bezkarność, to ta sama (aczkolwiek, jak to okażemy niżej, stokroć niebezpieczniejsza obrzydliwsza i gorszego nierównie pochodzenia) która była zapowiedzią upadku Polski, coraz bezczelniej rozwielmożnia się i zdobywa sobie przeważne miejsce, już nie w jednym narodzie, ale w całym organizmie społecznym naszego świata żyjącego dzisiejszą cywilizacyą, pod wpływem górujących wyobrażeń, przekonań i obłędów, słowem pod wpływem tegoczesnego liberalizmu, wszechpotężnego, bezwzględnego, despotycznego — machiny tyrana. Władca ten dzisiejszych wyobrażeń i przekonań ludzkich wśród upojenia wszechwładzy nie powinienby odwracać lub zamykać oczów na owe *mane tekel fares* odrysowujące się coraz wyraźniej na ścianach, jego od złota kapiących gmachów, tem więcej — a może przemówi to do jego bezwyznaniowych i wolnych od przesądów pojęć — że nie są to ani

przepowiednie ani kabalistyczne znaki, lecz objawy naturalne, dające się rozumem zmierzyć, dające się poniekąd podciągnać pod matematyczne formuły, a świadczące, że budowli grozi niebezpieczeństwo. Jedną z takich oznak jest bezwątpienia owa nieraz zdumiewająca nowoczesna bezkarność. Wszechwładni dzisiejsi, ci którzy przewodniczą i podlegają zarazem liberalizmowi, którzy wyzyskiwać przez niego, usiłują go o ile się da wyzyskać i tą grą ciągłą są chwilowemi panami świata, ci wszyscy nareszcie, którzy rozkoszują w dzisiejszej cywilizacyi i dzisiejszych wyobrażeniach i którzy palą przed nimi jakby przed bożyszczami kadzidła, a którzy z takiem upodobaniem naigrawają się bezustannie z Polski i jej przeszłości, niech spojrzą na upadek Polski, na Polskę upadłą, której nie oszczędzają kopnięcia osła i niech się zastanowią nad jej historyą, już nie z nienawiścią do niej, ale ze zwrotem do dzisiejszego ogólnego stanu społeczeństwa; niech rozważą, powyższe szczegóły jej dziejów, a przekonają się może wtedy sami, że wkradająca się w ich bezwyznaniowo-liberalne spółeczeństwo bezkarność, nie jest czem innem jak złowrogą dla nich i ich dzieła zapowiedzią; im większy jej stopień, tem pewniejszy, tem prędszy koniec tego porządku rzeczy, który duma i pycha ludzka mniemają być coraz doskonalszym i silniejszym. Jeżeli bezkarność w jednym narodzie była oznaką jego upadku, o ileż w łonie ogólnej cywilizacyi jest ona sroższego zamętu i straszniejszych kataklizmów zapowiedzią! Jak porysowanie murów jest skutkiem innego złego, które tkwi w podwalinach, tak samo wielka dzisiejsza rysa spółeczna bezkarności ma swoją głębszą przyczynę.

Jednem z głównych znamion świata dzisiejszego jest coraz większe, niemal już dziś zupełnie pomięszanie pojęć moralnych. Od chwili jak nie tylko, że powstała, ale wolny a poniekąd tryumfujący ma bieg idea, że społeczeństwo obejść się może bez religii, pomięszanie to było nieuniknionem, dosięgnąć ono musiało wszystkich kierunków życia, a tem samem i wielkiej sprawy, sprawiedliwości na ziemi; ludzie puszczeni samopas, bez wiary i obawy wyższych, nadprzyrodzonych czynników, pozostawieni sami sobie, bez przewodnika, bez nici Ariadny, w wielkim labiryncie świata moralnego, błąkają się w nim i we wszystkich jego zakątkach — błądzą. Jedyną podstawą moralną w naszym świecie była idea chrześciańska, wiemy ile dołożono

usiłowań, jak wciąż jeszcze zawzięcie pracuje się nad jej usunięciem, a im to dzieło dalej postępowało i postępuje, tem większy musiał powstawać chaos i zamęt w wyobrażeniach i przekonaniach, tem większy, że jak już dawniej zauważaliśmy, nie zastąpiono ani też nawet pomyślano o zastąpieniu owej niezbędnej, bo jedynej podstawy, inną, nową, lepszą. Kierunek ten niszczący, jedyną podstawę moralną swiata, bez troski i zamiaru zkądkolwiek, zastąpienia jej inną, jest najwyższym a jedynym w dziejach wyrazem destrukcyi. Działanie tej ultradestrukcyjnej dążności sprowadzić musiało chaos w dziedzinie moralnej, jakby go podobnie silny destrukcyjny kierunek w dziedzinie materyi i tam sprowadził i temu to powstałemu już chaosowi przypisać należy nie tylko pomięszanie wyobrażeń o słuszności i niesłuszności o poczuciu prawa i sprawiedliwości, ale także zachwianie się samej sprawiedliwości w jej najwyższej czynności, w wymiarze kary. Trudno zaiste wymierzać karę, gdy się nie ma jasnego i pewnego pojęcia o karygodności, gdy się jest zachwianem w przekonaniu o tem co karogodnem, gdy się nie ma zdrowego niezamąconego wyobrażenia o odpowiedzialności człowieka już nie tylko wobec społeczeństwa, ale przedewszystkiem w obec wyższego prawa moralnego. Inaczej zaś być nie może, od chwili jak ludzkość stała się sama sędzią nadprzyrodzonych praw i pozbyła się wszelkiej wyższej reguły życia, tak niezbędnej dla podpory jej wrodzonej słabości i niemocy. Wszystko na tym świecia dziwnie się z sobą wiąże i spaja, a od chwili jak rozpowszechniło się przekazanie że społeczeństwo ludzkie istnieć może bez pomocy wyższych czynników, to jest bez jakiejkolwiek nadprzyrodzonej religii, szerzy się też nieznacznie, powoli, ale nie mniej wyraźnie i przerażająco jakieś chorobliwe poczucie, że obejść się ono może bez sprawiedliwości i bez kary, a tak bezwyznaniowość i bezkarność są rodzonemi siostrami a obsługują je ci sami kapłani. Bezwyznaniowe prawodawstwo doprowadzić musi ostatecznie albo do prawnego mordu, albo do bezkarności. I zważmy że jeżeli w jednym kierunku przeważające dziś wyobrażenia bezwyznaniowo-liberalne, pozbawiając społeczeństwo i człowieczeństwo wszelkiej religii, doprowadzają destrukcyą człowieczeństwa aż do zwierzęcości, to z drugiej strony do tego samego dochodzą następstwa wprowadzając bezkarność, która także jest znamieniem zwierzęczości, zwierzęta bowiem żyją bez sprawiedli-

wości i kary pozbawieni w życiu swem ograniczonem wynikającego z nich bezpieczeństwa, dla tego, że im je dać nie może wyższa moralna siła.

Przecież pomimo przewrotności, kłamstwa, upadków i spodleń, natura ludzka, jak ma w sobie samej uczucie konserwacyi ochraniające ją od materyalnych niebezpieczeństw, tak samo posiada w sobie coś co ją broni i ochrania przed ostatecznem zezwierzęceniem; to coś, jest stokroć większem i silniejszem w zbiorowem człowieczeństwie, które się zwie społeczeństwem; ile razy ludzkość zbliża się do granic zwierzęcości, tyle razy w skutku owego czegoś tkwiącego w niej samej, a które jest po prostu wstrętem przed zbydlęceniem, odskok jej jest gwałtowny; zbaczając bezwiednie, jak w dzisiejszej epoce, z drogi człowieczeństwa kroczy jakiś czas drogą prowadzącą do zezwierzęcenia, aż dojdzie do ostatniego kresu, do granicy, od której cofa się instynktownie z przerażeniem, to cofnięcie się w tył, jest naturalną, nieuniknioną reakcyą. Podobny nie zbyt dawny przykład mieliśmy po zwierzęcych wypadkach, pierwszej wielkiej rewolucyi francuskiej. Nim jednak dojdzie się do kresu, postępuje się ową drogą zwierzęcenia zwykle nieznacznie, niespostrzeżenie, bezwiednie, lecz zawsze i niezmiennie, wkracza się na nią tam, gdzie niknie z przed oczu społeczeństwa drogoskaz moralny, wiara i religia. Tak się stało w starym świecie, gdy poganizm stracił swą moc moralną, tak się stało przed rewolucyą francuzką, kiedy filozofia ośmieszyła dogmatyczną wiarę. Natura ludzka jednak i w owych chwilach nie przestaje być ludzką, naginanie bowiem, nie jest przeistoczeniem, pozbawiona podstawy moralnej do której nawykła, instynktownie szuka jakiejkolwiek i gdziekolwiek, całkiem bez niej obejść się nie może i albo wtedy odszukuje jej u źródła wszelkiej prawdy, to jest w Bogu, jak się to stało przy upadku Rzymu, albo w chwilach, w których odwraca się od Boga a Bóg od niej, odnajduje ją w sobie samej, jak przed rewolucyą francuską, kiedy religią zastąpiła mania filozoficzna; w pierwszych wypadkach ludzkość wkracza na wielki gościniec swoich przeznaczeń, w drugim zmierza nieco tylko dalszą drogą do owego punktu, do którego wcześniej czy później dochodzi a na którym przedstawiający się jej obraz zwierzęcości tak ją przeraża, że się w tył cofa.

Przy powtórnym szturmie przypuszczonym obecnie do idei chrześciańskiej, szturmie dotąd tak pomyślnie prowadzonym acz jeszcze nie zwycięzkim, dostrzedz możemy objawów podobnych a potwierdzających nasze rozumowanie. Ludzkość w znacznej już części pozbawiona wiary zdrowej, silnej w dziedzinie świata moralnego, pozbawiona religii płynącej od Boga, zachwiana jednem słowem w swoich przekonaniach chrześciańskich, doprowadzona do wiary w kłamstwo społeczeństwa, bez religii nadprzyrodzonej, a więc bardziej niż kiedykolwiek pchnięta na drogę prowadzącą do zwierzęcości, instyktownie, nerwowo, chwyta się przecież, jakichś pojęć wyższych, źle określonych, zbałamuconych i zamąconych, jak zbałamucenie i zmąconemi są jej wyobrażenia, lecz dzielących ją choćby na chwilę od królestwa zwierząt i tak sama, wytwarza sobie jakąś wiarę, w którą nie wierzy, lecz radaby z biedy w nią wierzyć, jakąś, jeżeli już nie boską, to ludzką religię, I oto zamiast prawdziwych pojęć wyższych i moralnych, zamiast odwiecznego stosunku, człowieka do Boga, a z niego dopiero wynikającego stosunku człowieka do ludzi, wytwarzają się owe chorobliwe, źle określone, śmieszne i zgubne a przecież nie pozbawione smętności i tęsknoty za czemś wyższem, wyobrażenia humanitarne i filantropijne, które tak przeważny, tak złowrogi i tak stanowczy wywierają wpływ na sprawę, którą się zajmujemy, że je nazwać możemy chrzestnemi rodzicami bezwyznaniowej bezkarności.

Zastąpienie religii boskiej religią ludzką, musi zawsze pociągnąc za sobą nieuniknione następstwa, a bliżej nierównie od religii ludzkiej do zwierzęcenia, jak od religii boskiej do ludzkiej! Stan wytworzony potrzebą chwilową a instyktowną, religii ludzkiej, jest to stan wyjątkowy, chorobliwy, chorobliwemi też zawsze muszą być wszystkie jego objawy. Już pod koniec wieku zeszłego, przytępiony zmysł religijny i moralny tak dobrze w rządach jak masach, zgłuszył tę zazadę, że kara jest expiacyą występku i wywołał tę przesadną nad winowajcą litość, wobec której, nie ma litości ani nad ofiarą ani nad społeczeństwem. Dziś zaś w skutku wpływów humanitaryzmu i filantropii, w zamian uczucia sprawiedliwości opartego na zasadzie moralnej, wyrodziła się pewna sentymentalność nerwowa, pewna czułostkowość i miękkość ochrzczona nazwą ludzkości! Karę za winy zastąpiła wyrozumiałość dla ułomności ludzkich, która

zwolna przeistaczać się poczyna w sympatyę dla winowajcy, a zamiast wielkiej i silnej zasady przebaczenia i łaski, zapanowało gorszące pobłażanie, które niczem innem nie jest, jak tylko uświęceniem na tej ziemi występku.

Chorobliwy ten wpływ chorobliwych uczuć i przekonań, jest bezpośredniem następstwem podkopania i zepsucia podwalin społecznych, i ogarnia on powoli, łagodnie, ale niemniej podstępnie, a coraz wyraźniej, dziedzinę sprawiedliwości społecznej a rozliczne jego korzenie wybujały w przerażający swoją potwornością kwiat, bezkarności. Zgubne, fałszywe, mylne pojęcia, których początek wskazaliśmy, wsiąkają we wszystkie części ciała społecznego i zaraziły już samą siedzibę sprawiedliwości. Z postępem i pod wpływem destrukcyjnych prądów dzisiejszej Europy, choroba bezkarności, rozszerza się coraz dalej, a jak dawniej rozprzęgła ona i wywróciła nasz organizm polityczny tak dziś szarpie i niweczy ostatnie węzły społeczeństwa. Sprawiedliwość bowiem będąc reprezentowaną i wykonywaną przez ludzi, nie może ochronić się przed ogólnym wpływem górujących wyobrażeń i one to czynią ją coraz więcej pobłażliwą, humanitarną, filantropijną a ostatecznie ani karzącą ani karcącą. Doczekaliśmy się tego, że we wszystkich kierunkach swej działalności, sprawiedliwość przemienia się zwolna w instytucyę dobroczynną dla złoczyńców.

Jakże przerażająco sofistycznym jest zawsze wpływ idei, których początek nie w prawdzie,! Owe humanitarne i filantropijne idee, które zastąpić nadal mają wszelką wiarę i religię, powstały jedynie z apoteozy ludzkości, owego człowieczego bóstwa, stworzonego wycieńczoną wyobraźnią racyonalizmu; a przecież w naturalnym swym biegu dochodzą one do następstw i wyników, które niczem innem nie są jak tylko zamachem na ową ludzkość. W wymiarze sprawiedliwości i kary, doprowadzeją one do osłaniania i oszczędzania złoczyńcy i zbrodniarza, do ochraniania ich, a tem samem nie tylko że krzywdzą ofiary, ale poniekąd dają premię za nowe zbrodnie i bezprawia, mnożą je tem samem, a tak powstałe w imieniu ludzkości, zadają same sobie kłam sromotny, bo oszczędzają jednostki ze szkodą i narażeniem bezpieczeństwa ogółu, owej ludzkości — Boga!

I tak się też dzieje. Zdenerwowana i obałamucona społeczność dzisiejsza wysila się we wszystkich kierunkach, aby złoczyńcę

ochraniać i skutki zbrodni jego uczynić mu jak najmniej przykremi. Nie tylko w prawodawstwie, ale w całej działalności sprawiedliwości widoczną, wyraźną jest ta dążność, począwszy od filentropijnych urządzeń więzień, aż do narzucającego się wszędzie obcesowo spółeczeństwom, zniesienia kary śmierci. Te względy rozliczne, ta pobłażliwość czułostkowa, ta nieroztropna wspaniałomyślność dla złoczyńców, ta troska o ich wygody zarówno jak o bezpieczeństwo ich gardeł, to bezkarność legalna, uznana, zawotowana przez parlamenta, to już na dzisiejszem spółeczeństwie zdobyty niejako przez złoczyńców przywilej; a tak w skutku dziwnej, lecz słusznej sprawiedliwości, owej wyższej rzeczy ludzkich, wiek który zniósł, wszystkie i wszystkich przywileje stworzył je jedynie dla złoczyńców. Gorsza jednak i bardziej przerażająca bezkarność innej natury i treści swita już na widnokręgu dzisiejszej cywilizacyi. Mamy tu na myśli ową dążność w samym wymiarze sprawiedliwości uniewinnienia, lub przynajmniej oszczędzenia, już nie oskarżonego, ale winnego, dążność ułagodzenia i doprowadzenia do *minimum* kary. Kierunek ten sprawiedliwości coraz wyraźniejszy, bo wpływ na nią wyobrażeń filantropijnych wpływ atmosfery przesyconej humanitaryzmem coraz większy; nie tylko w urządzeniach i w prawodawstwie czuć się on daje, ale w samym wymiarze sprawiedliwości, w praktyce, a zawsze i nieodmiennie działa on na korzyść przestępcy, i uczy tłomaczyć na dobre tak sam występek, jak jego przyczyny i powody, ze szkodą spółeczeństwa. Pod wpływem owych wyobrażeń sędziowie jakiemikolwiek oni są, drżą coraz więcej przed odpowiedzialnością, dla tego że nie mają o co ją oprzeć, że brak im potężnej podpory moralnej, a owo: *nie chcę bra na moje sumienie*, tak zwykłem jest obecnie, dla tego właśnie że sumienia coraz mniej w świecie, że zastępuje je czułostkowa a sofistyczna filantropia. I zważmy dobrze, że nie jest to wcale owa szlachetna i łatwa do zrozumienia obawa ukarania niewinnego, którą sędzia zawsze winien być przejęty, nie tu obawa zbyt srogiego, zbyt nieludzkiego obejścia się z przestępcą, ze złoczyńcą, ze zbrodniarzem, którego wina, została uznaną, dowiedzioną, do której nawet sam się przyznał. Ludzie moralnie tak zmaleli, tak nisko upadli, że nieczują w sobie ani mocy, ani powagi, ani powołania, ani namaszczenia do karania. Nie tylko nieśmią uderzyć ale nawet brak im siły do podniesienia ręki

dla wymiaru sprawiedliwości. To zawachanie się w wymiarze kary, nie w obec wątpliwości, lecz wobec dowiedzionego, uznanego czynu, pozostanie jednym z najbardziej charakterystycznych rysów epoki, a droga fałszu tak jest pochyłą, że nieznacznie lecz nie mniej znacząco, wachanie to zamieniać się poczyna w jakieś współczucie dla przestępcy, którego inaczej pojąć ani wytłomaczyć sobie nie można, jak tylko tajemną sympatyą pokrewnych dusz, lub czemś w rodzaju *Wahl-Verwandschaft*. — Czyżby już świat, tak nisko upadł, iżby wszelkie wyłamanie się z pod prawa, choćby pięścią lub siekierą, choćby wytrychem lub wytrychowem sumieniem, miało znaleść współczucie w tylu pokrewnych duszach, żeby aż zabrakło surowych sędziów? W logicznem następstwie, niewątpliwie, dla zbyt wielkiej ilości przestępców nie byłoby sędziów.

Do czegóż to publiczne naigrawanie się za sprawiedliwości przez sprawiedliwość samą doprowadzić może, jeżeli nie do zabicia jej w samej istocie i treści, a więc do zastąpienia jej obroną osobistą i doraźnym wymiarem kary, czyli powrotem do stanu dzikości lub zwierzęcości. Sprawiedliwość weszła na drogę prowadzącą ją do samobójstwa. Srogie pomiatanie prawem, którego byliśmy i jesteśmy świadkami, dosięgło samej siedziby prawa i sprawiedliwości, a zasada i poczucie prawa poniewierane i zgnębione w wielkich sprawach tego świata, zamierają i gasną w ognisku, bo w piersi sędziego.

Jeżeli dawniej oskarżano pochopnie sądy i sędziów o zbytnią surowość i srogość kar, przypisując je potężnym wpływom lub stronniczości, to zaiste dziś zawsze i nieodmiennie posądzićby ich można i to z większą może słusznością o pobłażanie, o względy o jakąś skrytą dla zbrodniarzy i przestępców, niewytłomaczoną sympatyę, posądzićby ich można o uległość i schlebianie wyższym i potężnym wpływom, tylko że nie w wymiarze kar, ale raczej w zawieszeniu miecza sprawiedliwości i o schlebianie tem i uleganie wszechpotężnym wyobrażeniom wieku i epoki, a zarazem o obawę tak dziś strasznej niepopularności.

W prostem następstwie owej tegoczesnej plagi, owej zarazy bezkarności, dojść musimy do tego, że zbrodnia się rozwielmożni, zyska niejako prawo obywatelstwa, zbrodniarze mnożyć się będą, a w końcu zabraknie kata. Będzie to ostatnim wyrazem tej

destrukcyjności, która jak tkwi w wielu wyobrażeniach dzisiejszych, tak samo znajduje się w łonie bezkarności.

Bezkarności w samej sprawiedliwości towarzyszy inna, ściśle z nią złączona a jeszcze może groźniejsza, jaszcze wyraźniej zwiastująca upadek, bezsilność moralną i zgniliznę, bezkarność ze strony opinii publicznej; ona to oddziaływa tak zgubnie, tak chaniebnie na wymiar sprawiedliwości. Dzisiejsza tak nazwana, opinia publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinionego ale winnego, nie tylko winnego ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary, ona go otacza swemi skrzydłami opiekuńczemi i w imieniu liberalizmu i filantropii, zdaje się wołać do sędziów; nie karzcie, jeżeli nie chcecie być potępionymi. W każdym niemal procesie głośniejszym, znika wnet z widowni pokrzywdzony, a głównym bohaterem dramatu, który skupia całą sympatyę widzów, staje się krzywdziciel. A tam i w tem gdzie zwykła sprawiedliwość dosięgnąć nie może, lecz gdzie opinia publiczna ma moc karcenia i karania, czyż widzimy wymiar sprawiedliwości! Zaniechano go, i nie ma już ludzi, którymby nie podawano ręki, nie dlatego zaiste aby nie było takich, którymby ręki podać nie należało, ale dla tego, że nie ma już takich, którzyby jej nie podawali. Obydwie te bezkarności schodzą się w jednym celu w jednej myśli, a raczej bezmyśli, bo ich początek ich przyczyna ta sama, brak podstaw moralnych obydwie podają sobie ręce, aby powoli zatrzeć różnicę między winowajcą a niewinnym, między zbrodniarzem a cnotliwym, między złoczyńcą a uczciwym człowiekiem i sprowadzić w praktyce i życiu ten sam zamęt, który już istnieje w wyobrażeniach i pojęciach, a którego ostatnim demokratycznym wyrazem, będzie równość wobec sprawiedliwości tych którzy ją gwałcą z temi którzą ją szanują. Lecz i tu jak zwykle, równość będzie złudną i teoretyczną, bo nie wątpliwie zbrodniarze będą mieli nad niewinnemi wielką wyższość i przewagę i w końcu utworzą zbyt potężną kastę, najstraszniejszą oligarchię. A zaprawdę jak w słynnej powiastce Voltaire zebrał w Wenecyi grono zróconych królów i książąt, tak samo dziś już możnaby zgromadzić u jednego stołu liczny zastęp głośnych, a na wolnej stopie żyjących przestępców i zbrodniarzy. Nie dziś tylko ale zawsze, zbrodnia i występek nieraz unikały kary i swobodnie żyły na świecie, lecz dawniej dla braku dowodów, dla zbiegu okoliczności, w skutku

szczęścia czy zręczności, nigdy jak obecnie w skutku i pod zasłoną wyobrażeń i pojęć przeważających, z dobrodziejstwa filantropii, nigdy jeśli były przekonane, dowiedzione lub same się wyznaniem stwierdzały; i właśnie ta bezsilność, ta niemoc, czy też ta łagodność sprawiedliwości dla dowiedzionej, udowodnionej wyznanej zbrodni lub przestępstwa, stanowią treść i odrębne znamie dzisiejszej bezkarności, jest to bezkarność legalna jak legalne są wszystkie bezprawia obecnych czasów. Nie jest to jak dawniej oszukaniem lub uniknięciem sprawiedliwości, lecz przeciwnie, sama sprawiedliwość potępia a nie karze, lub wymierza pazorną karę pozbawioną siły karcenia. Bezkarność tak dalece jest w powietrzu, w atmosferze, w usposobieniu ogółu, że najczęściej nawet tam gdzie sprawiedliwość zdobywa się na karę, zwykle znów, jakiś dziwny zbieg okoliczności, wstrzymuje lub przeszkadza jej wykonaniu; nie tylko sędziowie, ale i strażnicy więzień pomagają bezkarności. Ucieczki z więzień, ich ułatwienia stają się coraz częstszemi i coraz zaszczytniejszemi, a osłoniętemi są także bezkarnością; niemoc sprawiedliwości coraz widoczniejsza we wszystkich kierunkach. Dwa takie gorszące, a głośne przykłady naigrawania się z kary mieliśmy w tych czasach; ucieczkę Rocheforta z towarzyszami w zbrodniach komuny i świeżą ucieczkę Bazaina. I w jednym i w drugim wypadku stokroć lepszem było zaniechanie procesu, jak dopuszczenie aby dramat odegrany z całą teatralną grozą, zakończył się krotofilą; i tu i tam powody oskarżeń i wyroków, nie dozwalały nie przypuszczały półśrodków, lecz wymagały dla zdrowia ducha publicznego, dla zbawienia publicznéj moralności i ochronienia społeczeństwa, przykładnego, surowego, bezwzględnego ukarania. Co za przykład gorszący, co za dowód niemocy, jakie zabrnięcie w zgniliźnie! oskarżyć, skazać obywatela, za mordy i pożogi, wojnę domową, i najochydniejsze zbrodnie w ojczyznie, oskarżyć, skazać marszałka Francyi za zdradę i niewypełnienie obowiązków wobec nieprzyjaciela, a przecież rzeczywiście i ostatecznie dozwolić im korzystać najzupełniej z dobrodziejstw bezkraności! A właśnie tak się stało, takiego zgorszenia jesteśmy świadkami i Rochefort podżegacz komuny i Bazaine działacz ochydnej kapitulacyi Metzu, mogliby dziś powiększyć owe grono dostojnych zbrodniarzy na wolnej stopie, o którem wyżej wspominamy. I jeden i drugi stali się bohaterami bezkarności, i jeden i drugi

stali się tylko głośniejszemi, Rochefort wydaje jak przed tem humorystyczne manifesta do Francyi i do ludzkości, Bazaine używa dalej tytułu marszałka i ściska się z Prusakami. A publiczność a opinia publiczna chciwie patrzy się na to widowisko na te wyścigi bezkarności z małemi przeszkodami; ciekawość zagłusza w niej wszelkie inne uczucia, a zręczność ucieczki zaciera pamięć ochydnej kapitulacyi i zbrodniczych pożarów. Jest to jednem słowem przedrzeźnianie się, jakiś wielki a potworny grymas bezkarności wobec idei prawa i zasady sprawiedliwości.

I w jakich to czasach w jakiej epoce, wśród jakich górujących i panujących wyobrażeń, szerzy się i rozwielmożnia bezkarność? Oto wtedy kiedy materyalizm górą, kiedy walka o byt jedyną zasadą, a jedynym ideałem dobry interes. Jeżeli przestępstwo a nawet zbrodnia zawsze i wszędzie będą w skutku bezkarności, mniej lub więcej dobrym interesem, ktoż się przed niemi dziś cofnie? A z drugiej strony w nieuniknionem następstwie, cnota i poszanowanie prawa staną się najgorszemi, najniedorzeczniejszemi interesami, o ile akcye tamtych pójdą w górę, o tyle tych spadną. Któż nie cofnie się dziś z przerażeniem przed złym z góry interesem? Kto? Mała gromadka uczciwych dla uczciwości, którzy zaiste niepocieszną odgrywać będą rolę zawsze oszukanych i wyśmianych. Bezkarność będąc podwójną ze strony sprawiedliwości i ze strony społeczeństwa, ze strony sędziów i ze strony opinii publicznej, kurs akcyj nieuczciwości pędzony jest do góry treibhauzową temperaturą, gdy przeciwnie akcye uczciwości ulegają chronicznemu *krachowi*. Sprawa kryminalna, sam kryminał, złodziejstwo, oszukaństwo, kradzież nie mówiąc już o *schwindlu*, tem najwykwintniejszem przestępstwie, nie odcinają dziś bynajmniej sprawcy od społeczeństwa, znajduje on w niem sympatyczne dusze, i dostateczną dozę pobłażania aby w jej atmosferze żyć pogodnie. Co więcej, ileż to razy podobna chwilowa i przypadkowa przeszłość nie przeszkadza wcale kierować później opinią, moralizować społeczeństwo, obrzucać błotem uczciwych ludzi i słuszne sprawy. Jeżeli przestępstwo, jeżeli zbrodnia nawet, staną się w dzisiejszych czasach, wśród dzisiejszych wyobrażeń, dobrymi interesami, nie wątpić zaiste pod karą śmiesznej naiwności, że się mnożyć i rozszerzać będą w nieskończoność. Nie inaczej już tłomaczoną bywa bezkarność

przez łaknące dobrych interesów warstwy, a owe słowa fryzyera powiedziane z powodu wyroku w głośnej a zbyt bolesnej w naszym kraju sprawie, winny swoją szczerością baczną na siebie zwrócić uwagę, „za połowę tej sumy, rzekł on, chętniebym siedział dwa razy tyle.“ Otóż i gotowy dobry interes. Tak więc bezkarność schodząc się z przeważającemi właśnie wyobrażeniami, apetytami, żądzami, ideałami, stanowi wspólnie z niemi nieobrachowaną siłę destrukcyjną, tem skuteczniej działającą, że przedmiot w który uderza właśnie jest tej natury, że nie znosi jej pocisków i najprędzej pod niemi runie. Świat dzisiejszy przeważnie materyalny, przeważnie oparty nie na ideach lecz na interesach, wymaga i potrzebuje dla swego bezpieczeństwa i istnienia, kredytu, zaufania, opieki, a któż bardziej, a któż więcej zdolny je zniszczyć, zachwiać, zniweczyć, jeżeli nie bezkarność? A gdzież bardziej grasuje ona obecnie, jeżeli nie w świecie interesów i w idealnej krainie *schwindlu*, nie przystępnej ani dla represyi ani dla kary? Im bliżej więc przypatrujemy się apoteozowanej cywilizacyi dzisiejszej, tem wyraźniej dostrzegamy, że sama w sobie i przeciw sobie, w głównych swych wyobrażeniach i kierunkach nosi żywioły i narzędzia destrukcyi, tem lepiej widzimy i rozpoznajemy porysowania, których przyczyna w fundamentach. I zaiste niemała to pociecha, nie małe zadowolnienie nawet wyznajmy *Schadenfreude*, a wielka nadzieja, dla wszystkich, którzy nie zaślepieni jej ułudnym blaskiem, nie dali się zaprządz do jej zwycięzkiego rydwanu, dla wszystkich tych, którzy nie są zwycięzcami lecz zwyciężonymi chwili obecnej.

Zważmy dalej o ile tu akcya i reakcya są silne. Jeżeli z jednej strony bezkarność jest skutkiem i następstwem pomięszania wyobrażeń i pojęć, pojęć o prawie i słuszności, to z drugiej strony, ona znowu nadzwyczaj dzielnie dopomaga do dalszego i coraz większego zamętu. Nic może w tak wysokim stopniu nie mąci wyobrażeń, jak wpływ bezkarności i zawsze jest ona źle i musi być na złe tłumaczoną, bo będąc pobłażaniem a nie łaską nie przebaczeniem, niszczy dobry i drogocenny wpływ tamtych tak dalece, iż rzec można, że bezkarność zabija przebaczenie, czyniąc z wyjątku regułę.

Wedle przeważających dziś wyobrażeń, co gorsza, wedle szerzącej się praktyki, czego niestety niejeden mieliśmy przykład,

dziwna a zgubna wyrabia się teorya o okolicznościach zwalniających, która w wysokim stopniu pogorsza bezkarność. Przeszłość zaszczytna człowieka, jego wykształcenie, wpływ moralny, który wywierał, zaufanie które wzbudzał, stanowisko jego poprzednie, są to zwykle dziś nieobciążające, lecz zwalniające okoliczności, a przecież im stanowisko moralne było wyższe, tem upadek jest większy, im wpływ był znamienitszy, tem odpowiedzialność jest większa, im zaufanie było znaczniejsze, tem krzywda jest większa, a temsamem bezkarność zgubniejsza; tak jest bo im wyżej się ona wznosi, tem głębiej dosięgają jej skutki w społeczeństwie, a przykład złego u góry jest mniej szkodliwym i niebezpiecznym jak przykład bezkarności. Wykształcony, prawy, moralnie wyższy, obudzający zaufanie człowiek, popełnia zbrodnię, odpowiedzialność jego za nią jest tem samem niezaprzeczenie większa, jak tych, którzy niżej od niego stoją moralnie, osłaniająca go więc bezkarność jest szodliwsza i prosta, zdrowa loika ludowa wybornie to rozumié i wyrozumuje; sami słyszeliśmy jak wobec podobnego przykładu, posługacz wysłany z małą sumą pieniężną na pocztę z przestrogą, aby ją oddał, a nie zniknął z nią, odpowiedział żartobliwie, a przecież z głębszą myślą: „Jeżeli za tysiące skazano uczonego pana na rok, to przecież mnie za kilkanaście reńskich nicby nie było.“ U dołu jest jeszcze poczucie odpowiedzialności, które dlatego, że u góry zaciera się coraz więcej, mącą się i bałamucą w tak zgubny sposób prawdziwe pojęcia, obciążających lub zwalniających okoliczności. I zaprawdę zastanawiając się nad dzisiejszym stanem rzeczy, nie raz ma się jakby przeczucie nowej wieży Babel, około której nastąpi ostateczne i zupełne pomięszanie już nie języków, ale wyobrażeń, z którego dopiero powstanie nowy porządek moralny, jak z chaosu powstał świat materyalny.

Dziwne zdumiewające są doprawdy niektóre objawy dzisiejszej, nowożytnej bezkarności; o ile zniechęca ona pokrzywdzonych do sprawiedliwości, do poszukiwania jej lub odwoływania się do niej, o ile budzi w nich zwątpienie coraz większe o wymiarze sprawiedliwości, o tyle z drugiej strony napełnia ona przestępców i zbrodniarzy nieograniczonem do niej zaufaniem. Rozczulającem jest zaprawdę dzisiejsze zaufanie przestępców do sędziów, rozczulającemi są te coraz częstsze oddawania się w ręce sprawiedliwości, i szczere, otwarte, lojalne, odważne zeznania winy.

Nikt i nic nie obudza większego zaufania w winowajcy jak sprawiedliwość! Dawniej przestępca, zbrodniarz krył się, uciekał, szukał schronienia w nieprzystępnych miejscach w lasach i górach, między dzikiemi zwierzętami, przepływał ocean i uciekał do Ameryki; dziś przeciwnie zbrodniarz czuje się niejako bezpiecznym i nie ma nic pilniejszego do zrobienia, jak oddać się w ręce sprawiedliwości, jak zapisać się do więzienia, jak szukać schronienia, legalnej opieki tam, gdzie dawniej czekała go sroga lub straszna kara. I czyż nie widoczny, niezatrważający to, dla nieuprzedzonych a zdrowo się patrzących, dowód, zwiększenia się potężnienia bezkarności!? Stokroć moralnie wart był jeszcze więcej ów zbrodniarz, który czuł ciężar swej winy, który jej wyznać nie śmiał, który drżał, ukrywał się przed spawiedliwością, od tego który swobodnie wyznaje winę i opowiada ją sądowi jako zdarzenie życia, którego następstwa uregulować, ulegalizować, złagodzić jest rzezą tegoż sądu, w którego objęciach schrania się z całem zaufaniem; w tamtym był jeszcze wstyd zbrodni i jej groza, w tym jest bezwstyd występku. O tak stokroć lepsza moralnie, ucieczka do Ameryki, krycie się po lasach i górach, jak proste, na pozór odważne, a oparte na dobrze wyrachowanej i ugruntowanej nadziei bezkarności, oddanie się w ręce sprawiedliwości. W każdym razie ucieczki i krycie się zbrodniarzy, nierównie lepiej świadczyły o stanie społeczeństwa i o sprawiedliwosci sądów, jak dzisiejsze wyznania i oddawania się. Darmo sąd to nie konfesyonał, przed którymby zbrodniarz nawet miał odwagę wyznać spełniony czyn. I rzecywiście owa łatwość przyznawania się do zbrodni, owa pochopność do oddawania się w ręce sprawieoliwości, to po prostu cynizm zbrodni, jak wobec owych wyznań, mniejsza lub większa pobłażliwość sądów, jest tylko cynizmem bezkarności. Zbrodniarze i przestępcy szukają bezpieczeństwa i schronienia na łonie samej sprawiedliwości, bo ono przepełnione współczuciem i pobłażaniem dla nich. Zamiast grozy i przerażenia, które w winowajcach obudzała sprawiedliwość, widzimy teraz między niemi a jej trybunałem jakieś poufałości, pewną kokieteryę i zamianianę oznak dziwnej, niepojętej sympatyi. Owa chęć okłamania sprawiedliwości, którą z taką goryczą wyrzucał Brid-oison oskarżonemu, stała się zupełnie zbyteczną i niepotrzebną, bo szczere i otwarte wyznanie winy jest najkorzystniejszym wybiegiem.

I kiedy wszystko to dzieje się i rozkrzewia pod godłem ludzkości, to zaprawdę mniemaćby można, że ludzie i bogi tej cywilizacyi i tego świata, w którym do tego stopnia skrzywione są wyobrażenia, już szaleją. Ileż to bowiem ofiar, ofiar z tej ludzkości, pociąga za sobą pobłażanie dla jednego zbrodniarza. a ileż ubywa bezpieczeństwa dla tej samej ludzkości, w imieniu której wstrzymuje się ręka sprawiedliwości w wymiarze kary. Daremne usiłowania! Wasza bezkarność nie oszczędzi ani jednej ofiary, nie zmniejszy ich statystyki o jedną cyfrę, nie ujmie jednej klęski, mnożyć tylko będzie i pierwsze i drugie i już zagraża nowemi karami, nowemi przewrotami ludzkości w imieniu której chcecie ją wznieść do wysokości zasady. Dziś, gdy więcej jak kiedykolwiek wojna tysiące pochłania ofiar, kiedy niezliczone machiny cywilizacyi, dziennie znaczną liczbę ludzkich istot poświęcają na ołtarzu postępu, wy boicie się przez ludzkość ściąć głowę zbrodniarza lub zawiesić na nim kajdany! Sofiści w teoryi i sofiści w praktyce, nie jesteście nawet litościwemi, ale po prostu miękkiemi, zdenerwowanemi, bezsilnemi moralnie, i we wszyskich niemal kierunkach, przerażająco niedorzecznymi!

I cóż pomoże zawieszenie w imieniu waszych teoryi i filantropijnych czułości, miecza sprawiedliwości, skoro statystyka — a ją przecież szanujecie — nie wykaże przez to mniej wypadków śmierci nienaturalnej i ani jednej kropli krwi oszczędzonej. Znosicie karę śmierci na zbrodniarzy, lub unosicie się względem nich wspaniałomyślnością a okrutnymi jesteście dla pokrzywdzonych, oto patrzcie: potrzeba kary jest tak konieczną, tak mądrą, tak niezbędną, tak nieodłączną od natury ludzkiej i układu tego świata, że ludzie, gdy jej zabraknie przez innych, sami ją sobie wymierzają, że sami na sobie wykonywują karę śmierci, po za waszemi teoryami, po za waszemi sofizmatami i po za waszemi plecami. Wobec, jeżeli nie już w skutku bezkarności, mnożą się z każdym dniem samobójstwa i zaprawdę trudno nie odczuwać jakiegoś związku mistycznego a może nawet filozoficznego, między samobójstwami a bezkarnością. Niewątpliwie są one często, zbyt często w tych czasach, jakby bezwiedną tęsknotą za słuszną karą, wygnaną z tej ziemi, są objawem owego tak silnego uczucia ludzkości, potrzeby kary i zaiste nic wymowniej nie potępia bezkarności, jak owo doraźne wymierzanie ka-

ry przez człowieka na samym sobie. Smutny, straszny, przerażający objaw czasów i pojęć, ale ściśle związany z całym przewrotem moralnym, którego jesteśmy świadkami, a w którym tak ważną rolę zaczyna odgrywać bezkarność, Gdzie ustają działać prawa naturalne i rządzić ludźmi, tam występują objawy przeciwne naturze, a wobec bezkarności coraz częstszem staje się samobójstwo, które zwykle jest tylko samogwałtem kary.

I nie łudźmy się, tegoczesna bezkarność, nie jest bynajmniej złem chwilowem, przemijającem, przypadkowem, nie ustanie ona ani tak prędko, ani tak łatwo, bo jest następstwem ogólnych wyobrażeń, prądów, atmosfery otaczającej; dalej i dalej dokonywać będzie w swoim kieruku destrukcyjnego zadania, aż wywoła, jak wszelka destrukcyjność reakcyę. Nie jest ona ani przypadkową, ani chwilową, bo jest następstwem szeregu wyższych przyczyn, nie jest porysowaniem ściany, ale jest rysą mającą swój początek w podkopaniu i osłabieniu fundamentów. Usuwające się, podkopane, wyjęte z podwalin społecznych cegły chrześciańskie, oto przyczyny — jak wielu innych — tak i tego porysowania gmachu; społeczeństwo pozbawione jedynej dziś moralnie racyonalnej, po za racyonalizmem, podstawy, podstawy chrześciańskiej, błądzi, bałamuci i bredzi, jak w wielu innych, tak i w dziedzinie sprawiedliwości. Bezkarność jest prostem logicznem następstwem, coraz gwałtowniejszego wyrugowania idei chrześciańskiej przez wyobrażenia chwilowe i to do tego stopnia jest prawdziwem, iż w znacznej części a w niezliczonych wypadkach, przypisać ją jedynie należy zacieraniu się przekonania przed innemi chrześciańskiego o wolnej woli człowieka a tem samem o jego odpowiedzialności; gdzie nie ma wolnej woli, tam winy być nie może, tam kara jest niesprawiedliwością, zaprzeczenie tem samem wolnej woli, czyli usunięcie podstawy chrześciańskiej, bardzo słusznie i logicznie, pociąga za sobą bezkarność. Liczne zaiste przytoczyć byśmy mogli przykłady, pobłażania i bezkarności, wynikające jedynie z zaprzeczenia wolnej woli człowieka, liczniejsze niewątpliwie są przypadki popełnionych zbrodni w skutku zaparcia się jej. Wśród mnogich wypadków bezkarności, w które nasze czasy obfitują, opowiadano nam jeden, godny swoją potwornością szczególnej uwagi. W Neapolu służąca pewnej księżny ukradła wspaniałe jej brylanty w zmowie z jakimś Frontinem, który zapanował nad jej sercem,

stawiona przed sąd, uniewinnioną została, gdyż sędziowie uznali że niepodobna jej było się oprzeć podwójnej fascynacyi miłości i brylantów, Dokąd podobna teorya doprowadzić może łatwo pojąć, wiedząc jak ludzie skłonni są zawsze ulegać tym dwom fascynacyom. Między miłością a brylantami znajduje się bezprzecznie cała skala przestępstw i zbrodni! Czyż owe motywa neapolitańskiego sądu nie wprowadzają nas już w krainę *absurdum*, owego *absurdum* do którego zawsze dojść się musi we wszystkiem, lecz przedewszystkim w wyrokach o sprawach ludzkich, skoros ię odepchnie zasadę wolnej woli.

Bezkarność wynikająca z osłabienia i podkopania przekonań religijnych, jest jedną z najstraszniejszych, najdalej w swoich następstwach sięgających, bo nie wątpliwie, nastaje ona w chwilach w których religia najmniej działa na ludzi, na ich namiętności w których jest zupełnie w tej mierze bezsilną; więcej niż w innych w takich, epokach winnaby sprawiedliwość ludzka już dla samego bezpieczeństwa społeczeństwa, poskramiać, ukrócać a więc karać i karcić złe skłonności człowieka, a Montesquieu, który raczej przemawiał za łagodnością, jak za surowością ustaw mówi: „moins la religion sera réprimante, plus les lois civiles doivent réprimer,“ tymczasem związek istniejący między czynnikami destrukcyjnemi jest tak ścisły, że właśnie bezwyznaniowość i bezkarność spotkały się z sobą w naszej epoce i że wtedy kiedy religia przestała być *réprimante*, prawa jednocześnie stały się niezdolnemi *de réprimer*.

Głównym jednak znamieniem tegoczesnej bezkarności na które szczególną zwrócić chcemy uwagę, bo ono właśnie wykazuje jej chorobliwość, nie jest wcale mniejsza lub większa łagodność ustaw, lecz właśnie zastósowanie, słowem praktyka. Wiadoma jest i niezaprzeczona to prawda, że nie da się nic bezwzględnego powiedzieć o surowości praw, zależną ona jest od tysiąca okoliczności, od klimatu, obyczajów, stanu społeczeństw; lecz ich zestósowanie i wykonanie jest bezwzględną prawdą i jednem z ogniw stowarzyszenia ludzkiego; a właśnie w zastosowaniu i wykonaniu coraz więcej rozwielmożnia się bezkarność, i to do tego stopnia, że równa surowe ustawy z łagodnemi, a nawet staje się krzyczącem i gorszącem ich zaprzeczeniem. Lepiej stokroć nie mieć i nie pisać ustaw, jak żeby one służyć miały bezkarności i znowu przytoczymy tu słowa jednego z głęb-

szych w tych rzeczach myślicieli; Montesquieu który sam nie w jednym kierunku dał początek wyobrażeniom i pojęciom dzisiejszym, mówi: „Qu'on examine la cause de tous les rélâchements, ou verra qu'elle vient de l'impunité des crimes, et non pas de la moderation des peines.“

Rzecz godna uwagi, że w czasach w których tak się wzmogło wyobrażenie o potędze państwa, rozszerza się bezkarność, że w czasach w których polityka nic nie straciła ze swej bezwzględności, sprawiedliwość staje się uwzględniającą, łagodnieje i słabnieje. A przecież jeżeli bezwzględność w polityce konieczną jest dla bezpieczeństwa państwa, to tem konieczniejszą jest bezwzględność sprawiedliwości. Nie możemy inaczej nazwać bezkarności, jak tylko zamachem na spółeczeństwo, bo już bez względu na wszelkie moralne wyobrażenia i prawa, prostą i widoczną jest rzeczą, że wymiar sprawiedliwości, że jej następstwo kara jest niezbędną dla materyalnego bezpieczeństwa spółeczeństw, bezkarność więc która się wylęgła pod wpływem przeważających dziś wyobrażeń, jest zamachem spółeczezstwa na siebie, jest dalszem dziełem destrukcyi dzisiejszej cywilizacyi, dzisiejszego świata.

Prawda to tak jasna tak przejmująca, że każdy wyższy umysł, choćby najwięcej i najsilniej idący z prądem dzisiejszymi dostrzega jej. Wybornym znakomitym do tegoczesnej bezkarności komentarzem pozostanie mowa ks. Bismarka przy rozprawach o zniesieniu kary śmierci. Człowiek ten który ręką olbrzyma popchnął skarłowaciałe plemie dzisiejsze w kierunku destrukcyjnym, jasno zapatrywał się przecież, na chorobę bezkarności i piętnował ją wyrazami zdradzającemi wyższy umysł. Dostrzgł on — to jego słowa — że w całem usposobieniu tych którzy przemawiają za zniesieniem kary śmierci, przeważa jakaś chorobliwa troska otoczenia większą opieką przestępcy niźli ofiarę. A dalej dodawał: „owa obawa odpowiedzialności gdy idzie o skazanie na śmierć bliźniego, jest chorobą naszych czasów wciąż grasującą, która dosięga szczytów spółecznej hirarchii; niemniej jednak słusznie i logicznie inaczej nazwać jej nie mogę, jak tylko niezdrową czułostkowością obecnej opieki.“ Widział więc ten przenikliwy umysł, jasno, wszystkie punkta tej kwestyi, dostrzegł że skłonnością wieku jest osłanianie przestępcy, ze szkodą ofiary, że owa łagodność jest tylko obawą odpowiedzialnosc izapewne nie-

popularności i że pobłażanie jest tylko chorobliwą, nerwową czułostkowością, nie zaś siłą moralną lub cnotą; lecz czego może ks. Bismark nie domyślał się, oto że owa bezkarność ma głębszą przyczynę i że nie jest czem innem, jak tylko następstwa pomiatania i pogwałcenia zasady prawa w wielkiej dziedzinie spraw ludzkich, że wypowiedziane czy nie, lecz wykonywane słowa „siła przed prawem“ musiały doprowadzić w dziedzinie sprawiedliwości spółecznej do bezkarności, bo loika rzeczy ludzkich i ich na siebie oddziaływanie nie jest i nie może być pozbawione kary, bo w tej dziedzinie nie panuje ani na chwilę bezkarność, a zabicie uczucia prawa w świecie siłą, pomięszało, zniweczyło lub osłabiło wszelkie działanie prawa we wszystkich kierunkach. A tak zbyt często widzieć można jasno a przecież działać na korzyść ciemności, a nawet podkopywać własne dzieło, bo zaiste żadne choćby ponajpotężniejsze państwo nie obejdzie się bez sprawiedliwości i wymiaru kary, a bezkarność grozić mu będzie zawsze upadkiem podobnym do upadku Polski

Siła przed prawem i bezkarność rodzone to siostrzyce, które cokolwiek by czyniono aby je rozłączyć, podadzą sobie zawsze ręce, bo jak mówi indyjski filozof: „Niech tylko niedołężny monarcha, przestanie karać, a skończy się na tem że silniejszy usmarzy, słabszego.“

(*Dokończenie nastąpi*),

St. Koźmian.

HOMER W POLSCE.

PRZEGLĄD POLSKICH TŁÓMACZEŃ HOMERA

z powodu przekładu Odyssei p. Lucyana Siemieńskiego.

I.

Literatura klasyczna.

Odtąd już wielki Homer zamieszka na polskiej ziemi. Dotychczas znajdywał gościnny przytułek w izbie szkolnej i w samotnym zakątku uczonego, teraz otworzą się dlań najskromniejsze dworki i najwspanialsze pałace. Wszystkich bez wyjątku oświeceńszych Polaków pożądanym będzie gościem i miłym towarzyszem. Zawdzięczać to mamy p. Lucyanowi Siemieńskiemu. On to wprowadza tego gościa do domów naszych i do serc naszych, on otwiera nam bramy wspaniałej świątyni, o której wiedzieliśmy, że jest, którą nawet wielbić uczyliśmy się od lat dziecięcych, choć jej podwoje były dla nas zamknięte.

Przekład *Odyssei* p. Lucyana Siemieńskiego jest nietylko pomnikowem dziełem talentu poetyckiego, jest on oraz czynem krzepiącym wiarę w siłę i żywotność narodu, jest zasługą narodową i ludzką.

Któż z nas nie zna imienia Homera, kto o dziełach jego nie słyszał? Nawet w czasach najmniej skłonnych do uwielbiania utworów ducha Bogiem natchnionych, nawet u ludzi, jeśli nie z lekceważeniem to z obojętnością na nie patrzących, nikt

nie dostrzegł pokuszenia się o zdarcie uroku z wielkich pieśni Homera. Kto nie umiał ukorzyć się, kto nie rozumiał, ten milczał. Ale czyż to wystarczy? Czy dobra o kimś opinia nie powinna nas tembardziej zachęcić do szukania bliższej znajomości? Homera nie dość znać z imienia, lecz potrzeba go czytać, nie dość słyszeć pochwały i chwalić — potrzeba go pokochać. Niestety nie sprzyjały naszemu pokoleniu stosunki. Młodzież po dziśdzień w większej części ziem polskich, a u nas do niedawna, w obcym ucząca się języku, wynosiła ze szkoły tylko niechęć do klasycznej literatury. Dzięki nieudolności systemu czy też nauczycieli nauczono się w najlepszym razie zasad gramatyki, które każdy w dwa lata po ukończeniu nauk skrupulatnie zapominał — a nie poznawano tego wszystkiego, co uszlachetnia duszę, kształci smak i budzi zamiłowanie do prawdziwej piękności. A jeśli nie korzystała z tych skarbów młodzież, ucząca sią w gimnazyach i uniwersytetach, to cóż powiedzieć o innych?

Niechęć ta w dalszem następstwie jeszcze więcej krzewiła się i rosła. Narzekania rodziców, podsycane niemiłemi wspomnieniami z szkolnej ławy, albo zupełnym brakiem takich wspomnień, że biedne ich dzieci niewiedzieć po co i dla czego zamęczają nieznośną łaciną i jeszcze nieznośniejszą greką — narzekania głośne i ciche, publiczne i przy domowem powtarzane ognisku, nietylko zabijały w naszych dzieciach resztki zamiłowania, ale spowodowały powszechną prawie niechęć przeciw gimnazyom i wywołały potrzebę zakładania szkół realnych, które wnet przepełniły się i całym zastępom młodzieży naszej zamknęły na zawsze przystęp do tego wiecznie jasnego i pięknego przybytku piękności, ludzkości i cywilizacyi.

Jest to znaną cechą barbarzyństwa, że zamiast budować na tem, co przekazała przeszłość i praca wieków, zburzyć ją pragnie i zatrzeć jej ślady. Ignorancya pomija ją obojętnie — barbarzyństwo śmiertelną niesie zagładę. Opierając się na dzikiej sile gdziekolwiek przeczuwa wyższość, usiłuje ją zgnieść. Kto chce grzeszyć, musi zabić sumienie. Tem się tłómaczy zburzenie tysiąca miast, pożar tylu bibliotek i przybytków sztuki i krew tylu tysięcy męczenników. Czy ta niechęć, owszem to lekceważenie cywilizacyi, która bądź co bądź opiera się na tradycyach i dziełach starożytnego świata, miałaby zwiastować

powrót barbarzyńskiego kierunku? Miejmy nadzieję, że tak nie będzie. Czy zerwawszy z tradycyą zdoła świat stworzyć sobie nową cywilizacyą, nowe warunki rozwoju i bytu? Dałby to Bóg! Czy źródłem tej niechęci nie jest także nieprzyjaźń dla Chrześcijaństwa, nie chcemy rozstrzygać.

W każdym razie Chrześcijaństwo ocaliło i przechowało nam zabytki cywilizacyi starożytnej. Chrystus przyszedł, nie żeby burzyć, lecz żeby ludzkości błąkającej się po manowcach przeczuć, wskazać jasną i pewną drogę wiodącą do Boga. W przeciwieństwie do ignorancyi i barbarzyństwa, chrześcijaństwo będąc światłem i miłością wszystko to co dzikie a zwycięskie hordy zniszczyć pragnęły, i byłyby z pewnością zniszczyły, a co zresztą rozsypać się było mogło i niepowrotnie zaginąć przez zdziczenie i zepsucie pogańskiego świata, przytuliło do swego łona powołując do nowego życia — a już w piątym i szóstym wieku po Chrystusie jedynym było piastunem oświaty.*)

Toż szczęścił Bóg wielkiej pracy i wielkiemu dziełu. Gdziekolwiek zatknięto krzyż, rozjaśniała się ciemność, dokądkolwiek przyniesiono *dobrą wieść*, przynoszono oraz miłość, łagodność, kulturę. Ile przy tem wielkiem i świętem ognisku rozgrzało się serc i zapłonęło ogniem najczystszego poświęcenia — ile duchów wyniosło stamtąd twórczą siłę natchnienia, o tem świadczy każda karta historyi, świadczą na każdym kroku pomniki nieprzemijającej piękności i niespożytej trwałości.

Narzekają niektórzy, że ta cywilizacya jak mówią *łacińska* nie sprzyjała rozwojowi oryginalnej literatury i wywołała tylko naśladowaną, „nanośną,“ szkolną. Naród, powiada Mochnacki, przyszedł wprawdzie do uznania samego siebie, ale nie w swojem jestestwie i nie miał w literaturze wyciągnionej na widok massy wszystkich swoich wyobrażeń, krótko mówiąc przyszedł w tym względzie do cudzej refleksyi. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że najbardziej oryginalnych i najznakomitszych dzieł twórcy kształcili się na starożytnych wzorach; owszem możnaby powiedzieć, że tylko tacy pisarze posiadali

---

*) Porównaj: W. S. Teuffel. Geschichte der röm. Literatur, 2te Aufl. Str. 902, 1029 i 1083.

ten artystyczny spokój i tę doskonałość formy, która zapewnia nietylko nieśmiertelność imienia lub pomysłu, ale i nieśmiertelność dzieła. Czy Dante byłby tak wysoko się podniósł po nad falę wieków, pochłaniającą tyle samorodnych talentów i tylu oryginalnych samouków, gdyby był nie znał na wskróś starożytnej literatury? Czy Schiller nie zawdzięcza zamiłowaniu i studyom w tym kierunku wielu najpiękniejszych utworów swego talentu? Czy Goethego, przyświecającego nam taką powagą ducha, takim poetyckim rozumem i taką subtelnością artysty, nie wykarmiły Muzy greckie i nie kształciły pomniki starożytnego Rzymu? I nasi pisarze szesnastego wieku, wieku złotego, dlatego przeżyli tylu późniejszych i dlatego po wszystkie czasy będą w rękach czytelników umiejących ocenić prawdziwą piękność, pomimo, że tłómaczyli, naśladowali, przerabiali — bo mają klasyczną powagę, która im zresztą wcale nie przeszkadza być narodowymi. I pod tym bowiem względem nie oceniano ich słusznie. Mojem zdaniem nietylko Mikołaj Rej, o którym lubią powtarzać, że na szczęście nie umiał dobrze po łacinie (choć sam poczciwy Rej wcale w tem szczęścia nie widział i przez całe życie „przegryzował“ się jak mógł) nietylko Rej, ale wielki Jan Kochanowski, Klonowicz, Szymonowicz i inni, nawet po łacinie piszący, byli tak dobrze narodowymi pisarzami, jak Mickiewicz, Słowacki, Brodziński, a nierównie więcej, niż cały zastęp tych nowszych, co nas tak nudzą niemiłosiernie swą gorzką i ślamazarną pieśnią, której wprawdzie nie uczyli się na starej lutni Pindara, ale na jakiejś gęśli nowszego wyrobu francusko-niemieckiego.

Co innego jest szkoła, a co innego natchnienie. Szkoła nie da natchnienia, ale da to, czego natchnienie koniecznie potrzebuje, ażeby się w piękne i trwałe przyoblekło kształty — a natomiast w krainie sztuki natchnienie bez szkoły było zawsze bezsilne. Można uczyć się rysunku w akademii rzymskiej, można być uczniem mistrza włoskiego lub francuskiego, a stemwszystkiem mając talent i miłość rodzinnej ziemi zrobić posąg Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza tak jakby największy rzeźbiarz francuski lub włoski nie zrobił. I pomimo wszystko, co wielki Mickiewicz mówił w czwartym kursie literatury o literaturze ludów słowiańskich, o mesyanicznej literaturze przyszłości (IV. 129 i d.) i o traktowaniu dzieł literackich w szko-

łach, pomimo jego twierdzenia, że u nas niejedno znakomite dzieło może uchodzić równie za poemat i za pamflet, za kazanie i za artykuł dziennikarski, ośmieliłbym się twierdzić, że przetrwa wieki i zawsze będzie czytany tylko taki poemat, który nie jest pamfletem i że tylko takie kazanie odpowie swemu zadaniu, które się wzniesie po nad styl i ton dziennikarski. Takie mixtum compositum może dogadzać chwilowej rzeczywistej czy urojonej potrzebie lub upodobaniu narodu, może nawet na razie jak chwast przytłumić zdrowe ziarno, ale wieki późniejsze, ale ludzie dojrzałego smaku i historya literatury pominą je milczeniem lub wzgardą.

Co więcej, nie uważałbym za zuchwałość twierdzenia, że ten sam Mickiewicz, ten największy z naszych poetów i najwyższy z naszych geniuszów, dlatego przerósł tylu innych poetów, może równie wielkim obdarzonych talentem i wielkiem sercem, że więcej od nich się uczył, że lepiej i dokładniej od nich znał literaturę grecką i rzymską. Uczeń Grodka, profesor literatury łacińskiej w Kownie i tyle lat później w Lozannie wiele zaprawdę miał warunków, ażeby zostać tem, czem jest. Kochał i widział Boga, kochał swój kraj „czuł i cierpiał za miliony“ łany i puszcze litewskie, dla innych głuche jemu mnóstwem głosów szeptały do ucha; miał jasny, zdrowy, rodzimy chłopski rozum, a przytem uczony był i klasyk więcej niż się niejednemu zdaje. Pytam się, czy mógłby był napisać takiego Pana Tadeusza, gdyby był doskonale, ale doskonale nie znał Homera? Stworzył on dzieło wiekopomne, oryginalne narodowe, ale nim je stworzył, był uczniem Homera, iak jak i autor Hermana i Dorothei.

Jeźli czego szkoda, to tego, że ucząc się łacińskiego języka, za mało uczyliśmy się greckiego. Niezmiernie ciekawą byłaby historya języka greckiego w Polsce. Nie mamy dostatecznych źródeł, aby w tej sprawie stanowcze powiedzieć słowo. Zdaje się nam jednak, że i w szkołach przeważnie na język łaciński zwracano uwagę i że niewielu naszych autorów dokładną znajomością greckiej literatury poszczycić się mogło. Jeźli kiedy, to w szesnastym wieku może najwięcej. Nie ulega przynajmniej wątpliwości, że Kochanowski i Szymonowicz umieli dobrze po grecku. Z tegowiecznych poetów powiedziećby to

można tylko o Mickiewiczu i o Brodzińskim. Jeźli zaś literatura łacińska przyczyniła się tyle do oświecenia narodu i tak dobrą była dla pisarzy szkołą, o ileż lepiej i korzystniejby było, gdyby czerpano wprost ze źródła. Powszechnie znaną bowiem jest rzeczą, że Rzymianie, pominąwszy naukę prawa, we wszystkich innych kierunkach, nawet w dziejopisarstwie byli uczniami Hellenów.

Nie mając ruchliwej i wszechstronnej tychże fantazyi, mieli wszakże siłę i wytrwałość woli i umieli myśleć trzeźwo i bystrze. To sprawiło, że naśladując tworzyli przecież dzieła doskonałe i mające dość żywotności, ażeby narodom przez długie wieki służyć za pokarm pożywny i zdrowy.

Gniewa się i oburza na Rzymian Mochnacki (Liter. Str. 146 i d.), że wzgardzili swoją uczciwą, ojczystą tradycyą i ojczystą wiarą, dowcipy i rozumy swoje na helenizm wysilając, i że odstąpiwszy od swojej narodowości rozmiłowali się w jałowem naśladowstwie i odłożyli na bok wieść swoją bohaterską i narodowe podanie, podobni owym ulubieńcom fortuny, tak zwanym od Francuzów *parvenus*, co przyszedłszy z ubóstwa do bogactwa, swego rodu się wyrzekają, a daliby połowę mienia za to, że go na wieki głucha zatarła niepamięć (str. 149). Nieco niżej zaś mówiąc z przekąsem o *Eneidzie* mniema, że naciągnienie trojańskiego podania ku pierwiastkom Rzymu nie czyni Vergilego jeszcze oryginalnym poetą. Być może, ale czyni go Rzymianinem kochającym swoję przeszłość i naciągającym z konieczności stare podania, ażeby ją tem większą opromienić chwałą, a nie parweniuszem wypiarającym się swego pochodzenia. Zapomniał zresztą Mochnacki, że Rzymianie w chwili gdy Muzy greckie pierwsze na ich ziemi stawiały kroki, byli narodem nieokrzesanym, nieoświeconym, mającym już wprawdzie piękną tradycyą, ale nie mającym jeszcze żadnej oświaty ani literatury. Literatura grecka ułagodziła obyczaje i obudziła zamiłowanie do zajęć umysłowych. Nie można zapominać, że pominąwszy zabytki dramatyczne, o których bardzo mało wiemy, pierwszym właściwie poetą rzymskim był niewolnik, później wyzwoleniec *Livius Andronicus*, nauczyciel języka greckiego i łacińskiego, który dla uczniów swoich nieudolnym saturnicznym wierszem przetłumaczył *Odysseję*, i że pierwszy jako pisarz większą pozyskał sławę *Ennijus*, którego

Annales znowu wbrew temu, co Mochnacki o rzymskich pisarzach mówi, opiewały wprawdzie stare rzymskie podania od przybycia Eneasza do Italii aż do jego czasów (szóstego wieku od założenia miasta), ale jako dzieło sztuki były tylko słabym cieniem epopei Homera. Pomimo to naród z wdzięcznością i czcią, a historya z szacunkiem wspomina imię Enniusa, jakpierwszego zwiastuna oświaty, który rzymskiej poezyi i rzymskiemu językowi wskazał i utorował drogę, po której przez długie wieki kroczyły. To, co o nim mówi Mochnacki, że pierwszy z Rzymian w niwecz obrócił starą italską poezyą, jest, zdaje mi się, frazesem, a prawdą jest, że pierwszy z Rzymian w łacińskiej mowie greckie naśladował hexametry i to mu też wszyscy (oprócz Mochnackiego) za zasługę poczytywali, pomimo, że ten hexameter „niezgrabny był i kulawy.“

Dodać jeszcze należy, że jak wszędzie, gdzie obce zaczynają czytać utwory, i w Rzymie czytano i tłómaczono najpierwej nie dzieła prawdziwie klasyczne, lecz lekkie fabryokaty dowcipu greckiego najnowszych czasów. Nawet mowcy n. p. kształcili się nie na pomnikowych dziełach Demosthenesa, a raczej na mowach helleńskich retorów z Małej Azyi. Po nitce wszakże łatwo już było dojść do kłębka i niebawem w otoczeniu każdego możnego Rzymianina znajdujemy filozofów, poetów i nauczycieli greckich. Są tam między magnatami rzymskimi ludzie, którzy starają się o takich towarzyszów helleńskich dla próżności i mody, są między ostatnimi i tacy, którym przedewszystkiem chodzi o kawałek chleba, ale zdarzają się i ludzie wyższego nastroju, umiejący imponować swoim chlebodawcom: u Lukulla jest Antiochos, u M. Crassa Alexander Polyhistor, u L. Pisona Philodemos i t. p.*) Niebawem wszechwładnie zapanował język grecki we wszystkich towarzystwach wyższych, a kto nie umiał po grecku, czytał tłómaczenia. Pomimo to wszystko śród przemożnego wpływu obcych rozwijał się i kształcił język łaciński, a wkrótce nabrał takiego wdzięku i takiej gibkości, że najsubtelniejsze zagadnienia filozofii i najdelikatniejsze zwierzenia miłości wyrazić nim było można — i już z początkiem wieku ósmego, a zatem w sto kil-

*) Teuffel j. w. str. 256.

kanaście lat po Enniuszu, nastały złote dla literatury rzymskiej czasy.

Jeżeli starałem się wykazać dobroczynny wpływ literatury greckiej, która nawet w takim, jak Rzymianie, narodzie, najmniej mającym zamiłowania do poezyi i najmniej artystycznej intuicyi, tyle pobudziła talentów, tyle umysłów nawróciła ku idealnej krainie piękna i sztuki — to dlatego, ażeby dowieść, jak wiele byłby nasz naród zyskał, gdyby znając dziecko poznał był i matkę, gdyby krzepiąc się napojem zaglądnął był do źródła — słowem gdyby się więcej i z większem zamiłowaniem zajmował był literaturą grecką.

W ostatnich nawet czasach formalną wypowiedziano jej wojnę i powszechnie nawoływać zaczęto, że już czas wykluczyć ją z programu nauk szkolnych. Niejeden uczeń gimnazyum, czytając pod ławką liche tłómaczenia Darwina lub Haeckla albo Bibliotekę Powieści i Romansów, niejeden ojciec nie czytający nic oprócz tandetnych dzienników, niejedna matka z łzą w oku patrząca na synka drzemiącego — nad grecką gramatyką, wzdychali do co rychlejszego „zniesienia“ nauki greckiego języka — niektórzy kandydaci na aptekarzów i laicy klasztorni uwalniali się od niej — a nawet obiegała dość głośna wieść, której wszakże ludzie, mający poszanowanie dla zdrowego rozumu kierujących sprawami szkolnemi, wierzyć nie chcieli i nie mogli, że język grecki będzie nadobowiązkowym w szkołach przedmiotem.

Z tem większą serca pociechą zapisać należy, że z drugiéj strony znaleźli się zacni ludzie, co inaczej patrzeli na tę sprawę, że znaleźli się uczeni i poeci, którzy, obojętni na poklask tłumu, nie oglądając się ani na zyski ani na powodzenie chwilowe, najlepsze swe siły poświęcili pracy około obznajomienia nas z literaturą grecką. Szereg pracowników dotychczas nie liczny i bardzo wiele do zrobienia pozostało, ale i to co jest, dobre na początek. Z czasów niepodległości mamy bardzo mało i to przeważnie z literatury łacińskiej. Nie rozumiano dawniej zadania i właściwego celu tłómaczeń i zdawało się autorom, że mogą dowolnie wypisywać, przerabiać, przekręcać, jak im potrzeba. Na lutni Kochanowskiego odezwała się często nuta elegików rzymskich, Szymonowicz w sielankach całe ustępy żywcem z Teokryta tłómaczył, Andrzej Wargocki

nazwał dzieło Juliusza Cezara „Pamiętnikiem o wojnie francuskiej,“ Jan Zawicki nie wspomniał, że Jeftes jest dziełem poety szkockiego, Piotr Cikliński naginał Trinummusa do polskich stosunków i t. d. Nawet z przekładów Horacyusza w ośmnastym wieku niepodobna poznać prawdziwego oblicza tego poety. Natomiast poważniej pojął zadanie tłómacza Adam Naruszewicz (Dzieła Tacyta). Większa część tłómaczeń, mianowicie poetów, w pierwszej ćwierci XIX wieku, n. p. straszny przekład Horacego przez *Fijałkowskiego* lub liczne a nieudolne przekłady Homera, o których niżej będzie mowa, niepotrzebnie przygniatają pułki biblioteczne. Od lat kilkunastu dopiero podjęli się tłómaczeń pisarze powołani i przygotowani. Prof. Małecki dał nam Elektrę, prof. Szujski dwie tragedye Aischylosa i dwie komedye Arystofanesa, a w Rysie dziejów literatury świata niechrześcijańskiego budził zamiłowanie do literatury klasycznej, prof. Motty tłómaczył Wergilego (Bukoliki), Arystofanesa (Chmury) i Horacego (Satyry i Listy), prof. Bronikowski przełożył Platona i Xenofonta, Erazm Rykaczewski dzieła Cycerona, Kazimierz Kaszewski kilka tragedyj Sofoklesa — a największe na tem polu położył zasługi prof. Zygmunt *Węclewski*,*) który uzbrojony lepiej od wielu innych wstąpił w szranki już nie tylko jako profesor i tłómacz, ale i jako uczony filolog. Zasługi jogo, których liczba jeszcze nie dopełniona, bo z każdym niemal rokiem przybywa nowych, zasługi powszechnie uznane choć jeszcze nieocenione dostatecznie, nadały mu przednie w tym zawodzie stanowisko. Są to także budowniczowie pracujący nad podwalinami gmachu przyszłości naszej. Czas już powiedzieć sobie, że jeden dobry filolog stokroć więcej pożytku i chwały narodowi przyniesie, niż wielu miernych poetów i bardzo wielu fabrykantów powieści. Tego dotychczas nie chciano zrozumieć i dlatego tyle młodych sił zmarniało, tyle zdolności, a najpiękniejsze pola pracy narodowej i humanitarnej leżały odłogiem. Nie z oręża słynąć będą

*) Tłómacz Sofoklesa, Eurypidesa, Arystofanesa i całego Aischylosa, autor wybornego Podręcznika historyi literatury greckiej i bardzo wielu rozpraw w tym przedmiocie, w Bibliotece Warszawskiej i w Dodatku do Czasu, autor słownika łać.- i grecko-polskiego i t. p.

Niemcy i nie z podbojów, po których tylko pamięć pozostanie smutna, ale z nauki swojej i pracy. Nie strumieniami krwi liczą się zasługi narodów.

Z powyższego pobieżnego wykazu widzimy, że najwięcej zwracali na siebie uwagę tragicy greccy. Homera tłómaczył w ostatnich czasach tylko prof. Antoni Bronikowski. Może odstręczała pisarzy naszych trudność przedsięwzięcia, wymagającego, żeby być zarazem dobrym poetą i dobrym filologiem i poświęcić kilka a nawet kilkanaście lat pracy, a może niezwykłe niepowodzenie poprzedników. Aż żal zbiera człowieka, gdy popopatrzy na te grube tomy, na których jest nazwisko Homera, w których jednak nie ma Homera. Tyle tam włożono pracy, trudu, mozołu, tyle dobrych chęci, a jednak praca poszła marnie i chęciom nie dopisały zdolności.

II.

Tłómacze Homera.

Najzdolniejszym z nich, a przynajmniej najgładszym, najlepszym pisał wierszem i najwięcej miał warunków, żeby być czytanym, Franciszek *Dmochowski*. Jego Iliada wydana po raz pierwszy w r. 1800 (w Warszawie) doczekała się kilku wydań, ojcowie a raczej dziadowie nasi zachwycali się nią, a Juliusz Słowacki uczył się podobno na niej czytać. Jeszcze w r. 1831 upoważył się ktoś w Rozmaitościach lwowskich twierdzić, podobnie jak niegdyś Klopstock o niemieckiem tłómaczeniu Vossa, że gdyby nawet text pierwotny zaginął, z tłómaczenia Dmochowskiego odtworzyćby go można — czem niesłychanie gorszy się (i słusznie) czeski tłómacz Odyssei Ant. Liska,*) który w odwet powiada, że praca Dmochowskiego „welmi lichà“ podług francuskiego dokonana tłómaczenia i że Dmochowski wcale nie umiał po grecku. Bartoszewicz utrzymuje toż samo i dodaje,

---

*) Homérowa Odyssea. Prelozena od Ant. Lisky, Prefekta gymnasialniho w Bochni Halické. W Praze 1844.

że Dmochowski tłómaczył z przekładów łacińskich i psuł arcydzieła już raz przez innych zepsute. Może się obaj nie mylą: zdaje się bowiem, że Dmochowski miał pod ręką przekład łaciński i francuski; że nie miał greckiego, to pewna. Pozwalam sobie przytoczyć jeszcze zdanie Bartoszewicza (Hist. Liter. str. 435): „Dmochowski jest rymotwórcą bardzo gładkim, często ma nawet dużo siły, robił to co zdawało się mu, że umiał, a właśnie przekładać poezye i samemu tworzyć, nie dla niego to była praca. Język piękny i polski, wiersz potoczysty, nie okupią rzeczy, jeżeli tłómacz wziął się do niej bez należytego przygotowania, jeżeli nie miał zmysłu do pojmowania piękności. Tak mianowicie źle wyglądają jego *przekłady tłómaczeń* Homera. Prawda, że rzadko którakolwiek z literatur posiada tłómaczenie Homera tak wymuskane i tak nadobne pod względem formy, jak polska, ale mimo *to ducha wieszcza greckiego nikt nie pojmie z tłómaczeń Dmochowskiego.* W Iliadzie są swojego rodzaju piękności, jest koloryt pieśni gminnej na wielką skalę nuconej, pełen prostoty i wdzięku. Dmochowski zaś z bohatyrów na pół bajecznych starożytności, szorstkich i surowych, porobił jakieś nowożytne postaci *salonowe i grzeczne.*“

Zdanie to wydało się nam cokolwiek za gorąco kąpane. Sąd Bartoszewicza często bardzo bystry i trafny, czasami bywa zanadto doraźny, opiera się na sympatyi lub antypatyi, na złym lub dobrym humorze. Zajrzeliśmy więc do podręcznika p. Adama Kuliczkowskiego, który ma tę zaletę, że nie lekceważy zasługi i nie spuszcza się na siebie samego, lecz zwykle jakieś poważne plecy ma za sobą. Otóż czytamy tam (str. 222), że Iliada Dmochowskiego „w mistrzowskiej polszczyźnie *ducha greckiego dobrze oddaje.*“

Co tu z tem zrobić? Co o tem myśleć? Oczywista: albo jeden z dwóch powyższych autorów nie czytał Homera w oryginale, albo każdemu z nich w innej postaci przedstawił się ten biedny duch grecki, o którym zresztą rozmaite bajki opowiadają, bo wszyscy o nim słyszeli, ale go mało kto widział. Sumienna to rzecz oceniać dzieła poprzedników, którzy pracowali jak mogli a zawsze w poczciwej myśli. Widzieliśmy młokosów pomiatających zasługą ludzi i dzieł, których nie rozumieli, patrzeliśmy na mrówki pełzające na posągach i żałowaliśmy świtu, który urągał wczorajszemu południu nie wie-

dząc, że za parę godzin nowe go zaćmi południe. Zrobić więc w takim razie potrzeba jak Odysseus, który chcąc się przemknąć między Skillą a Charybdą, parę miłych poświęcił towarzyszów; potrzeba poświęcić parę dni czasu i czytać Dmochowskiego z oryginałem w ręku. Nam się zdawało, że p. Kuliczkowski się pomylił, a zdanie Bartoszewicza przyjąćby można w łagodniejszej formie. Tłómaczenie towarzyszyło pierwotworowi jak słaby i niewyraźny cień, bo zasłaniał Homera tłómacz francuski czy łaciński; często cienia nawet nie było widać, często jakieś koszlawe przybierał kształty. Homer opowiada, Dmochowski deklamuje, Homera wiedzie prostota do najwyższej poezyi, Dmochowskiego wyszukana gładkość do toku prozaicznego. Kardynalne wady naszego tłómacza krótko streścić się dadzą: nie tłómaczył z oryginału i nie był poetą. Co mi tam po ładnym człowieku bez serca i bez ducha, co po pięknym puharze, jeśli wino ladajakie, co po gładkich wierszach, jeśli w nich nie ma poezyi! Jedna wszakże pozostaje zasługa podniesiona już przez Bartoszewicza: język jego jest polski — a i to nie zawsze się zdarza — i jeśli czytelnicy Dmochowskiego nie poznali prawdziwego Homera, to przynajmniej uczyli się cenić wdzięk i piękność ojczystego słowa.

Nierównie łatwiej uporać się z poczciwym Jackiem Idzim Przybylskim. Nic nie wiemy o życiu jego oprócz tego, że długo żył i dobrze mu się powodziło na świecie, bo dzieła swe wydawał własnym nakładem i z nauczyciela szkół ludowych został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego — mamy dowody, że był niezmiernie pracowitym człowiekiem, a domyślać się możemy, że bardzo wiele miał czasu. Może nikt nie przypomina nam Syzyfa tak, jak ś. p. Jacek. Dźwigał biedaczysko ogromne bryły i toczył je do góry mozolnie, a one spadały i spadły w przepaść zapomnienia i teraz jako osobliwość oglądać je można w bibliotekach. Miał on być uczony, umiał prawie wszystkie języki europejskie, oprócz Homera, Wergilego, Owidyusa, Horacego, tłómaczył Camoensa *Luzyadę*, Miltona *Raj utracony* i t. d. — jest tego tyle, że drugiemu nie wiem czy starczyłoby czasu to wszystko porządnie przepisać — ale na nic się to nie zdało. Z próżnego nikt nie naleje. Wziął się był nawet do tłómaczenia proroków i stąd krążył o nim znany wierszyk:

Wiesz, dlaczego Jeremiasz płakał całe życie,
Choć go nie zawsze ścigał wyrok Boży? —
Oto jako prorok wiedział należycie,
Że go Przybylski na polskie przełoży.

Jakżeby dopiero Homer płakać musiał! Sfabrykował on jakie sto tysięcy wierszy, ale ani w jednym nie ma śladu poezyi. A cóż dopiero powiedzieć o języku, z którym obszedł się prawdziwie po barbarzyńsku, kując dzikie i niesłychane wyrazy. Homera przekladał z greckiego, choć zaglądał zapewne i do tłómaczeń, ale bardzo często text źle zrozumiał lub umyślnie przekręcił. Zgroza pomyśleć, że był profesorem języka greckiego. Ale prawda, wszakże i Fiałkowski uczył łaciny w akademii! Ciekawa a czasem zabawna byłaby rzecz, gdyby kto zebrał wszystkie ukute przez Przybylskiego wyrazy; Bartoszewicz powiada, że niektóre przyjęły się i są w powszechnem używaniu. To wiem, że czytając Przybylskiego nieraz serdecznie uśmiechnąć się można. Mam go i teraz przed sobą. Może nie znudzi się czytelnik, jeśli ze względu na to, że książka już dziś mało komu jest znana, przytoczę parę ustępów. Oto n. p. tytuł Odyssei *(zachowuję pisownię)*:

Pamiątka dziejów bohatyrskich z wieku graysko-troskiego w śpiewach Homera i Kwinta według pierwotworów greckich Słowianom dochowana. Tom IV i V. *Odysseja Homerowska ku czci Ulisa Laertowicza z Itaki*... przekładania Jacka Idziego Przybylskiego *(tu sześć wierszy notujących godność tłómacza)*. Pierwsza połowa: Ulis w drodze. Druga połowa: Ulis w domu. W Krakowie. W drukarni Greblowskiy R. 1815. Nakładem Przełożyciela-Wydawcy.

Na odwrotnej stronicy czytamy:

— Homerze! Smirna, Chija(!) Argi)!) Salamina,
Rod, Kolofon, Ateny chcą cię mieć za Syna.
Obyś mógł, w mym języku *czytany ze smakiem*
Zdawać się myy Oyczyznie rodzonym Polakiem!

J. I. P.

Jakie tu zacne i poczciwe chęci! ale niestety nikt nie mógł czytać ze smakiem tego, co z obrażeniem smaku było napisane. Ciekawsza jeszcze jest ostatnia stronica pierwszego i drugiego tomu Odyssei. Czytamy tam dwa małe ustępy z Horacego „Do mądrych o Homerze piszącym Odysseję“ i „Do literatow o potrzebie i użytku czytania.“ Pod tem zaś w tomie I rzecz niezmiernie zabawna:

Do Trwonnika
wierzącego w brzuch; a nie ceniącego xiążek.

Na co ci znać Ulisa albo Penelopę?
Ty za tuzin dukatów kupisz ostryg kopę!

A przy końcu tomu II:

Zwrot Myśli *na Czerkiesa*
sądzącego o pismach, których nie czytał.

Co mi za Literat,
Który czytać nie rad!!!

Nad tem dwa aniołki, a pod tem wielka pieczątka z koroną i literami J. I. P.

Wszystko to niewinne jest, Homerowi nie uwłacza i nie szkodziłoby tłómaczeniu. Ale samo tłómaczenie! Potrzebaby być złośliwym i mieć wiele czasu, żeby z pośród rażących ustępów najjaskrawsze wybierać. Oto jedną ręką przerzucam karty na chybi trafi, a drugą wypisuję, co się nasunie. N. p.

Z ks. I. Bohatyra niech wielbią, Muzo! usta twoje,
Co chytrością zasłynął, już zniszczywszy Troję,
A różne w błędnych drogach przewidzając kraje
Poznał wielu narodów grody i zwyczaje. . . .

Z ks. V. Blisko głębokie morze, trudno stanąć nogą!
I tu nie *zdolę* uciec przed zagładą srogą!
Tu mię wał porwać może i rozbić o skałę!
Próżny będzie mój *usił*, zgubi wyyście śmiałe

. . . .
Ulis się znów nurkuje w największym usile.

Z Ks. VIII.
Śpiewam jak się Mars kochał w Wulkanowskim domu,
Odkąd spółki z Wenerą zaczął pokryjomu.
. . . .
(Mars) Zwiedza dom Wulkanowski z chęcią zabaw szczerą,
Bo sobie życzył z piękną poigrać Wenerą.
Ona przyszła od ojca *Saturnicza* świeżo
I siedziała, miłosną zajętą kradzieżą.
. . . .
Luba, teraz się w domu nasyćmy rozkoszą,
Gdy chromego Wulkana *szczudła* ztąd wynoszą.
On pewnie gdzieś na Lemnie o tym czasie bawi,
Gdzie barbarskim językiem Lud Syntyjski wrzawi.

Albo jeszcze niżej czytamy: (*Bogowie pójdźcie zobaczyć*)

Jak mię hańbi Wenera Jowiszówna płocha!
Że ja chromy, więc ona Szkódzcę Marsa kocha!
Mars jest gładki i zdrowy i siła w nim tęga;
A ja na nogi chramam, słaby niedołęga!
Nie on winien, lecz winni rodzice oboje.
Czemu na świat wydali rozwiozłą dziewoję?

Proszę te wiersze przeczytać w oryginale albo u pana Siemieńskiego. NB. ostatnie dwa wiersze opiewają w oryginale: „ale temu nikt inny nie winien, tylko rodzice oboje, o bogdajby mię byli na świat nie wydali!“ (Od. VIII. 311 i 312).

Ks. XI. w. 397—8 „Naczelniku Atreycze! cny Agamemnonie!
Jakże cię śmierć *długospa* (?! τανηλεγής) zdybała przy zgonie? i t. d.

A duch Agamemnona odpowiadając woła:

Wielokunszty Ulisie! godny Laertczycu!

W księdze znowu XVII przemawia Teoklimenos do Penelopy: Przewielebna Ulisa Laertczyca żono! *)

W ks. XI (Tantal) Stał w jeziorze; a woda *pod wąsem*
mu ciekła.

(Herkules) W niebie *gładkołytej Heby dostał żony,*
Co jest córą Jowisza i stronnej Junony

W ks. XIII: Ulisa tak ucieszył grunt ojczyzny miły,
Iż klęknął i całował żywnej ziemi bryły.

Prześliczna scena, gdy stare psisko poznaje Odyssa, tak wygląda u Przylbyskiego:

„Tam leżał stary Argus, już kleszczów igrzysko;
Jednak poznał Ulissa, stojącego blisko.
Łasi mu się ogonem, *storczy oba usz y*,
Patrzy, pragnąc *potuchy*, choć z miejsca nie ruszy.

A w księdze XXIV namyśla się Odysseus:
„Czy uściskać rodzica i wszystko mu zjawić,
Czy też jeszcze na chwilę wstrzymać całuch czuły,
A wprzód badać i różne napomknąć szczegóły.“
Aż mu się lepszym zdaje *postępek wybadczy*,
Gdy szczypliwemi słowy Laerta doświadczy.
. . . . Jemu obrotny Ulis z zimną krwią odpowie:
„Ufaj, oycze! i trwogi nie róy sobie w głowie.
Póydźmy teraz do chaty zasilić się z przodu,
. . . W tem Haliters Mastorozyc miesza się do rady,
Ów sędziwy Bochatyr; a Wieszcz w pełnyy sile,
Co wszystkie rzeczy widział *i z przodu i w tyle.*

---

*) Podobnie w „Barbarze“ Felińskiego „Szanowna Izabello itd.“

Lecz czas już zamknąć książkę; obawiam się, czy i tak nie nadużyłem cierpliwości czytelników, zwłaszcza znających to tłómaczenie; nieznającym chciałem pokazać, jaką to straszną rzecz z najpiękniejszej zrobić może nieudolna ręka, jaka to krzywda dla poety i dla narodu, — a jaka znowu zasługa tłómaczyć tak, jak p. Lucyan Siemieński.

Winienem dodać, że Dmochowski i Przybylski tłómaczyli rymowym wierszem trzynastozgłoskowym.

Jeżeli wielka i rozumna myśl Przybylskiego przyswojenia naszej literaturze arcydzieł obcych rozbiła się o brak warunków niezbędnych do jej wykonania, to znowu z tłómaczeniami jego nawet porównywać się nie godzi Staszycowego przekładu Iliady, który jest po prostu nieszczęśliwem dziwactwem. Wolno było Karolowi V bawić się po trudach życia zegarkami i t. p., dlaczegożby nie miało być wolno Staszycowi bawić się na starość Homerem; tylko że zabawka drugiego wcale nie dziecinna a więcej szkodliwa i Homer mógł zawołać jak owe żaby w bajce: „Dla was to zabawka — nam idzie o życie.“— I nietylko odebrał mu życie tłómacz, ale tak go pokiereszował, że poznać trudno.

Miłoby nam było dowiedzieć się z biografii, że ten rozsądny polityk, uczony przyrodnik, znakomity obywatel i wspaniałomyślny przyjaciel ludu, lubił w wolnych chwilach przebywać w sferze ideału, że kochał poezyą, a nawet tłómaczył Homera i innych poetów — i stokroć byłoby lepiej, gdyby pisarz żywota z żalem dodał takie n. p. słowa: „Na nieszczęście, autor nie zadowolony z swej pracy spalił ją“ — albo „Na wielką stratę literatury, rękopis zaginął“ lub coś podobnego. Byćby to łatwo mogło i znamy autorów, którym przy każdym pożarze regularnie parę dzieł i to najlepszych przepadało — ale tu niestety stało się inaczej i Iliada leży przed nami in 4to (jako szósty tom dzieł). Wprawdzie jestto książka rzadka i jeszcze w r. 1844 narzekał czeski tłómacz w przedmowie do Odyssei, że nigdzie dopytać się jej nie mógł, choć mówiąc nawiasem nie bardzo dopytywać się musiał, bo mieszkał w Bochni, a stamtąd nie daleko do Biblioteki Jagiellońskiej,— lecz był czas, kiedy wiele złego zrobić mogła, i czytana w niejednym domu odstręczyła na zawsze od wielkiego pie-

śniarza. Z poezyą to tak jak z wojskiem n. p. Widzieliśmy już królów, co całe życie kochali się w wojsku i bawili się niem, a przegrywali na głowę jednę bitwę po drugiej.

Nie pomogła też Staszycowi miłość i cześć dla poety, którą widać ze słów przedmowy. „Czucia Homera, duch jego, wielkie myśli, wielkie rysy uczyniły go nieśmiertelnym, u wszystkich narodów zdziwieniem, u wszystkich uczonych wzorem, dotąd jeszcze niezrównanym.“

Z przedmowy najciekawszym jest ustęp o pisowni. Przed r. 1830, gdy zaczęto myśleć o jej ustalenie, był zwyczaj bardzo dobry, że pisarze w przedmowie usprawiedliwiali swojej w tej mierze zasady. Teraz zwyczaj ten zapomniany, co zapewne stąd pochodzi, że wielu pisarzy nieprzezwyciężony ma wstręt do gramatyki i nie każdy potrafiłby wytłómaczyć, dla czego tak a nie inaczej pisze. Wymysł akcentowania (kreskowania) samogłosek przypisuje Staszyc drukarzom Niemcom i nazywa szkodliwym, coby się nie bardzo podobało ks. Malinowskiemu i jego zwolennikom — niecierpi liter „nieprzyjemnych, *nosalnych*“ ą i ę i z tego powodu (bo innego prócz antypatyi osobistej nie ma) pisze *dzwienk* zamiast dzwięk, *mineło* zamiast minęło — przyjmuje wbrew wielu dawniejszym pisarzom *j*, *i*, *y* — słusznie pragnie uleczyć język srogo pokaleczony przez pisanie *bydź*, *dadź*, *) zamiast *być*, *dać*, — gniewa się nareszcie na Niemców, przez których nieszczęsne sąsiedztwo polubiliśmy „*zbytnie konsony*“ *sz* i *cz* i radzi pisać *czcość* zamiast czczość *sceście* zamiast szczęście i t. p.

Wiele tam dziwactwa, parę zdrowych i dobrych pomysłów, ale nie tu miejsce zastanawiać się nad nimi.

Bałamutne jest zdanie Staszyca o tłómaczeniach, „w których duch pisarza, czyli on był Greczyn, Łacinnik, Niemiec lub Francuz, tak się dać czuć powinien, jak *gdyby był Polakiem*.“ Owszem właśnie oto idzie, ażeby duch pisarza nie zmienił się i pozostał w przekładzie tem czem jest, byle język tłómacza był polski, swobodny i nie wyglądał jak Grek lub

---

*) Teraz znowu zagnieżdża się mylny sposób pisania *bąć* zamiast *bądź*.

Rzymianin w kontuszu... Jedna z największych trudności w dobrem tłómaczeniu — mówi Staszyc — jest dokładne rozróżnienie *geniuszu języka od geniuszu autora.* Rozwiązanie tej trudności potrzebuje w tłómaczu wielkiego stopnia znajomości języka, przenikliwości i rozsądku. Bez tych najczęściej oszukują się sami tłómacze. Tam, gdzie mniemali wytłómaczyć autora, oni wytłómaczyli tylko język.“

Niestety zacnemu tłómaczowi ani jedno ani drugie się nie udało.

Tłómaczy on zupełnie swobodnie, czasem tak jakby pisał dzieło oryginalne tylko na ten sam temat, nagina i przekręca jak mu się podoba — a przedewszystkiem zawsze wierny celowi życia swego, żadnej nie zaniedbuje sposobności, ażeby podać narodowi zbawienny obrok duchowny lub rozsądną uwagę. I tak zaraz z początkiem księgi I, gdzie są słowa: „Tak spełniła się wola Zeusa — od kiedy poróżnili się sporem Atreides, wódz mężów i boski Achilles.“ — Staszyc podaje *abstractum* „Od wiekow wyroki te Bogow!

Skoro się poczną kłotnie dwoch ziemskich mocarzow *).

Nawet w „Treści“ pojedynczych pieśni dogadza tej poczciwej chęci swojej; zaraz n. p. w I księdze: ... „Smutny przykład przez Homera z czułością wystawiony, *jak waśń możnych, jak błahe swary krolow mogą rzucać całe narody na nieszczeście i zgubę;* albo w ks II: „Szczegolniejszy sposob, ktorym Homer maluje pospolstwo. To rownież za jego czasow, jak teraz więcei według zmysłow, niż podług rozumu sądziło. — W ks. V: „Wielki i pełen dowcipu i głębokich myśli obraz wygnania z ziemi okrutnego Boga wojny Marsa.“

Co do rodzaju wiersza, jakiego używał Staszyc, pisze wspominany przez nas A. *Liska*, choć jak sam wyznaje tłómaczenia tego nie widział, że to hexameter. Podobnie twierdzi Safarzik w swojej „Geschichte der Slawischen Sprache und

---

*) Zachowujemy tu pisownię Staszyca, który nawet *o* nigdynie kréskuje. Zresztą w całej rozprawie pisownia nasza (prof. Małeckiego) o tyle niezachowana, że wszędzie, gdzie powinno być é jest *e* — z winy składacza.

Literatur", że Przybylski Homera „wierszem oryginału przełożył." Liszka powiada, że o tem Przybylskiemu ani się śniło. Wierzę, ale nie śniło się i Staszycowi. Pokazuje się, że nietylko u nas autorowie „Dziejów literatury" powtarzają pacierz za panią matką, która nb. sama często pacierza nie umie. Że Staszyc tłómaczył hexametrem, o tem czytaliśmy i w polskich książkach, bo czyż to zresztą koniecznie do zbawienia potrzeba wiedzieć co to hexameter, albo wiedząc zaglądnąć samemu do książki.

Tymczasem Staszyc tłómaczył wierszem trzynastozgłoskowym, tylko nie rymowanym i nie rytmicznym i to zupełnie własnego wynalazku, choć mniemał, że zdąża za wzorem obcych poetów. „Angielscy i włoscy pisarze — powiada — używać zwykli w takich dziełach wiersza wolnego, nierymowanego. Nasz język ma równie jak angielski własność stopniującego się słów wiązania, czyli zajmowania się jednego słowa sylab z poprzedniego lub z następującego słowa sylabami, a w tem zajmowaniu się sylab ma pewne *prozodyi*, czyli *głosomiaru* prawidła. Nadto ma równą samogłosek jak włoski obfitość. Tych pewne „*ustosunkowania*" nadawałyby takowym wierszom dosyć poetycznej *dźwienności*. Przytem w takowym gatunku wiersza, dla dania mu pewnej oznaki kończenia się miary jego, czemużby nie można ukończać t e w i e r s z e na wzór kadencyi wierszy francuskich."

Podałem ten ustęp dosłownie, lecz w pisowni dzisiejszej, ażeby nie utrudniać czytelnikom zrozumienia. Zrozumie, kto będzie mógł. Co do mnie, uważam: Staszic nie rozumiał dobrze rytmiczności i nie miał w uchu rytmu, a dzieło jego jest często po prostu prozą pokrajaną na wiersze, z których każdy trzynaście ma zgłosek.

Oto kilka próbek:

Ks. I (początek)

Bóstwo! tchniy rym, co będzie gniew nucić Achilla:
Gniew, który łzami, *swoją* krwią Grecya zlała;
Gniew, co tylu rycerzy *dusz* w ciemne umarłych

Wgrążył bezedno; sępom, żarłocznym psom chrobrych
Miotał ciało!....

Ks. III.

(Helena) Szła potulnie, gdzie *miłości Bostwo* *) ją wiedzie

. . . .

Tam podaje jej krzesło miłość przy uśmiechu (!!)

a na jej wyrzuty:

„Przestań kochana żono, rzekł jei (Paris) przestań żądły
Twej nielitości zwiększać strapienia mei duszy.
Prawda: Minerwy zdradą *zwalczył Menelao*
Mam i ja Bogow; mogę zwyciężyć go jutro.
Rzućmy te mowy. Wroćmy do *słodszych uczuciow.*

— — — — — Miłość tchnęła w nich chęć jedną.
Na roskoszy usiadła obok męża słaniu!!

Do najlepszych jeszcze należy ustęp następujący: (w oryg. w. 154 ks. III)

Co się Helena *tylko* zbliżała ku bramie,
Spostrzegłszy ją starcowie tak rzekli do siebie:
„*Dalibog* (!!!) *niedorzeczy i sarknąć,* (οὐ νέμεσις) że Grecy,
Trojanie bitwę toczą dla takiei kobiety.
Pienkna jak Bostwo... Przecież, niechby powrociła;
Ocaleje przynaimniei naszych dzieci reszta.
Tak radząc między sobą starcowie prawili,
Gdy wtem wchodzi w *utworze* Bogow cud pienkności:
„Zbliż się tu, rzekł w głos Pryam, kochana zbliż corko!
Miło mi tak cię nazwać. Nie tyś winą tego:

---

*) Tak zawsze zamiast Afrodite; podobnie Hebe-młodości bóstwo i o innych Bogach. (Pisownia Staszycowa zachowana).

Co cierpię, Bogow karą. Ich wolą ta woina.
Chodź, przy mnie siaday: obacz pierwszego ztond męża:
Rozpoznasz twoie krewne, twoie przyiacioły."

Ks. VI.

Schodzi się z nim (Hektorem) Teb krola Eeyona corka,
Hoinie posażna żona, czuła Andromaka;
Z nią na ręku (?) *piastwani, miłości zaręcze*,
Dziecie pienkne, jak wschodząc pierwsze zory ranne.

Niech nas Pan Bóg broni od posądzenia, jakobyśmy chcieli przez to, co się powiedziało, ubliżać zasługom wielkiego i szlachetnego męża. Zapisała je historya złotemi głoskami dla pamięci i nauki potomnych, ale niestety poezya na historyą oglądać się nie może. Zamiarem naszym było wskazać, że można być, jak mówi Szekspir, bardzo dobrym człowiekiem a złym grajkiem, że największy nawet uczony liche wiersze pisać może i że przez tłómaczenia Staszica ani literatura się nie wzbogaciła, ani Homer nie mógł stać się popularnym w Polsce.

Potem na długo o nim zapomniano. Nastąpił czas najpiękniejszego rozkwitu narodowej, oryginalnej literatury. Mickiewicz z całym orszakiem zajaśniał na naszem niebie. Nie czas to był na tłómaczenia, i nie było ich potrzeba; szczęk oręża, nadzieje, zawody, rozproszenie, tułactwo nie pozwalały na tak spokojne i chłodne zatrudnienie. Dopiero dobrze po r. 1840, gdy się skończył niejako krótki, ale najświetniejszy okres poezyi, można było znowu o Homerze pomyśleć. Pomyślał też *Klemens Żukowski*. Imię to wcale u nas nie znane. w historyach literatury nie wspominane, a książka jego w r. 1847 wydana jest prawdziwą rzadkością; wyznajemy, że spotkaliśmy się z nią dopiero w Bibliotece Jagiellońskiej, a egzemplarz był bardzo zaszanowany. Zapomnieli o niej wszyscy, nie zapomniał tylko z pewnością pan Estreicher. Nic też to nie jest wielkiego: tłómaczenie *Odyssei prozą *)*, a jednak myśl była dobra, i niezarzutna. O tłómaczeniu prozą myśleli.

* Homera Odyssea, z greckiego na polski język przełożona przez Klemensa Żukowskiego. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego 1846 (na okładce r. 1847).

już dawniej Niemcy, myślał nawet Goethe, pomimo, że mieli znakomity przekład Vossa, który wieki przetrwa i będzie na zawsze pomnikiem niemieckiej pracowitości i niemieckiego talentu. Zasługi jego dla niemieckiej literatury są niezmierne, stworzył on i do niezwykłej doskonałości doprowadził hexameter niemiecki, był nawet co do budowy wiersza mistrzem Goethego, wielki uczony, szlachetny patryota, pełen prostoty i uczucia poeta. Rozumiał Homera, jak żaden może tłómacz na świecie, przelał go wierszem na podziwienie zasługującym i słusznie go Niemcy Herosem tłómaczów nazywają — a jednak, i z jego przekładu nie można poznać Homera takim, jakim jest w przedziwnej, w bezprzykładnej swojej prostocie. Nie uronił *Voss* ani jednego wiersza, ani jednej myśli, ani jednego słowa, gdyby tak kto przetłómaczył biblią, uznałby ją Kościół za autentyczną — a przecież, choć słowa te same, inny ton, inna nuta, inny nastrój. Już to nie ów ślepy śpiewak mityczny, któremu tak od serca i od niechcenia pieśń płynie, przemawia do nas, poufale i po przyjacielsku, lecz górny wieszcz z prostego gęslarza, głosem podniesionym, słowem pełnem powagi, ale i patosu. Różne się na to składały przyczyny, najważniejsza jest ta, że tłómacz ciągle pamiętać musiał, żeby nie chybić w budowie hexmetru i to mu odebrało swobodę. Uznali to w Niemczech najwięksi nawet wielbiciele Vossa. „Przekonałem się, mówi jeden z późniejszych tłómaczów, jak nawet Voss przy całej swej wierności stał się niewiernym, jak często przymus wierszowy zawiódł go do wyższego, patetyczniejszego nastroju, którego nie zna pierwotwór.“

Warto też posłuchać, co w tej sprawie mówi Goethe A. m. Leben III Th. str. 46.: „Szekspir tłómaczony prozą naprzód przez Wielanda, potem przez Eschenburga mógł jako lektura powszechnie zrozumiała i każdemu przystępna prędko się rozpowszechnić i zbawienne wywołać skutki. Szanuję rytm i rym, bo przez nie dopiero poezya staje się poezyą, lecz właściwie skutecznem i prawdziwie kształcącem jest to, co pozostanie z poety tłómaczonego prozą, to jest czysta i zupełna jego treść (Gehalt) *). Zwłaszcza dla młodzieży bardzo są pożąda-

*) Odtąd już tylko streszczam zdanie Goethego, czytow. podł. kieszonk. wyd. Cotty w 36 tomach z r. 1867 T. XII.

ne prozaiczne przekłady, młodzież bowiem często po za dźwiękiem słów i spadkiem zgłosek nie dostrzeże głębokiej treści najszlachetniejszego dzieła. Zwracam więc uwagę, czy nie byłoby dobrze pomyśleć przedewszystkiem o tłómaczeniu prozą Homera; oczywiście musiałoby ono być godnem stanowiska, jakie dziś niemiecka literatura zajmuje. Osobliwie polecam tę myśl naszym zacnym pedagogom. Dla ogółu będzie proste i niewyszukane tłómaczenie zawsze najlepszem. Owe krytyczne przekłady, współzawodniczące z oryginałem są właściwie zabawką dla uczonych.“

Na innem miejscu pisze:

„Prozaiczne tłómaczenie uważam za bardzo pożyteczne przedsięwzięcie. Nasunęła mi się uwaga, nad którą się zdumiewałem. Z takiego tłómaczenia poznać dopiero tę nadzwyczajną lakoniczność poematu, tę czystość, oszczędność, prawie skąpstwo w przedstawieniu wzbogaconem przymiotnikami a ożywionem przez rytm.“ Tyle Goethe.

A że w Niemczech dość rzucić dobrą myśl, a zaraz znajdą się i wykonawcy, więc wnet pojawiły się tłómaczenia prozą, z których najwięcej rozpowszechnione, choć nie doskonałe jest Zaupera, a nowsze i dokładniejsze Freunda. Znaleźli się i tacy, co tłómacząc hexametrem chcieli poprawiać Vossa, mianowicie oczyścić go z pewnych prowincyonalizmów i archaizmów (n. p. Donner) — ale z tymi bogdaj czy nie stało się tak jak z Karpińskim, który tłómacząc psalmy chciał poprawiać Kochanowskiego.

Widzimy stąd, że myśl Żukowskiego była dobra, ale cóż kiedy wykonanie nieosobliwe i o tyle nie dopełniające życzenia Goethego, że nie było godne ani Homera, ani stanowisko, jakie już wówczas literatura polska zajmowała. Zdaje się, że Żukowski przeznaczał swą książkę dla szkół, że chciał zaradzić praktycznej wygodzie uczących się, bo starał się tłómaczyć ile możności dosłownie i wiernie, ale i Homer zaginął w rozwlekłym i zanadto prozaicznym toku i język polski nie zawsze wyszedł obronną ręką. Nie mógł sobie mianowicie dać rady z epitetami, chciał tłómaczyć je dosłownie, a przecież często zmieniał dowolnie i tworzył rzeczy dziwnie niesmaczne.

I tak Afrodite, którą Homer stale nazywa *złotą* χρυσέη, albo *mile uśmiechniętą* (φιλομμειδής) Żukowski nazywa *piękną*. Menelaus διοτρεφής (np. IV. 26), jest u niego Menelejem *od Jowisza wychowanym* [1]), ξανθός *światłowłosy;* πότνια Ἥρη (n. p. IV. 513) n Żukowskiego (str. 85) *szanowna Juno* φίλον ἦτορ (IV. 481) u Żuk. (str. 84) *Kochane* [2]) *serce.* φίλη τροφός (II. 361) Kochana mamka; εὐκνήμιδες (II. 402 pięknie *obóci* (!) [3]) χαλκοχιτώνων (IV. 496) miedzianą zbroję mających; νηυσὶ δολιχη ρέτμοισιν (IV. 499) z okrętami długie wiosła mającemi... ἦμος δ' ἠριγένεια φάνη ῥοδοδάκτυλος ἠώς tłómaczy Żuk. (str. 182). Kiedy zaś rano rodząca się zajaśniała *różowych palców zorza*; na str. 39. Eurykleja rozpłakana *lecącemi* odezwała się słowy (ἔπεα πτερόεντα προσηύδα II. 362 [4]) i t. p. i t. p.

Tłómaczenia tedy Żukowskiego, jakkolwiek opierającego się na dokładniejszej znajomości greckiego języka, ani z przyjemnością czytać ani do nauki bez znacznych poprawek z korzyścią użyć można. Niemała i nie łatwa to zresztą rzecz tłómaczyć nawet dla szkoły; filologia wymaga bezwarunkowej ścisłości, język polski także upomina się o swoje prawa. Grecki język jak wiadomo, ma mnóstwo złożonych wyrazów: Niemcom łatwa z tem sprawa, bo mają ich jeszcze więcej, ale język polski nie lubi ich, a często ścierpieć nie może. Jeszcze w szkole to jakoś ujdzie, jeśli uczeń poradziwszy się słownika [5]) przetłómaczy n. p. *euknemis* (εὐκνήμις) *nagolenicami dobrze opatrzony:* ma on wyraz grecki przed sobą i nie uczuje tak ociężałości, jaką mu nadał w przekładzie — ale jeśli się to czyta w książce i jeśli za każdy z tych kilkuset złożonych wyrazów trzy albo cztery znajdziemy, czy nie nabierze przez to Homer przykrej jakieś obrzękłości, zagrażącej wodną puchliną? A już zgoła w poezyi (to jest w tłómaczeniu wierszem) straszliwie to będzie wyglądać! I w tej mierze za wielką zasługę

---

[1]) Bronikowski podobnie „Zeusa *chowanku* Menelo.
[2]) Bronikowski: *luba.* [3]) Bronikowski: *nagoleniopancerni.*
[4]) Bronikowski i Siemieński dobrze tłómaczą (*lotne słowa*).
[5]) Oprócz słownika prof. Z. Węclewskiego mamy już teraz dobre specyalne słowniki do Homera p. Łazarewicza. Na rzetelny szacunek zasługują takie prace. Potrzeba nam także komentarzy do klas. autorów. Oprócz prac Jerzykowskiego i Sobieskiego nie mamy żadnych.

uważam panu Siemieńskiemu, że rzecz gdzie się dało uprościł, języka polskiego nigdzie nie skrzywdził, greckiemu nie ubliżył, a gdzie węzła ani rozwiązać ani rozciąć nie było można, tam węzeł po prostu zostawił. Tak n. p. wspomniany wyraz euknemis tłómaczy „knemidny“. Kto nie zrozumie co to jest, zaglądnie tylko raz do słowniczka na końcu umieszczonego i łatwo się oswoi z tym stałym i specyalnym przymiotnikiem Achajów i wioślarzy (II. 402), a nie znudzi się rozwałkowaniem przymiotnika na trzy wyrazy i mniej nad tem myśleć będzie niż nad *„nagoleniopancernym.“*

Jeszcze jednę wspólną tym wszystkim tłómaczom wadę zaznaczyć potrzeba, a to, że do Grecyi zawsze na Rzym jeździli i bóstwa rzymskie przenosili do Grecyi, czyli inaczej powiedziawszy greckie nazywali po rzymsku. Zeus jest u nich zawsze Jowiszem, Here Junoną, Hermejas Merkurym, Atene Minerwą, Ares Marsem, Afrodite Wenerą a u Staszica nawet Boginią miłości (choć Homer nigdzie a nigdzie tak jej nie nazywa *).

Prawda, że jest to w naszej literaturze grzech pierworodny, datujący się jeszcze od Reja i Kochanowskiego. Przez trzysta lat wszyscy tak pisali i każdy wiedział co Jowisz, o Zeusie zaś mało kto słyszał, a Wenus stała się nawet bardzo popularną, choć Afrodity nikt nie znał. Lecz jeżeli wolno było poetom zapożyczać się w porównianiach i opisach w mitologii rzymskiej, nie wolno było tłómaczom mającym przed sobą tekst grecki i Zeus powinien był zostać Zeusem a Hermes Hermesem. Panowie Bronikowski i Siemieński wady tej oczywiście uniknąć musieli, pierwszy jako uczony filolog, drugi jako pełen smaku poeta.

Tłómaczenie Odyssei p. B r o n i k o w s k i e g o, które wyszło w dwanaście lat po przekładzie Żukowskiego to jest w r. 1859 w Poznaniu, nie podobało się publiczności. Jest to jednak praca innej już miary i wartości, niż wszystkie poprzednie. Ten „odłamek dumań myślą w martwe zagnanego światy“ uczonego

---

*) Co innego że *jest* nią i u Homera. Porównaj prześliczny ustęp w Iliadzie, gdzie Zeus Afrodycie nie wojną każe się parać, lecz miłemi sprawami małżeństwa. V. 428.

jest dziełem już nie tylko prawdziwej dla wielkiego poety miłości, ale i doskonałego roznmienia jego języka. Troskliwość o ten język i usiłowanie, ażeby każdy wiersz polski zawierał to samo, co grecki, żeby w każdej pieśni tłómaczenia było tyle wierszy ile jest w oryginale, trudności zresztą rytmiczne i skrupulatna dbałość w zachowanie rytmu sprawiły, że język polski nie zawsze mogąc podążyć za greckim, wygląda niekiedy, jakby kulał lub chodził na szczudłach — i to jest, zdaje mi się, główną przyczyną, że książka w szerszych kołach nie pozyskała sobie czytelników, a u literatów ocenienia, na jakie zasługuje.

Tłómacz ma zresztą właściwy sobie, odrębny, może nie dość jasny, cokolwiek trudny, styl, do którego nawyknąć potrzeba. Pozna to czytelnik już z kilka ustępów przedmowy:

„Na treściwsze uwagi objaśniające, przydatne tu i owdzie wprawniejszemu czytelnikowi a pożądane dla potocznego, wydaniu, do nieco ścisłej już pod względem zewnętrznego przybrania skromności przyniewolonemu, nie postarczyło nakładowego zasiłku. Przychylni skrzętnej usilności przyjaciele dali, odnośnie dosyć; uprzykrzać się odleglejszemu tejże, łaskawemu groszowi, toż w dobach kiedy przeciwne takim podobno ulubował obroty, zgoła nie nadawało się literackiemu kwestarzowi, tego nadto konwentu. Za nawrotem, może i nie tak dalekim, podtyłej sobie *fantazyi* wieku w ogniskach Duchowości, ku nadobniejszym znów umiłowaniem, podążą w podskok za nią okoliczne i t. d.“

Oto kilkanaście wierszy z tłómaczenia Bronikowskiego:

Ks. I. *32—43.* „Przebóg! jakże to teraz bogów śmiertelni winują!
Z nas bo mówią że klęski na nich spadają, wżdy sami!
brojeń swoich szaleństwy nad los boleści zdzierzają.
Jako zaraz Aegisthos przeciw losowi Atridy
pojął żonę ślubioną, jego zaś zgładził, gdy wrócił,
świadom zguby swej strasznej; bośmy mu naprzód zwieścili,
Hermejasa wysławszy, strzelca celnego Argosa.
ni tamtego zatracać ni też ślubić małżonkę,
gdyż z Oresta nań pomsta przyjdzie zabójstwa Atridy,
kiedy w lata dojrzeje i zatęskni swej ziemi.
Tak przemawiał tam Hermes, ale umysłu Aegistha

nie zgiął życzliwy — więc teraz wszystko gromadnie
wypłacił.“

Jeszcze parę wierszy:

Ks. IX. 409—411. Na to odpowiadając słowy lotnemi odbiją:
„*Kiedyć sameś* a *nikt* ci gwałtu *się zadać* nie kusi,
wybiedz chorobie przez Zeusa *zsłanej* wielkiego nie możność.
w. 445 (wychodził kozieł) obciążony swem runem i *mną myślącym w dodatku.*
W. 511. ten przepowiedział, iż kiedyś spotka mię wszystko
to oto,
iże dłońmi Odyssa *zbawion* zostanę *spojrzenia.*—
w. 532 (wrócić) w gmachy *mocno działane* (οἶκον εὐκτίμενον).

Ks. XVII. w 388—391.
Ale z wszystkich tyś zawsze jest najdotkliwszym tu gachów
dla Odyssa czeladzi, a przed innymi *ci* dla mnie.
Wszak ja nie dbam, dopóki Penelopeja rozumna
żyją jeszcze w tym zamku bogom też rowien Telemach.

Nie trudno spostrzec, że to co rázi w tych wierszach wynikło przeważnie z metrycznych trudności. Pan Bronikowski chciał i budową wiersza zbliżyć się do oryginału, ale rzecz to w naszym języku niezmiernie trudna, prawie niepodobna. Budowa wiersza greckiego polega jak wiadomo na iloczasie i akcentu nicuwzględnia: w naszym zaś języku iloczasu nie ma, choć są ślady, że niegdyś był, i wszystkie głoski wymawiają się jednakowo to jest krótko. Są tylko zgłoski akcentowane i nieakcentowane, do akcentu więc stopę wiersza stosować i naginać potrzeba. A że mało mamy wyrazów daktylicznych (— ◡ ◡) przeto bardzo trudno utworzyć hexameter czyli sześciomiar daktyliczny

— ◡ ◡ | — ◡ ◡ | — ◡ ◡ | — ◡ ◡ | — ◡ ◡ | — ◡

Główna średniówka czyli cezura przypada zwykle po piątej półstopie (penthemimeris) to jest po pierwszej długiej zgłosce w trzecim daktylu, albo też w trzecim daktylu po pierwszej krótkiej (κατὰ τρίτον τροχαῖον).

W każdej z powyższych sześciu stóp z wyjątkiem piątej (gdzie to nader rzadko i to w umyślnym celu się zdarza) może poeta łaciński lub grecki zamiast *daktylu* (— ᴗ ᴗ) położyć *spondeus.* U nas i tego zrobić nie można, a jeśli się zamiast spondeu (— —) położy trochaeus (— ᴗ) albo nawet ᴗ —̆, to nie będzie to już hexameter, lecz wiersz inny choć bardzo do niego zbliżony. Takiego wiersza ku wielkiemu niezadowoleniu czeskiego tłómacza Odyssei *) użył Mickiewicz w wspaniałej Powieści Wajdeloty:

— ᴗ ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ
Skąd Li	twini wra	cają	z nocnej wra	cają wy	cieczki

Różnica jest więc ta, że w trzeciej stopie zamiast daktylu *zawsze,* a w pierwszej czasem przypada trocheus, a średniówka zaś niezmiennie dzieli wiersz na dwie równe płowy. Takim samym wierszem tłómaczył prof. Marceli *Motty* Satyry i Listy Horacego, a prof. Antoni *Bronikowski* Odysseję:

— ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ ᴗ	— ᴗ
Tak za	sypiał tu	boski	srogo do	świadczan O	dyssej

Ucho polskie nie nawykło do takiego wiersza i jeśli czarowna potęga słowa Mickiewiczowego tudzież głęboko wzruszająca treść jego Powieści uczyniły go nawet pięknym i nie dały uczuć trudności, to dla innych już mniej będzie miało wyrozumiałości i sympatyi. Stąd pochodzą narzekania niektórych czytelników, że wiersz Bronikowskiego jest twardy, szorstki i z trudnością się czyta.

Pomimo to przekład ten Odyssei nie zbutwieje na pułkach bibliotecznych, lecz w najpóźniejsze lata będzie w ręku nauczycieli greckiego języka i używać go będą w pomoc uczący się i uczeni. Taki też zapewne był skromny a pożyteczny cel szanownego tłómacza.

Co innego już zgoła jest tłómaczenie trzeciej księgi Iliady Jana *Kochanowskiego*, drukowane w dziełach jego pod tyt.

---

*) P. Mickiewicz najslawnejsi basnik w swém Wallenrode, podiwny sobie utworil hexameter.

„*Monomachia Parysowa z Menelausem*“, Powinniśmy byli o niem wspomnieć na samém czele, bo Kochanowski o trzy prawie wieki wyprzedził wspomnianych tłómaczów. Nie uczyniliśmy tego umyślnie, ażeby sobie ułatwić przejście od prozaicznych przekładów Homera do przekładu Odyssei przez poetę dokonanego. Pierwszy poeta był oraz pierwszym tłómaczem i wskazał następcom, że i przekładami arcydzieł obcych gardzić literatura nie może i niepowinna, gdyż są one prawdziwem jej wzbogaceniem — wskazał, co przedewszystkiem i jak tłómaczyć powinni poeci.

Ktokolwiek porówna przekład Kochanowskiego z oryginałem, przekona się, że jest wierny i każdą myśl dobrze oddaje, żadnej nie pomija *). Są i u niego pewne niedokładności, jest pewna dowolność. Z epitetami i wyrazami złożonymi nie robi sobie skrupułu, a jednak każdy wyraz choć dowolny jest stosowny i ładny. Białoramienna Helena jest u niego *piękną;* Aleksandra nazywa *gładkim* lub śmiałym, chociaż u Homera ma stały przymiotnik „podobny Bogu“ (θεοειδής), ale czy jest wyraz na świecie, któryby doskonalej charakteryzował uwodziciela Heleny, nazwanego w Iliadzie kilkakrotnie najpiękniejszym z postaci (εἶδος ἄριστος), niż „gładki“? — W wierszu *16* niewłaściwie tłómaczy (Τρωσὶν μὲν προμάχιζεν), „przed Trojany uciekał“; wiersz 39, w którym Hektor nazywa Parysa nieszczęsnym Parysem (Δύσπαρις), kobieciarzem i t. p., zbywa Kochanowski słowami: „Parysie zelżony“; miłe dary, które miał od złotej Afrodity, każe mu tłómacz pięknej *Dianie* zawdzięczać; miłosne jego zapały (przy końcu księgi) w skromniejszych wyraża słowach: — ale z drugiej strony czy można piękniej tłómaczyć jak „oszczep ustalony“ (δοῦρε κεκορυθμένα χαλκῷ) — I schronił się przed śmiercią między swoje chutnie [1]) — krew przed strachem do serca z oblicza

---

*) Nawiasem wspominam, że co do liczby wierszy bardzo mała jest różnica między oryginałem a tłómaczeniem. W greckim tekście III księgi jest wierszy *461,* w przekładzie Kochanowskiego *455.*

[1]) ἂψ δ' ἑτάρων εἰς ἔθνος ἐχάζετο κῆρ' ἀλεείνων w oryg. w. 32.

uchodzi [2]). — Nie zeszło nic wodzowi temu na osobie. Ale serca i siły nie masz [3]) — A nad przystojność bracie nic nie występujesz [4]) — *Niezarzutne* (οὐκ ἀπόβλητα) są rzeczy, które z nieba dadzą; A tego nikt swą pracą nie pozyszcze sobie itd.

Co tam wiele mówić: geniusz jest zawsze geniuszem i na wszystkiem, czem się zajmie, wyciśnie swoje piętno. A co to za polszczyzna, a jaka woń, jaki urok w tych prostych nie szukanych i nieuczonych słowach! Opieramy się pokusie przytoczenia ustępów — musielibyśmy bardzo wiele przytoczyć; zbyteczna to nareszcie: dzieła Kochanowskiego są w każdym domu polskim *).

Przekład Jana z Czarnolesia jest dziełem wielkiego poety i klasyka. Mamy jeszcze inny fragment Iliady, tłómaczony przez znakomitego czasów naszych poetę. Na nieszczęście wielki ten poeta, największy może mistrz słowa za mało był klasykiem. Mamy tu na myśli ustęp z Iliady (492 wierszy z księgi pierwszej) ogłoszony w pośmiertnem wydaniu dzieł Juliusza *Słowackiego* nie drukowanych za życia. Jako takie uchylają się one właściwie od krytyki; oceniając poetę powinno się właściwie rozważać tylko te dzieła, które sam wydał, albo do wydania przeznaczał. Papiery pozostałe są materyałem raczej dla biografa niż dla krytyka. Stemwszystkiem mały ten ustęp Iliady jest rzeczą w swoim rodzaju genialną. Nigdzie może tak wyraźnie nie przebijają się znamiona talentu autora „Balladyny“. Nie jest to tłómaczenie, ani nawet takie, jak Dmochowskiego, to jest z innego dokonane tłómaczenia. Słowacki nie miał przed sobą oryginału, miał tylko może przekład jaki francuski, a może tylko, jak pedejrzywam, Dmochowskiego. Chciał po swojemu, to jest prześlicznie ale i zuchwale, powiedzieć to, co Dmochowski powiedział; słowem parafrazował,

---

2) ἂψ τ' ἀνεχώρησεν, ὦχρός τέ μιν εἷλε παρειάς. w. 35.

3) (καλόν) εἶδος ἔπ' ἀλλ' οὐκ ἔστι βίη φρεσίν, οὐδέ τις ἀλκή. w. 45.

4) Ἕκτορ, ἐπει με κατ' αἶσαν ἐνείκεσας οὐδ' ὑπὲρ αἶσαν w. 59.

*) Jest pilna potrzeba nowego starannego i krytycznego wydania dzieł Kochanowskiego — wszystkie dawniejsze wyczerpane. Należałoby nawet za jednym zachodem zrobić dwie edycye, jednę zupełną a drugą dla młodzieży.

tworzył oryginalnie na temat przez Homera i to nie z pierwszej podany ręki. Słusznie uważa prof. Małecki, na którego zdanie z przyjemnością powołać się możemy, że robota ta była niejako stylistycznem przygotowaniem do „Króla-Ducha“, że poeta chciał się wprawić w stylu pełnym prostoty i powagi. Sam Homer nie gniewałby się za tak genialną parafrazę jego dzieł, ale nie uznałby tego za tłómaczenie tak jak i my nie możemy sobie życzyć, żeby w takiej postaci Homera naród nasz poznawał, obawiamy się bowiem, że poznałby Słowackiego, a nie Homera.

„Achilla gniew — i klęski zeń spadłe na Greków
Śpiewaj *Bogini — Bogów spiewaczko i wieków!*“

Prześlicznie to brzmi: „Bogów spiewaczko i wieków“ — ale cóż, kiedy Homer ani razu tak Muzy nie nazwał.

Podobnie „*przed czasem* tylu męży zgładził,
„Przed losem i przed bożym upokorzył tronem,
Naprzód Achilla z czarnym skłóciwszy Memnonem.

albo:

Był mór i z trupów całe urosły kurhany.
. . . .
Ujrzał się sam — w cierpiącym ludu ukarany itp. itp.

Bardzo to ładne, ale w Homerze tego nie znajdzie *).

III.

Homer.

Tak więc po r. 1874 nie mieliśmy prawdziwego Homera; nie miały go i inne ludy słowiańskie, a szkoda była wielka,

---

*) Prof. Małecki wspomina o nieogłoszonym jeszcze przekładzie Jana Zborowskiego. Przekładu tego nie znamy, a z kilku podanych wierszy trudno osądzić. Ustępy z Homera i innych poetów tłómaczył także profesor *Szujski* w „Rysie Dziejów literatury“. Przekłady dzieł mylnie Homerowi przypisywanych pomijamy.

i zdawało się, że jeżeli gdzie, to w Słowiańszczyźnie najlepiej powinien być zrozumiany i najwięcej czytany. Mianowicie świat Odyssei coś dziwnie słowiańskiego ma w sobie. Nie lubimy naciąganych porównań, a jednak trudno nie dopatrzeć rysów uderzającego podobieństwa, trudno nie dosłyszeć dźwięku jakiejś znanej rodzinnej nuty, chociaż o tyle, tyle wieków wstecz cofnąć się potrzeba.

Ten Odysseus żadną nie złamany burzą, pod żadnem nieupadający nieszczęściem, cierpliwie znoszący wszelkie utrapienia, przemyślny, obrotny, przebiegły, pokorny, gdy potrzeba, mściwy gdy nadarzy się sposobność, czasem jak to mówią z głupia frant, a zawsze pamiętający o swojem mieniu i przysporzenie dobytku *chytrze mądrze a nie wielkiem kosztem* *), nie dowierzający ludziom a nawet własnej żonie, choć słyszał o tylu dowodach wierności — i wracający do miłej ojczyzny pomimo tylu przeszkód i ponęt — czyż nie przypomina nam w wielu rysach twardej, łykowatej, cierpliwej natury naszego Rusina, który w długiej niedoli nauczywszy się pokory i cierpliwości zegnie się dziesięć razy a złamać się nie da, *niby milczy a wszystko wie*, do celu swego dąży powoli a wytrwale, nie ufa ludziom, nie wierzy nawet przyjaciołom — a przecież kocha ludzi, dla rodziny, dla przyjaciół wszystko poświęci — do swojej ziemi i wiary przywiązany gorąco?

A ten wierny poczciwy pastuch Eumaios i ta rzewna, czuła, cicha piastunka Eurykleja — co to o dobytek pański więcej dbają niś o siebie — a dziecko pańskie kochają jakby swoje i z łzą serdeczną w oku po krotkiem nawet rozstaniu całują jasne oczka (światełka) i główkę i rączki ukochanego panicza — czy nie przenoszą niejednego z nas myślą na Ruś w lata dziecięce, które na zawsze zapisały w miłej pamięć podobnie prawie takie same postacie?

Nawet *Iros*, ów żebrak zuchwały, co żebractwo uważa za swoje powołanie i za uczciwy zawód, a dawanie mu jałmużny

---

*) Naprzykład jakże sławnie przymawia się do Alkinoa, żeby go obdarzył. Spodziewa się podarków nawet od Polifema, cieszy się że Penelopeia zręcznie kosztowne dary od zalotników przed samą ich śmiercią uzyskać umiała i t. p.

za ludzki obowiązek — czyż to nie tenże sam, znany nam dobrze „król dziadów“ z Kochawiny lub Poczajowa?

A znowu stukilkunastu tych bujnych zalotników, zalegających dwór Penelopei, choć, jak sami wyznają, każdy z nich mógł sięgnąć po rękę szlachetnej i posażnej panny, czy to nie oczywista rzesza onych butnych panków naszych, co to tak do cudzych zalecać się żonek, chociaż tyle pięknych nudzi się panien — dobijać się o rękę kobiety, która mogłaby być ich matką, dlatego, że jest znacznej posiadłości dziedziczką — przesiadywać gnuśnie po sąsiedzkich dworach i wypróżniać cudze zasoby pomimo, że w domu byłoby aż nadto, gdyby gospodarka nie szła marnie przez ich własne niedbalstwo — a nareszcie podczas konkurów do królowej nie pogardzać także stosuneczkiem z pannami minorum gentium, w guście tych dwunastu, które Telemach na rozkaz ojca jak gołębice na sznurku obwiesił? — A przecież rycerska to krew! Lepiej zginąć, niż się ukorzyć. W imię rycerskości wyrzucają Odyssejowi, że zabija bezbronnych, a gdy dostali trochę broni, walczą do ostatka — bezskutecznie, bo Bóg pomagał Odyssejowi, lecz żaden się nie upokorzył i litości nie wzywał, i padają jeden po drugim bez życia, ale z honorem!

Więcej kosmopolitycznym jest typ miękkiego śpiewaka, który z wstrętem śpiewać musi zuchwalcom i wzdryga się patrząc śmierci w oczy — i owego Keryxa, niby jakiego lojalnego urzędnika, co wierny władzy, ulegać musi przemocy. —

Specyalnie grecką najdawniejszych czasów postacią jest Peneleopeia; przynajmniej późniejsi poeci nie okazywali skłonności do wiary w dwudziestoletnią cnotę, a u nas zachowała się stara, czasów Bolesławowskich sięgająca pieśń gminna (porównaj *Lilie* Mickiewicza), która powiada, że nawet jednoroczny termin był za długi. Cożkolwiekbądź, Penelopeja jest jedną z najwspanialszych i najpiękniejszych kreacyj poetyckich — to też gdzie imię jej nieznane, gdzie nie stała się synonimem małżeńskiej wierności i cnoty?

Czy ustęp o przemianach Proteusa nie przywodzi nam na myśl bajek ludu naszego o („niewymownym“) djable, który przerzuca się w czarnego barana to znowu w koguta, to mazią się rozleje? Fantastyczne nareszcie powiastki o owych olbrzymich ludożercach, o Lotofagach, Kikonach, Syrenach i t. d.

czy nie przypominają niejednym rysem baśni, któremi niańki bawią dzieci w długie zimowe wieczory?

Ale mniejsza o podobne porównania i przypomnienia — każdy wysnuwać je może dowolnie i za małoby to było, ażeby zająć wszystkie umysły i wszystkie narody. Z innych i ważniejszych względów pozyskał Homer jednomyślne uwielbienie.

Ileż to ludzkości, ile szlachetnych uczuć w tych bohaterach Homerowych, nawet śród szczęku oręża, śród koniecznego w długich wojnach zdziczenia! Jakież łagodne światło etyczne rzucił poeta w Iliadzie na morze łez i krwi! — Jaka tam gotowość do śmierci, lekceważenie niebezpieczeństwa, przekonanie, że jeteśmy marnym prochem i w proch się obrócim.

Jako liście marne są ludzie — pełni siły spożywają owoce ziemi — a za chwilę padną bez duszy. (Ilias. XXI. 464. Porównaj także VI. 146).

Nawet w tym srogim na pozór i namiętnością gniewu uniesionym Achillesie jaka łagodność w sercu, jaka przystępność dla najszlachetniejszych uczuć, jaki smętny i pełen rezygnacyi pogląd na świat, na życie, na ludzi! „O gdyby zaginęły — woła — kłótnia i gniew, który i rozsądnego do złych czynów wiedzie, i słodszy niż miód rośnie i podnosi się w piersi człowieka jak dym.“ (Il. XVIII. 107—110). „Ach na cóż się zdał bolesny płacz — pociesza Priama — już to tak bogowie przeznaczyli biednym śmiertelnym cierpieć na ziemi.“ (Il. XXIV. 524). Będę spoczywać, gdy umrę, teraz chciałbym poczciwą sławę pozyskać — rzecze do matki (XVIII. 121). — Wiesz— mówi Antilochos do Menelausa — jaka to zuchwałość i duma w młodym człowieku! (Il, XXIII. 589). Wnet wojną przesycą się ludzie, w której tyle kłosów pada na ziemię pod ostrzem żelaza, a żniwo tak małe. (Odys. do Achil. Il. XIX. 221.). I w Odyssei utrapionym wyrywa się z piersi posępna skarga: „Nic nie ma gorszego dla ludzi nad ciągłe tułactwo. Dla zaspokojenia głodu tyle znosimy trudów i cierpień.“ (Od. XV. 342). Ze wszystkich stworzeń na ziemi najnędzniejszem jest człowiek. (Od. XVIII. 130). Żywot ludzki mija jak chwila. (XIX. 328). Prędko starzejemy się w nieszczęściu. (XIX. 360). Żelazo samo ciągnie do siebie człowieka.“ (XIX. 13) i t. d.

Proszę sobie przypomnieć jeszcze z Iliady (VI. 123—236) owę prześliczną rozmowę Glaukosa z Diomedesem śród naj-

większej wrzawy wojennej. Nim uderzyli na siebie, „Kto jesteś najlepszy! z ludzi śmiertelnych, nie widziałem cię dotychczas w zaszczytnej walce, a teraz wszystkich wyprzedzasz, pragnąc ze mną się mierzyć — woła Diomedes. *Dzieci to nieszczęśliwych*, co w moje dostają się ręce! Chyba jesteś który z bogów i z nieba przyszedłeś — a! z bogami niebieskimi jabym nie walczył. Nawet ów potężny Lykurgos nie długo żył, gdy przeciw bogom się podniósł.... — „Tydeusa synu — odpowiada Glaukos — na co mię o ród mój pytasz? *Jako ród liści, jest ród człowieczy.* Liście wiatr zwieje na ziemię — a gdy przyjdzie wiosna — nowym liściem lasy porosną. Tak też i rody ludzkie: jeden rośnie, a drugi ginie!... Hippolochos jest mym ojcem — on wysłał mię pod Troję i bardzo, bardzo mi nakazał, żebym się zawsze odznaczał i był między pierwszymi i wstydu mym ojcom nie zrobił."

Słysząc to ucieszył się dzielny Diomedes; natychmiast zatknął oszczep w życiodajnej ziemi i słodkiemi przemówił słowy:

„A jeśli tak, to tyś mi starym druhem od ojców — gościli u ciebie nasi ojcowie — i my, gdy do domu wrócimy, odwiedzim się nawzajem. A teraz omijajmy się w walce — dość ja mam Trojan do pokonania przy boskiej pomocy — dość i tobie nastręczy się Achajów, których będziesz mógł zabijać, ile sił starczy. Zamieńmy zbroję, nim się rozejdziemy, ażeby i inni widzieli, żeśmy druhy od ojców!" — — Jeżeli te piękne, z serca idące słowa przejmują każdego, to cóż dopiero powiedzieć o prawdziwie wzruszającem pożegnaniu Hektora z żoną i dzieckiem (w tej samej księdze w. 407—493). — Ze łzami woła Andromache: „Niedobry! zgubi Cię Twoje męstwo, nie masz litości nad dzieckiem malutkiem i nademną, która wkrótce będę wdową po tobie; rychło zabiją Cię bowiem Achaje uderzając tłumnie, a mnie lepiejby było, gdy Ciebie nie stanie, zstąpić pod ziemię — bo już nie będzie dla mnie żadnej pociechy — tylko cierpienie i smutek. Ani ojca już nie mam — ani matki; ojca zabił Achilleus, matkę uprowadził w niewolę, a gdy ją za okupem wypuścił, umarła w komnacie. Siedmiu braci miałam w domu — i wszyscy jednego dnia do Hadesa poszli — wszystkich zabił Achilles.*) — Hektorze! tyś mi te-

*) Porównaj *Powieść Wajdeloty.*

raz ojcem i matką i bratem i miłym małżonkiem — więc zmiłuj się i zostań na wieży, ażebyś sierotą nie uczynił dziecka a małżonki wdową*).“

„Ach i mnie to wszystko ciąży na sercu — odpowiada bohatyr — lecz obawiam się, żeby nie powiedzieli Trojanie i Trojanki, że jak niedołężny unikam wojny. Zresztą własne nie pozwala mi serce, bom się nauczył być zawsze mężnym i walczyć między pierwszymi, dla sławy ojca mego i mojej. Dobrze ja to wiem w sercu i duszy: przyjdzie dzień, gdzie runie święte *Ilios* i Priamos i lud Priama! Ale nie tyle mi ciąży smutek Trojan, ani nawet Hekaby ani Priama, ani braci, których mam wielu i dzielnych — że w proch upadną pod rękami nieprzyjaciół: ile twój smutek, gdy cię który z zbrojnych Achajów płaczącą powlecze i dnia wolności pozbawi. I dla innej prząść będziesz w Argos i wodę nosić ze źródeł Messeidy i Hyperei — bardzo niechętnie, ale ciężka cię zmusi konieczność. I wtedy powie niejeden patrząc na łzy lejącą: Oto małżonka Hektora, który był najdzielniejszy w boju między Trojany, gdy pod Ilion walczono.“ Tak powie niejeden — a tobą na nowo ból zaszarpie, że nie masz już twego męża, aby dzień niewoli od Ciebie odwrócił. Ale niech mię raczej mogiła przykryje, niż miałbym twoje wołanie usłyszeć i dowiedzieć się o twem porwaniu!“

„To rzekłszy wyciągnął ręce do dziecka — ale chłopczyna z krzykiem tulił się do łona mamki, bał się bowiem oblicza ojca miłego i przeląkł się żelaza i hełmu. I uśmiechnął się ojciec miły i matka czcigodna. Zdjął więc Hektor hełm błyszczący z głowy i położył na ziemi, a potem całował swe dziecko i kołysząc je na rękach modlił się do Zeusa i do innych bogów: O Zeusie i wy inni bogowie, pozwólcie, żeby ten mój chłopczyna jak ja odznaczał się wśród Trojan i dzielnie rządził, i żeby kiedyś powiedziano: lepszy ten o wiele od ojca. . . .**)“

---

*) Porównaj Mickiewicza Powrót Taty:

Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodej małżonki wdową.

**) Porównaj: Hermann und Dorothea: „dass er dem Vater nicht gleich sei, sondern ein Besserer.“

„To rzekłszy położył dziecko na rękach miłej małżonki — a ona okrywała je fałdami swej sukni — *przez łzy uśmiechając się*. Żal ogarnął Hektora, gdy to zobaczył, pogłaskał ją ręką i rzekł: Biedaczko! nie smuć mi się zanadto, wszak nikt do Hadesa nie pójdzie, gdy mu los nie przeznaczył. Przeznaczenia zaś nikt nie uniknie, ani zły ani dobry, gdy się już raz urodził. . . .“

Łaskawy czytelnik zechce otworzyć jeszcze ostatnią księgę Iliady, mianowicie w tem miejscu, gdzie Pryam z pomocą Hermesa przybywa w nocy do namiotu Achillesa, ażeby go prosić o wydanie zwłok syna (wiersz *477* i nast.). Niedostrzeżony zbliżył się do Achillesa, objął jego kolana i całował ręce, te straszne, mężobójcze ręce, co mu tyle synów zabiły. Zdumiał się Achilles, osłupieli wszyscy patrząc na przybyłego, a on błagał o zwłoki syna i zaklinał Achillesa na pamięć ojca, który także starością przygniecion, może ucisku doznaje, a nie ma komu nieszczęścia od niego odwrócić. Gdy skończył żałosną prośbę, wziął go Achilles za rękę i łagodnie od siebie odsunął. Obydwaj głośno zaczęli płakać. A gdy się napłakali do woli, podniósł Achilles starca i żal mu było siwej głowy. „Ach nieszczęsny! — zawołał, ach wieleż ty już cierpień w duszy przetrwałeś! Jak mogłeś się odważyć tu do okrętów achajskich przyjść sam — i przed oczy człowieka, który tylu i tak dzielnych zabił ci synów?! *żelazne ty masz serce!*“

Może nie pogniewa się na nas łaskawy czytelnik, żeśmy ośmielili się przypomnieć mu tych kilka ustępów, dających się czytać po sto razy, a zawsze z jednakowem zajęciem, może zechce wyrozumieć pobudki, które nas do tego skłoniły. Szkoda tylko, że musieliśmy przytaczać tłómaczenie lub streszczenie własne i to prozą, bo niestety p. Siemieński jeszcze Iliady nie przetłómaczył. Pragnęlibyśmy zwrócić powszechną naszego społeczeństwa uwagę nie tylko na ten nieporównany urok najczystszej i najgłębszej poezyi, ale i na tę znajomość serca ludzkiego, na tę prawdę w przedstawieniu, na tę małosłowną charakterystykę ludzkiej duszy. Pomimo trzydziestu wieków dzielących nas od owego świata i czasu, znajdujemy takie same jak dziś uczucia, myśli, wyobrażenia, znajdujemy to, co jest czy-

sto ludzkie, co się wszędzie powtarza i ani od czasu nie zawisło, ani od miejsca ani od narodowości.

Bóg, człowiek, ziemia — oto trzy słowa, które nigdy nie przeminą — uwielbianie Boga, miłość człowieka, przywiązanie do ziemi — oto trzy idee, które nigdy się nie starzeją i nadają zawsze poezyi ten urok nieprzemijający i tę cechę uniwersalną, ludzką, dla wszystkich przystępną. Wszystkie wielkie dzieła tym trzem ideom, z których dwie drugie są właściwie wynikiem pierwszej, bo pierwsza jest początkiem wszelkiej miłości, zawdzięczają nieśmiertelność. — Wszystkie inne, co się do nich nie wzniosły, prędzéj lub później spadały w przepaść zapomnienia. Homer wzniósł się do nich, jak tylko na ośm wieków przed Chrystusem najwyżej wznieść się było można, i dlatego żyje, dlatego trafia do wszystkich serc, podnosi wszystkie dusze. Zadziwiające jest to tęskne wyglądanie i pragnienie Boga, to wyrywanie się serc ku Niemu, słowem ta pobożność poety. Zaprawdę przebaczyć potrzeba, że dziecięca owego wieku natura szukając Boga — wyobrażała go sobie zmysłowo, czasem dziwacznie, często niewłaściwie lub błędnie. Homer sam stworzył Grekom bogów (jak mówi Herodot II. 53) a stworzył na podobieństwo ludzkie — cóż dziwnego, że tyle ludzkich mają znamion? Któż za złe weźmie dziecku, jeśli biedne szukając ojca, zbłąka się płacząc i nawet powiedzieć nie umie, kto jest ten ojciec, jak się nazywa, gdzie mieszka? Czy przeto dziecko to nie pragnie znaleść i nie kocha swego ojca?

Otóż Homer i świat Homera to owo dziecko szukające ojca i ciągle wołające: Ojcze! Ojcze! Wszystko ci ludzie odnoszą do Boga — wszystko co mają, mają z Jego łaski, wszystko czego pragną, spodziewają się pozyskać tylko za Jego pomocą, własnej sile nie ufają nigdy, a jeśli kto zaufał, zawsze się zawiódł — (dość przytoczyć oprócz wspomnianego Lykurgosa, olbrzyma Polifema, który choć był synem Pozeidona, urągał bogom i srodze ukarany został od człowieka mizernego, jednak boskiej ufającego pomocy); przy każdej sposobności wzywają imienia bogów, w każdej uroczystej chwili modlą się do nich, nigdy nie wezmą pokarmu i napoju do ust nie ofiarowawszy nieśmiertelnym! Dowodów na to nie potrzeba — dowodem jest cała Iliada i Odysseja. Oto kilka zdań

zebranych na prędce: Zabijesz mnie, powiada Hektor do Achillesa, jeśli ci pozwoli (da) bóg (Il. XXII. 285) — i ginie potem, *bo go opuścił* Foibos Apollon (wyraźnie *opuścił go* Il. XXII. 213). „Gdybym ich zabił za Zeusa i twoją pomocą (Odys do Ateny Od. XX. 42). Atene odpowiada: Choćby 50 zastępów zasadziło się na cię, przy pomocy boga wszystkie pokonasz (XX. 49). „Powinien się był modlić do nieśmiertelnych, nie byłby nadbiegł ostatni.“ (Antilochos do Achilla XXIII. 546). Teukros nie trafił gołębia na igrzyskach, bo nie ślubował Apollinowi hekatomby (Il. XXIII. 864). Echepolosowi bóg dał wielki majątek (Il. XXIII. 298). W Odyssei czytamy: Leży tem z łaski bogów bogaty dobytek w komnatach (XI. 341); piękność i rozum bóg daje (XX. 70). Telemacha pod nieobecność ojca wychowali bogowie (XIV. 175). Niech bóg broni od tego (XX. 344). Oby Zeus spełnił gościu twe słowo i t. d. i t. d.

Jakże to wszystko przypomina lud nasz kochany, ludek Boży, co cię zawsze w imię Boga pozdrowi i pożegna, co imię Jego nie tylko na ustach ma ale i w sercu. „Niech będzie pochwalony“ oto jego pokłon; „Jeśli Bóg da doczekać, jeśli Bóg pozwoli“ — oto słowa towarzyszące jego planom; Czyj to domek? „Naprzód Pana Boga a potem mój“ odpowie — „ma tam Pan Jezus dziesięć zagonów“ — oto właściciele jego majątku. — Jakże przytem wyglądają te dzisiejszych mędrców rozumy, co chcąc stracić Boga, same lecą w przepaść, jak upadłych aniołów tłumy — jakże przy tem nędzne są owe młokosy, co to zobowiązują się nie wymówić nawet wyrazu Bóg — śmieszne robaki! I dziwićże się nam, że jeden z największych myślicieli naszego wieku, jak wspomina p. Siemieński, nazwał Homera przedmową do Ewangelii, a Mickiewicz *więcej chrześcijańskim, niż wielu chrześcijańskich pisarzy*.

Może dobrze będzie przypomnieć, co powiedział w III kursie Literatury: „Należy autorom niezmiernie skrupulatnie i bogobojnie używać świata nadprzyrodzonego. W tej mierze sztuka chrześcijańska grzeszyła najgorzej. Homer pod tym względem jest dotychczas — jeśli się tak godzi powiedzieć — najbardziej chrześcijańskim. U niego wszystko naprzód dzieje się w niebie, w krainie duchów, potem zstępuje na ziemię, wykonywa się przez ludzi. Ludzie nie są wszakże narzędziem ślepem, mogą pójść za natchnieniem wyższem, albo je odepchnąć

i to stanowi całą tajemnicę ich powodzenia lub niedoli. Stąd też bohaterowie Homera są daleko naturalniejsi, lepiej dają się nam pojąć od bohaterów Tassa lub tegoczesnych poematów i romansów. Wojownicy Homerowscy mają dni pomyślne i nieszczęśliwe, chwile odwagi i trwożliwości niepojętej dla nich samych. Często któryś z nich, opuszczony przez bóstwo wspierające, traci nagle serce i wyznaje to otwarcie — ucieka nawet z pola bitwy. Jest to rzecz naturalna.“

Z tej miłości Boga wypływają i wszystkie inne cnoty świata Homerowego: uczczenie domowego ogniska, srom i honor domu, a nadewszystko owa święta gościnność, co każe przyjąć gościa nie pytając kto jest i skąd przychodzi, nie oglądając się, czy koło niego dostatnio czy ubogo. Nawet żebrakowi w łachmanach otwierają się drzwi na oścież i siada do uczty razem z królami, bo często bogowie w postaci takich nędzarzy chodzą po ziemi badając serca ludzkie. Gdy Antinoos zuchwale stołkiem ugodził Odyssa — żebraka, odzywa się jeden z młodzieży:

Źleś zrobił Antinoju ciskając w nędzarza;
Nużby to był niebianin, jak nieraz się zdarza,
Że Bóg przybrawszy postać wędrownego dziada
Grody, włości przebiega i naocznie bada
Zbrodnie ludzkie i cnoty bogobojnej duszy?

(Tłómacz. Siemieńskiego str. 429 w oryg. XVII. w. 483—487).

Nie jestże to jakby przeczuwanie tego, co Pan Jezus powiedział, że przyjdzie do nas w postaci nagich i głodnych — i cokolwiek biednym uczynimy dobrego, Jemu uczynimy? — Nie jestże to jakby pierwsza z tych pobożnych legend, jakie między ludem naszym krążą, że święci nawiedzają chaty jako ubodzy i błogosławieństwo niosą domowi, w którym mieszka litość i człowiekowi, którego serce nie zamyka się przed nędzą?

Zważywszy to wszystko nie będziemy się dziwić wielkiemu znaczeniu i wpływowi Homera. Dzieła jego nie tylko „wzbudzały heroizm cnoty wspomnieniem dawnych bohaterów, nie tylko wpływały na uczucia i imaginacyą synów Grecyi, co polegli pod Termopilami“ — jak mówi Mochnacki — ale wywierały one nieskończony, ciągły i stanowczy wpływ na ukształce-

nie i oświatę, na literaturę i sztukę, na obyczaje i na politykę — słowem na cały byt i rozwój, na całą historyą Hellenów. Nie tylko Hellenów! Dawno minęła ich wielkość, dawno przyszedł i dla nich ciężki dzień niewoli (δούλιον ἦμαρ) — a Homer zawsze tym samym opromieniony blaskiem, tą samą otoczony czcią, ten sam wywiera wpływ i wywierać nie przestanie! We wszystkich szkołach na świecie brzmią jego słowa — we wszystkich krajach coraz nowe wychodzą edycye — we wszystkich filologach uczonych ma komentatorów. Przodują w tej pracy Niemcy. I zaprawdę wielką część tego, co na szacunek zasługuje u Niemców, narodu mającego wiele wrodzonego lub koleją wieków wyrobionego barbarzyństwa i patrzącego zawsze cudzej grzędy i cudzego chleba, wielką cześć zawdzięczają studyom klasycznym. Dość wskazać na Monachium, owe jakoby odrodzone Ateny.

Szanujemy głęboko filologów niemieckich, uchylamy czoła przed ich pracą, zdolnością, zasługą. Jedna tylko nasuwa się nam wątpliwość. Czy ich wzrok bystry przez długie natężenie czasem nie stępiał, czy patrząc daleko, nie stali się niekiedy krótkowidzącymi? Tak się nam zdaje przynajmniej co do Homera. Najpierw powiedzieli i ciągle utrzymują Niemcy uczeni, że Homera nie było, że był tylko spójca (Ὅμηρος = ὁμοῦ + ἄρ), zbieracz rozumny i estetyczny, który w całość liczne spoił pieśni. Strach zbiera pisać o tej skórze, jak powiedział niegdyś Klonowicz. Taka wymierzona przeciw nam małym i bezbronnym armatura najściślejszej nauki, najgłębszej badawczości, że trudnoby się odezwać i odwaga opuszcza człowieka. Na szczęście jednak i my mamy ciężkie działa na swoję obronę, i my mamy wielkie, może większe niż najuczeńsi gramatycy co do tej sprawy powagi za sobą. Schiller, Goethe, Hegel*) powiedzieli, że barbarzyństwem jest uważać poemata Homera za zręczne spojenie luźnych utworów, za doskonałą łataninę z różnych kawałków. Wprawdzie Wolf i Lachmann i inni wielcy uczeni są przeciw nam; za nami zaś oprócz znacznego zastępu filologów wszyscy świata poeci, a ci wiedzą najlepiej, jak się tworzą

---

*) Co do tej rzeczy odwołać się muszę do dawniejszej pracy: „Uwagi nad Panem Tadeuszem.“

dzieła artystyczne i czują, że nie pomoże tu zbierana drużyna W samych Niemczech sprawa ta nie rozstrzygnięta. Połowa wydawców i połowa badaczy oświadcza się za jednym twórcą, za jednym Homerem. Bądźcobądź żadna strona w tym sporze nie może się jeszcze pochlubić stanowczem zwycięstwem — i nikt pewnych i niezbitych nie zdoła podać dowodów: — można zatem albo wierzyć, albo nie wierzyć. To pewna, że Homer na tem nic nie stracił, jeżeli nie zyskał. Spór zajmował najzdolniejsze umysły, wywołał najgorętszą polemikę, spowodował do najgruntowniejszych badań. Tym sposobem — chcąc zaprzeczyć Homerowi egzystencyi lub chcąc jej obronić — szukając pojedynczych pieśni, lub dowodząc jedności, coraz nowe odkrywano piękności i wszyscy bez różnicy opinii używali rozkoszy w tej słonecznej świątyni.

Pisać w tej sprawie jest to zaprawdę wodę nosić do morza albo sowy do Aten, jak mówi greckie przysłowie; odsyłamy zresztą do pięknej przedmowy p. Siemieńskiego, którą radzibyśmy, żeby każdy wbrew panującemu u nas zwyczajowi przeczytał. Dla prostego rozumu aż nadto dostateczne i jasne jak słońce są dowody następujące, które w najściślejszej podamy zwięzłości. Nie ma przykładu wielkiego artystycznego utworu, któryby z rozmaitych złożył się urywków. Grecy mieli niezawodnie bardzo wielkie poczucie i zmysł artystyczny — byli zresztą bliższymi Homera i właściwszymi sędziami, a jednak wierzyli wszyscy i zawsze w jedność kompozycyi pomimo, że tyle mieli kłopotu w zebraniu, uporządkowaniu i spisaniu autentycznego textu, który podawany ustnie wielu zmianom ulegał. Cóż łatwiejszego, jak wszystkie miejsca, uważane powszechnie za wtrącone później, wszystkie dodatki i powtarzania się, przypisać rapsodom wygłaszającym często pojedyncze pieśni osobno, i dla dokładniejszego zrozumienia powtarzającym ustępy z innych pieśni, a dla przypodobania się słuchaczom dodającym parę wierszy mogących im pochlebić. Wszystkie pieśni zresztą nie były spisane, lecz przechowywane w pamięci przechodziły z ust do ust, z ojca na syna. Cóż naturalniejszego, jak pewne przekręcenia lub samodzielne a mniej udolne uzupełnienia zapomnianych miejsc? Nie da się uzasadnić niewiara w możność utworzenia i zachowania w głowie tak wielkich poematów. Słusznie powołuje się p. Siemieński na serbskich gęślarzy i na

Ramayanę i dowiedzioną jest rzeczą, że w Atenach w czasach późniejszych, gdy dzieła Homera już spisano, byli ludzie wygłaszający z pamięci całą Iliadę i Odysseję. Nie tak trudno to pojąć — ileż to uczniów naszych umie całego Wallenroda na pamięć, a znaliśmy młodego chłopaczka, który nauczył się całego Pana Tadeusza i doskonale wygłaszał. Nie mały miał zapewne z tymi wtrąconymi ustępami kłopot *Peisistratos*, zabrawszy się w towarzystwie kilku poetów, mianowicie *Onomakritosa*, do ostatecznego zredagowania epopei Homerowych, a jednak i jego posądzają, że kilka wierszy podrobionych wsunął na korzyść Aten. Chcąc uniknąć nowego rozkawałkowania i pobałamucenia i wiedząc że tylko całość zaspokoi estetyczne pragnienie słuchaczów, rozporządził, żeby odtąd podczas *Panathenaiów* poemata Homera wygłaszano tylko w całości i w porządku właściwym — a ponieważ jednemu nie starczyłoby było sił, więc rapsodowie kolejno zmieniać się mieli (ἐξ ὑπολήψεως). Pomimo to pozwalano sobie później rozmaitych wsuwek i dodatków (t. z. dyaskeuazy) i wiele mieli pracy około przywrócenia recenzyi Peisistratosa uczeni alexandryjscy, między którymi odznaczał się *Zenodotos* z Efezu,*) Aristofanes z Bizancyum a najwięcej uczeń tegoż, sławny *Aristarchos*.

Żadnemu z tych mężów uczonych i bardzo bystrym obdarzonych wzrokiem na myśl nie przyszło, że Homera nie było, albo że dzieła jego są zręcznym zlepkiem. Wszakże nie tylko do zdania znakomitych krytyków odwołać się możem; nic małej wagi i to, co sądzili o tem późniejsi wielcy myśliciele i poeci greccy. Otóż o ile wiemy każdy z nich tego samego był przekonania, a byłoby — jak mówi Ameis — może więcej niż śmiałością odmówić kompetencyi takiemu Platonowi lub Sofoklesowi i pomyśleć, że spojone kawałki byliby uważali za organiczną całość, a rozstrojone i ze wszystkich stron zebrane dźwięki za najpiękniejszą harmonią.

Najdoskonalszym wszakże dowodem, jak uważa p. Siemieński, są same dzieła. Taka w nich organiczna jedność, takie pewne i jasne dążenie do celu, taka artystyczna budowa,

---

*) Jemu przypisują podział epopei Homerowych na 24 księgi każdą.

taki związek pojedynczych części, że nie wiele wyrzucić a nic dodać (chyba luźne wiersze lub małe ustępy) nie można.

Pan Siemieński zaznaczając jedność poematów a mianowicie Odyssei, może za wiele ustępuje przeciwnikom swego zdania co do Iliady.“ W Iliadzie — czytamy na str. 24 przedmowy, dość było powiązać ze sobą pieśni wojenne, pierwotnie wyśpiewane przez samych bohatyrów z pod Troi lub wkrótce ułożone po tej wyprawie — dość było je porządkiem powiązać, a niektóre rozszerzyć dodatkami — a epos złożyło się samo przez się; jedność bowiem działania leżała w samym przedmiocie! Wszystko skupiało się około Troi i jej zdobycia!“ Czcigodny tłómacz Odyssei przebaczy mi, że się głośno za Iliadą upomnę z powodu tego ustępu. Iliada tak samo „nosi cechę świetnej i zupełnej kompozycyi“ jak Odysseja i tak samo w jednej zrodziła się głowie — cała od początku do końca. Nie około zdobycia Troi, lecz około gniewu Achilla skupia się tam cała akcya. Owszem wcale poecie nie idzie o dziewięcioletnie koleje wojny przed tym gniewem i o jej koniec, gdy gniew ustąpił. Początek i powód wojny napomknięty nawiasowo — o zburzeniu Troi wspomina dopiero Odysseja, w Iliadzie zaś tylko z kilku luźnych słów i przeczuć domyślać się go można. Agamemnon obraził Achillesa, Achilles poskarżył się matce-bogini i wstrzymał się od walki; matka uprosiła u Zeusa zadośćuczynienie dla syna — Zeus obiecał i odtąd wszystkiem tak kieruje, ażeby obietnicy dotrzymać. Grecy ponoszą nieustanne klęski — największe bohaterstwo bezowocne — Hektor dociera do okrętow achajskich, zagraża im pożarem — upadek bliski i konieczny — Agamemnon błaga o pomoc, ofiaruje dary, przysięga, że branka nie tknięta — dumie stało się zadość — zwycięstwo wrogów oburza Achillesa — pozwala walczyć najmilszemu Patroklosowi. Ginie Patroklos, połowa jego duszy, brat nad braty. Musi więc pomścić druha — idzie do boju — zabija Hektora, znieważa jego ciało. — Same ciężkie, straszne, bolesne zdarzenia — umysł potrzebuje uspokojenia — więc igrzyska nad grobem, więc ostatnia pociecha dla biednego Pryama, wydanie zwłok syna i uczciwe ich pogrzebanie — — oto osnowa poematu. Jakie tu pieśni wojenne miał wiązać poeta, jakie wyśpiewać mieli sami bohatyrowie? Tu wszystko śpiewa sam poeta, tu właściwie nawet nie ma

pieśni, tu są tylko obrazy, opisy, opowiadania. Wierzę, że ludowe pieśni opiewały waleczność Hektora, Achillesa, Ajaxa, Homer jednak czerpał z nich tylko, lecz ich żywcem nie wcielał, bo u niego jest tylko to, co koniecznie do powyższego wątku potrzebne, bez czego nie byłoby poematu, tylko kronikarski zapisek, że gniew tak się zaczął a tak skończył. Chcąc przedstawić klęski Greków, które zsyła Zeus dla dogodzenia prośbie Tetydy, czyż nie musiał nam poeta rozsnuć szerokiego walki obrazu — czyż nie musiał na tym obrazie przedstawić głównych zapaśników? Nawet owa księga dziesiąta, owa Doloneia, którą krytycy niemieccy za całkiem zbyteczną i podsuniętą uważają, wydaje mi się koniecznym, a nawet ładnym ustępem całości. Te światła nocne, ten niepokój w stanowczej chwili — ten ruch w obozie i w namiotach — ta epizodyczna walka — czyż to nie piękne uzupełnienie? Czem w Iliadzie te pojedyńcze walki — te arysteje — tem są w Odyssei owe liczne przygody podróżne, owe bajki o dziwnych krajach i ludziach, owe opowiadania i pieśni przy ucztach. Jedne i drugie są ładnem i koniecznem zapełnieniem próżni między początkiem a końcem. Co do budowy zaś artystycznej nie sądzę, żeby Odysseja była wyższą; owszem w Iliadzie więcej potrzebował poeta sztuki i siły właśnie dlatego, że scena się nie zmienia, że zdarzenia powieści o wiele dłuższej,*) ciągle na jednej i tej samej odgrywają slę równinie trojańskiej, a jedynem urozmaiceniem jest przenoszenie nas do Olimpu na radę bogów, lub przeplatanie powiastkami z ich życia. Pomimo to poeta opowiadający zrazu spokojnie i powolnie, w drugiej połowie coraz żwawszym spieszy krokiem i coraz większe budzi zajęcie, tak że od ostatnich kilku ksiąg oderwać się nie można. Pomijam już to, że siła natchnienia, że polot poetycki w Iliadzie nierównie jest większy. Tyle o powyższem zdaniu, które zresztą sam p. Siemieński ułagodził kilkakrotnem oświadczeniem, że i Iliada nie mogła wyjść jak z jednej piersi.

Szanowny tłómacz przychyla się następnie do zdania t. z. Chorydzontów (χωρίζοντες — dzielący), jedynego zdania mającego oparcie i w starożytnym świecie, że Iliada i Odysseja są

---

*) Iliada ma 15,693, Odysseja 12,123 wierszy.

utworami dwóch różnych poetów, dwóch Homerów — i że Odysseja jest dziełem, co najmniej, o sto lat późniejszem. O to już mniejsza, nie uznano wszakże konieczności bezwarunkowego przyjęcia zdania Chorizontów. Różnica nie jest ani tak wielka ani tak rażąca, żeby nie można uważać Odyssei za dzieło późniejszych lat tego samego autora. Przynajmniej nie wszystkie argumenta tych, co przyjmują dwóch, przemawiają do przekonania i możnaby się bronić. Z wiernego odmalowania miejscowości nie wiem czy można wnosić na pewne, że Iliada w Małej Azyi, a Odysseja w zachodniej Grecyi powstała. Mógł, musiał nawet poeta znać Azyą tak dobrze jak Grecyą, ażeby zachować miejscowy koloryt. Obraz miejscowości, na której się akcya odbywa, byłby martwy, gdyby jej nie znał poeta. Mógł on podróżować „w krainie swych poematów“ — mógł w Małej Azyi urodzić się a później przenieść do Grecyi. Że lew w Iliadzie bardzo często, a w Odyssei tylko kilka razy służy za przedmiot do porównań, łatwo da się tem wytłómaczyć, że w Iliadzie, opiewającej walki i męstwo, stokroć więcej do tego sposobności. Podobnie o szarańczy nie mógł poeta wspominać w Odyssei, jeśli w Grecyi była nieznaną. Bóstwa także nie tak bardzo różnią się w epopejach. Wojowniczy Ares w Odyssei nie ma co robić, wojenna Pallas-Athene pełna spokoju i rozumu — bo nie ma wojny — a chcąc ulubieńcom swoim pomagać — pomóc im tylko może rozumną radą, chociaż, skoro nadarza się sposobność, pomaga i siłą, bo bez jej pomocy nie byłby Odysseus pokonał stu kilkunastu zalotników. Pozejdon sroży się ciągle i gwałtownie na Odyssa, a tem samem nie uznaje woli Zeusa, który go chce do ojczyzny miłej doprowadzić. Tytany pokonane już dawno — była już o nich powieść w Iliadzie, więc na co miała się w Odyssei powtarzać.

Nie powiedziałbym także, żeby w Iliadzie obyczaje były grube i dzikie. Owszem najpiękniejszych, najszlachetniejszych uczuć skarby znaleść w niej można — jak o tem świadczą przytoczone wyżej trzy ustępy. Zalotnicy także ulegają temperamentowi, może więcej i podlej od bohaterów Iliady, bo postanawiają zabić *skrycie* syna królowej, której niepożądanymi są gośćmi. Bohaterowie łają się w Iliadzie najgrubszemi słowy, to prawda — ale i ów pastuch nie bardzo grzecznie przemawia do Odyssa, a o wielkiem prostactwie i namiętności takiego

jak Antinoos młodzieńca świadczy rzucanie stołkiem i kością na biednego starca, który nie do niego przyszedł na łaskę. Żeby bohaterowie Iliady o prawach małżeńskich żadnego nie mieli wyobrażenia, tego już żadną miarą, nie chcąc ich skrzywdzić, przyznać nie można. Czy może być dziś nawet piękniejszy i czulszy stosunek małżonków, niż Hektora i Andromachy, a nawet Achilles wyraźnie powiada (Il. IX. 341—2): *że każdy dobry i rozumny człowiek kocha i szanuje swoję małżonkę*. Że branki w namiotach widzimy — to już tak bywało, i zarówno w Iliadzie jak w Odyssei uważano branki za najlepszą część zdobyczy wojennej. I dziś na życie obozowe nieraz przez szpary patrzećby potrzeba. Jest wprawdzie wzmianka w Odyssei, że Odysseus zdala się trzymał od Euryklei, bo się bał żony, ale właśnie podniesienie tej okoliczności świadczy, że tam rozmaicie bywało. Nie bardzo nareszcie lepsze owe wdawanie się zalotników z służebnemi pannami i konszachty owej Fenicyanki z przybyłymi żeglarzami. Stokroć szlachetniejszy jest Agamemnon, który odebrawszy Achillesowi Bryzeidę, przecież za swoję własność jej nie uważa.

Większa zawisłość ludu od królów tłómaczy się stanem wojennym i to na obcej ziemi, gdzie koniecznie większa karność potrzebna. Zresztą i Agamemnon zwołuje wojsko na naradę (n. p. wtedy, gdy wnosi, żeby wrócić do domu). W Iliadzie nie może być mowy o handlu, bo nie pora potemu, chociaż znajdą się luźne wzmianki. Woły zastępują monetę — ale i moneta jest znana i Achilles między innemi nagrodami zapaśniczemi kładzie i dwa talenty.

Śliczne są słowa, które tak się podobały Faesemu, wydawcy dzieł Homera (XXII. 412): „Nie godzi się unosić radością — nad zabitymi“ — ależ z drugiej strony nie bagatela tak za parę godzin sto kilkanaście dusz własnoręcznie wysłać do Hadesu. Że przedmioty porównań w Iliadzie ze świata zmysłowego, w Odyssei zaś z umysłowego są wzięte, zdaje się rzeczą dość naturalną, bo w Iliadzie zmysły ciągle były zatrudnione i mało było czasu na umysłowe refleksye.

Że wyraz „sztuka, rzemiosło (τέχνη)“ i kilka jeszcze innych w Odyssei kilkanaście razy, w Iliadzie tylko raz znajdujemy, nie dowodzi niczego, a że sztuczne przerabianie kruszców w Iliadzie doskonale jest znane, przekonywa tarcza Achillesa,

prawdziwe dziwo sztuki, przekonywają piękne i ozdobne zbroje kosztowne kielichy i kotły. Nie podbija mię również to co *Faesi* przytacza, że wyrazów „gospodyni domu“ (δέσποινα) lub „gospoda“ (λέσχη)*) nie ma w Iliadzie, bo skąd się tam miały wziąć — a już zgoła nudnem zdaje mi się podnoszenie tej okoliczności, że o bursztynie (ἤλεκτρον) nic nie wie Iliada. Wygląda to tak, jakby kto twierdził, że Konrad Wallenrod o kilkaset lat wcześniej musiał być napisany, niż Pan Tadeusz, bo ani razu nie ma tam wzmianki n. p. o biórku lub o kawiarce!

Że nareszcie w Odyssei więcej zabobonności i bajek, to wcale nie przemawia za znacznie późniejszem jej pochodzeniem, zdawałoby się bowiem, że z postępem czasu nie przybywa zabobonów i bajek. Jedyne sprzeczności są te: Syn Achillesa *Neoptolemos* jest w Iliadzie dzieckiem i nie występuje na scenę — w Odyssei zaś walczy pod Troją; żoną Hefajsta jest w Iliadzie „czysta i piękna“ Charis, w Odyssei zaś przeniewiercza i nieskromna Afrodite. Na to odpowiadamy. Jeśli ten drugi Homer tak umiał trafić w ton poprzednika, tak się wszędzie do niego stosował, wspominając o takich tylko zdarzeniach wojny trojańskiej, o których nie ma wzmianki w Iliadzie i t. p., to byłby niezawodnie i tej uniknął sprzeczności. Choćby więc Odysseja innego poety była dziełem, powyższe dwie wzmianki za późniejsze wtręty uważać potrzeba. Może który z późniejszych rapsodów, wygłaszając Odysseję przed potomkami Neoptolema wtrącił wzmiankę, że był pod Troją (czego w Iliadzie uczynić nie mógł, bo tam wyraźnie zaznaczono, że Neoptolema nie było); może znowu inny dla przypodobania się słuchaczom, między którymi mogło być wielu wojowników, wtrącił ustęp o romansie boga wojny z najpiękniejszą boginią?

Przyznaję, jest to mój domysł — ale i większa część tego, co napisano w tej materyi, jest także domysłem — i jeśli uwagi nasze nie dają dowodu, że Odysseja i Iliada jednego miały autora, to z drugiej strony uwalniają nas od konieczności przypuszczenia, że miala ich dwóch.

---

*) Takich wyrazów jest zresztą więcej, n. p. θόλος, λίστρον, ὄγκιον, κλίσιον i t. p. Gorszy się także *Faesi* Il. III. 441 i nast. — a zapomina o bardzo podobnym ustępie w Odyssei XXIII. 254 i 300.

IV.

Siemieński.

Jakkolwiekbądź, nie bardzośmy radzi, że i nas uniósł ten prąd polemiczny, żeśmy zapragnęli bogdaj pobieżnie bronić swego zdania; inny bowiem zupełnie cel naznaczyliśmy tej pracy. Chcieliśmy wskazać na pilną potrzebę dokładnego i u nas obznajomienia się z Homerem, chcieliśmy dotychczasową obojętność narodu uniewinnić brakiem dobrych tłómaczeń i zaznaczyć, że odtąd już nie będzie się czem zasłaniać, bo obdarzył nas p. Siemieński tłómaczeniem Odyssei, jakiego żaden inny nie posiada naród. Kto przeglądnie przekłady w innych językach — przekona się, że nie uprzedzenie, nie miłość własna podyktowała to śmiałe twierdzenie. Owszem to jedno tylko mamy uprzedzenie: że naród nasz w stosunku do zdolności, jakiemi go Bóg obdarzył, zrobił za mało — i zawsze jeszcze roboty niechętnie się ima. Zaprawdę w czasach naszych dziwnem zjawiskiem, w utrapieniach naszych dziwną pociechą jest książka, którą p. Siemieński po czterdziestokilkuletniej pracy w zawodzie autorskim niesie nam w darze. W pokoleniu naszem napróżno oglądaliśmy się za poetą, coby takiego dzieła dokonał; wyrosną da Bóg! i z pośród ludzi dzisiejszych poważni uczeni, sumienni pisarze, szlachetni obywatele — ale w poezyi bogdaj czy kto wawrzyny zdobędzie. Jedyna więc była nadzieja w owej starszej generacyi, z Mickiewiczem i jego kierunkiem żywą tradycyą związanej, w owych ludziach, których kołysał szczęk oręża, wychował zapał, nie złamał zawód. — Co do Homera, od lat kilkunastu wszystkich oczy zwracały się na pana Siemieńskiego; pojedyncze pieśni ogłaszane w rozmaitych czasopismach, przyjmowano z zachwyceniem, z upragnieniem wyglądano całości. Zawsze jednak trapiła nas myśl, że szanowny tłómacz dzieła nie dokończy, że znuży się trudnościami, że mu inne zajęcia przeszkodzą. Jeszcze w r. 1859 gderał Bartoszewicz, że p. Siemieński nie wytrzyma w pracy i że już nawet nie chce poświęcić się Odyssei. Obawa Bartoszewicza okazała się na szczęście płonną, świadczyła jednak, jak wielkie do tej pracy przywiązywał znaczenie. Od tego czasu pojawiały się

w „Bibliotece Ossolińskich,“ w „Przeglądzie Polskim,“ w „Kłosach“ coraz nowe pieśni — nadzieje coraz bliższe były urzeczywistnienia, radość nasza coraz większa. Nareszcie z końcem roku zeszłego pojawił się pierwszy zeszyt, a z końcem czerwca r. b. cała Odysseja w bardzo ładnem wydaniu była w naszych rękach. Wielkie to i zdumiewające w dzisiejszych czasach dzieło. Mimowoli przypominają się nam słowa Iliady o Ajaxie lub o Hektorze, że lekko podniósł ogromny kamień, jakiegoby i dwóch najsilniejszych z ludzi dzisiejszych nie dźwignęło, i cisnął nim z łatwością.“ (Il. XII. 381 i 449).

Jakie warunki złożyły się na doskonałość dzieła, które się tylu nie udało poprzednikom? Odpowiedź nie trudna. Naprzód i przedewszystkiem pan Siemieński nie jest ani wierszo- ani rymo-pisem, lecz jest w najlepszem tego słowa znaczeniu poetą, który swoją drogą bardzo ładnym włada wierszem. To pierwszy i nieodzowny warunek; poeta koniecznie i tylko poeta tłómaczyć powinien. Bardzo delikatnie i skromnie, nie chcąc siebie wynosić a kogo innego dotknąć, natrąca o tem sam p. Siemieński w przedmowie: „Jedni tłómaczą prozą, drudzy wierszem — a mnie się zdaje, że tu potrzeba przedewszystkiem poezyi, elementu nie dającego się niczem zastąpić.“ Poeta tylko dokładnie może wsłuchać się w dzieło wieszcza, które chce w swoim powtórzyć języku, zrozumieć każde uczucie jego serca, każdą myśl jego duszy, każdy polot fantazyi — zrozumieć, pokochać, przetrawić, nim się weźmie do tłómaczenia. Nie dość na tem, musi on zaprzeć się swojej indywidualności i twórcę oryginału więcej kochać niż siebie samego. W przeciwnym razie najzdolniejszy poeta nie stworzy dobrego przekładu. Mieliśmy doświadczenie na Słowackim, którego ustęp z Iliady nosi piętno tłómacza a nie Homera.

Następnie potrzeba koniecznie bardzo rozległych studyów i bardzo dokładnej znajomości oryginału, ażeby się z jego twórcą zupełnie zróść i spoufalić. Nigdy nie byłby p. Siemieński przełożył Horacego tak znakomicie, że nawet filologowie z zawodu w rozprawach swoich przytaczają jego tłómaczenie,*) gdyby nie znał był doskonale ducha całej poezyi, całej litera-

*) N. p. prof. Z. Węclewski w rozprawie o posągu Augusta w Tygodniku ilustrowanym z r. 1873.

tury rzymskiej. Tak też tłómacząc Homera, nie tylko jego dzieła miał p. Siemieński przed sobą; — widać wyraźnie, że poznał piękną starożytną jego ziemię za pomocą studyów archeologicznych, że badał nie tylko historyą ale i obyczaje, nie tylko język ale i *geniusz* języka — słowem że starał się zgłębić ducha Hellady, przyświecającego tak pięknie wszystkim wiekom i ludom. Ile tu potrzeba cierpliwej miłości, ile wytrwałej pracy, ile siły, żeby nie utracić poetyckiej świeżości — ile nareszcie talentu, żeby przed oczyma czytelników ukryć ten mozół i oszczędzić im patrzenia na przygotowawczy aparat — nie łatwo to ocenić! Owszem im dzieło doskonalsze, tem mniej się nad tem zastanawiamy, tak jak patrząc na piękny marmurowy posąg nie liczymy, ile on uderzeń młota kosztował, ile nauki i znajomości rysunku, ile cierpliwości. Pan Siemieński i w tej mierze stworzył arcydzieło: jego *Odysseja* czyta się tak łatwo, tak swobodnie jak najdoskonalszy utwor oryginalny, i tem różni się od bardzo wielu innych tłómaczeń naszych i zagranicznych. Docierać do textu ile się da najbliżej — a nie oddalać się od swobody oryginalnej kompozycyi — oto była, jak sam p. Siemieński powiada, myśl, która mu przewodniczyła, którą świetnie wykonał. Poprzednicy albo się zbyt oddalili od oryginału i stali się niewiernymi, albo zbyt się zbliżali i utraciwszy wszelką swobodę i samodzielność, zrobili swą pracę wymuszoną, nudną i niewolniczą.

Czego jeszcze wymagał przekład Homera — to niezmiernego bogactwa języka, szerokiej skali stylistycznej, wielkiego zasobu wyrazów. W skromnym i niepodniesionym głosie Homera jest jednak wielka siła, w prostych i niewyszukanych słowach wielka powaga i bogactwo. Do tego nie łatwo się nadaje język dzisiejszy — za lekki, jak słusznie uważa p. Siemieński — ażeby dźwigać cyklopejskie kamienie homerycznej powieści — musiał go więc tłómacz zasilić nietylko własnymi z dawnych czasów skarbami, ale i poradzić się czasem matki starosłowiańskiej, czasem pobratymczych języków — a gdzie i to nie wystarczyło, na własnem a szczęśliwem polegać natchnieniu. Widzieliśmy, jakich dziwactw pozwalali sobie dawniejsi tłómacze, chcąc oddać myśli i wyrazy oryginału. Pan Siemieński i pod tym względem bogatszym rozporządzał funduszem, niż bardzo wielu innych najzdolniejszych nawet poe-

tów, a fundusze te zbierał jeszcze za młodu. Bardzo prawdziwe są przytoczone już słowa Bartoszewicza, że w dziełach Homera jest koloryt pieśni gminnej na wielką skalę nuconej, pełen prostoty i wdzięku. Do wyśpiewania takiej pieśni w naszym języku przygotowywał się p. Siemieński oddawna i jeszcze z powodu nieporównanego tłómaczenia Rękopisu królodworskiego ślicznie powiedziano o nim, „że obmył język polski w żywem rodzinnem źródle Słowiańszczyzny, biorąc żywcem niektóre wyrazy i zwroty czeskie i ruskie.“ I istotnie przyznać potrzeba, że w tych starodawnych pieśniach czeskich jak i w Wyprawie Igora na Połowców, tłómaczonej przez p. Bielowskiego, wiele jest wdzięku, prostoty i siły Homerowej.

Stemwszystkiem i tu podwójne groziło niebezpieczeństwo: zbytnie zasilanie się staropolskim językiem mogło nadać tłómaczeniu cechę archaistyczną, dla dzisiejszych ludzi nie całkiem przystępną — zbytnie znowu czerpanie z słowiańskich źródeł mogło zagrozić duchowi polskiego języka. Pan Siemieński tak dalece uniknął tych niebezpieczeństw, że i domyślić się ich trudno; szczęśliwie tworzył lub pożyczał wyrazy dobre i jędrne, a nic dla nas nie mające obcego — słowem język wzbogacił. Odysseja p. Siemieńskiego jest nietylko arcydziełem tłómaczeń, jest ona także wielkim pomnikiem polskiego języka, jest żywem świadectwem jego bogactwa.

Oto kilka przykładów: Wyraz *żenich* n. p. znaczący tyle, co pan młody, oblubieniec, konkurent, dziś już mało komu jest znany, ale znany on jest wszystkim słowiańskim językom, a i u nas używał go *Seklucyan* (Testamentu nowego część I w Królewcu 1551. Joann. 11.) i *Budny* (Biblia 1572. Math. 25. 1.). *Kuban* wydać się może w Odyssei wyrazem może trochę zanadto dzisiejszym i że tak powiem parweniuszowskim — a jednak trudno mieć coś przeciw niemu. Znany on w Polsce w potocznem życiu oddawna, jakkolwiek u autorów znajdujemy go dopiero w XVIII wieku. (Zabłocki: Zabobonnik i Teatr Polski (Warszawa. Dufour) 43, c, 48 i 51, 33). Pomijam już, że w tłómaczeniu Odyssei bardzo dowcipnie użyty.

Wyrazu „*witeź*,“ często powtarzającego się (ἱππότα) nie wszyscy słyszeli, a jednak dobry to znajomy wszystkich słowiańskich języków w znaczeniu: junak, rycerz, młody krzepki bohater, w języku *windyjskim* tyle co jeździec (eques), a z na-

szych autorów zna go w szesnastym wieku Piotr *Zbylitowski* i bardzo często używa Jakób *Żebrowski* (Przeobrażenia Owidyuszowe 292, 197, 220, 354 i w innych wierszach).

Wyraz *czarnogrzywy* (zamiast czarnowłosy, czarnoloki κυανοχαίτης) zastanowił nas i wydał się za śmiałym — ale cóż robić, kiedy i tutaj p. *Siemieński* Piotrem Kochanowskim i Władysł. Stan. Jeżowskim zastawić się może. (W *Jeruzalem* wyzwolonej: „owi grzywowie, co czupryny w tyle noszą, przód podgoliwszy, jak grzywy.“ — *Jèżowskiego* Ekonomia wierszem. Kraków 1648. E. 1. ludzie niby grzywiaści, z włosami nad karkiem).

Wełna w znaczeniu *fala* niezwykłą zdaje się licencyą — a jednak i u nas i w Słowiańszczyźnie ma oparcie.

Przymiotnik *miedny* nie zna w jęz. polskim Linde, utworzony on jednak na wzór windyjskiego *medenen* (= aereus — χάλκειος — kruszcowy).

Przymiotnika *„tabunny“* (tabunna Troja) w Lindem wcale niema, w Słowniku Wileńskim w innem podany znaczeniu (= od tabuna, stepowy, n. p. tabunne konie), nie można wszakże stanowczo twierdzić, ze niewłaściwie utworzony. Jeśli od *czyn* pochodzi czynny, a od *piorun* piorunny (Zeus), można przypuścić i tabunną w znaczeniu „mającą tabuny“).

Słowo *liszyć* wprost z ruskiego zdaje się pożyczonem, co zresztą wcale nie jest grzechem, bo najlepsi nasi pisarze zasilali się ruskimi wyrazami — a wżdy ma ono starą tradycyą i w naszej literaturze. Używali go Klonowicz, Żebrowski, Otwinowski, Potocki; u Żebrowskiego czytamy raz (Owid. 54) nawet *„łyszy się.“* Podobnie *brechać* i t. p.

Wybornie także tłómaczy p. Siemieński wyrazy złożone i epiteta, a swoboda, jakiej sobie czasem pozwala, nigdy nie ubliża poecie i nie psuje jego myśli: Athene n. p. mająca stały przymiotnik „glaukopis“ (γλαυκῶπις), jest u p. Siemieńskiego raz jasno- lub sowio-oką, to znowu błękitno- lub modro-oką, a nawet Zeusa córą o oczach błękitnych — ale czyż to nie jedno i to samo, a tylko urozmaicone wyrażenie? W niektórych miejscach nadaje poeta osobom inny epitet, niż właśnie tam mają w oryginale, ale zawsze tylko taki, którego Homer o tych osobach używał — a tej swobody nawet Voss nie uważał za wzbronioną. W innych razach musiał tłómacz jeden

przymiotnik (n. p. διοτρεφής) dwoma wyrazić słowami, chociaż dziwnie pięknie to nieraz wypadło (n. p. *wino* dające wesołość i zdrowie), ale za to czasem dwa greckie w jednem zamyka; Menelaos nazwany n. p. *grzmigłosem.* Wyraz utworzony wybornie i zupełnie zgodnie z duchem naszego języka (n. p. wyrwidąb, waligóra, nosiwoda, liczykrupa) a myśl oryginału doskonale oddaje (βοὴν ἀγαθός). Znajdą się wyrazy mniej może malownicze i wierne n. p. ciężkonogi (zawsze o wołach εἰλίπους) — inne znowu tłómaczone dosłownie, a jednak i w polskim języku brzmią bardzo ładnie, n. p. Artemis złototronna i łuczniczka, Hermes wieścionośny, morze pustynne, serce nieużyte (ἀπηνής), równolatek (ὁμηλικίη), Pozeidon ziemiowstrzęsca, rzeszowódca i t. p.

Bardzo zmyślnie zostawił p. Siemieński greckie wyrazy: Keryx, chlajna (chlen) i chiton. Oddać tego w innym języku nie można, a każdy wie, że keryx to niezupełnie to samo co woźny, jak chcieli inni tłómacze — i że nie ma u nas odzieży nakształt chleny lub chitona — więc na co wymyślać, albo pisać takie nudziarstwa, jak „suknia wierzchnia“ lub coś podobnego.

Zdania jak n. p. Co ślina ci przyniesie — bajesz hardy baju XVIII. 392. — Szpakamiś ty karmiony, nie do kształtu głowa V. 182. — Ty zaś chłopcze z postawy *zuch i nieułomek* III. 199. Łepak to nie lada. Człek niebity w ciemię. — Wolałbym raczej od razu morską wodą zalać sobie duszę XII. 350. — Niech im powiem słówko — patrz, tam stoi! a w puch cię zrąbie pokojówko XVIII. 338. — zdania takie nie tłómaczone dosłownie a jednak bardzo dobrze i z przedziwnem zacięciem oddające myśl oryginału, uważać może będą niektórzy czytelnicy za zanadto nasze, zanadto polskie. Jest coś zatem, ale jeśliby mi wolno polegać na własnem zdaniu, uważałbym je właśnie za prawdziwie homerowskie zasoby naszego języka i za bardzo szczęśliwe ożywienie przekładu, świadczące o pełnem mocy panowaniu nad przedmiotem. Homer nie przestał być ani na chwilę Homerem, a zdaje ci się czasami, że czytasz Pana Tadeusza.

Co do rodzaju wiersza sam p. Siemieński z początku wahał się, chcąc przekład i pod tym względem uczynić doskonałym; ostatecznie wybrał trzynastozgłoskowy. Wybór

ten za najszczęśliwszy uważamy i za najlepszy. Jeśli nie można tłómaczyć hexametrem, bo jak widzieliśmy nikt go dotychczas w naszym języku nie stworzył, to najlepiej już oprzeć się na tradycyi całej naszej poetyckiej literatury. Począwszy od Jana Kochanowskiego aż do Adama Mickiewicza wszyscy poeci używali w poezyi epickiej wiersza trzynastozgłoskowego. Wierszem tym pisany Pan Tadeusz, pisana Marya, pisana Wojna chocimska. Niektórzy tylko n. p. Syrokomla próbowali także wiersza jedenastozgłoskowego, ale dla Homera wiersz ten niestósowny — zanadto słaby i lekki. Ma więc wiersz trzynastozgłoskowy w epopei polskiej uznane prawo obywatelstwa, tak jak hexameter w greckiej i rzymskiej. Mógłby się może kto martwić, że nie zawsze można w jednym wierszu polskim pomieścić to samo co w greckim, który ma zgłosek piętnaście lub szesnaście, że potrzeba będzie posuwać się do wiersza następnego, że liczba wierszy przez to niepomiernie urośnie. Pan Siemieński dowiódł, że i w tej mierze nie uległ trudnościom. Tłómaczenie jego zawiera w każdej księdze tylko o kilka a najwięcej o kilkanaście wierszy więcej niż oryginał, a bardzo często w polskim wierszu mieści się cały grecki. I tak n. p.

I	księga	ma	w oryginale	wierszy	444	u	p. Siemieńskiego	467
II	"	"	"	"	434	"	"	452
III	"	"	"	"	497	"	"	510
XI	"	"	"	"	639	"	"	654
XII	"	"	"	"	453	"	"	462

i w tym stosunku wszystkie inne.

Jeśli zważymy, że każdy wiersz polski przynajmniej o dwie zgłoski krótszy od greckiego, to nie trudno nam będzie obliczyć, że Homer w tłómaczeniu nic a nic na zwięzłości swojej nie stracił.

Tłómaczenie p. Siemieńskiego oddaje wszędzie wiernie myśl oryginału i świadczy o bardzo gruntownem tegoż rozumieniu, a niektóre myśli tak jasno wyraża i z taką prostotą, że nawet czytanie greckiego textu bardzo ułatwia. Kilka uwag, które nastręczyły nam komentarze, ośmielamy się podać w przypisku.*) Różnice są bardzo małe i pochodzą często bądź z in-

*) *Argidobójca* Hermes str. 53 ἀργειςφόντης zamiast *Argos bójca*, jak zresztą jest wszędzie, żadną miarą uzasadnić się

nej recenzyi textu, bądź też z rozmaitego pojmowania dotyczących ustępów. Dalecy jesteśmy od narzucania szanownemu tłó-

---

nie da. Jeżeli chodzi o względy prozodyczne, możnaby prawidłowo powiedzieć: *Argusobójca.*

Bożek mojem zdaniem wszędzie powinien być zamieniony na *bóg.* W zdrobniałym tym wyrazie jest pewien rodzaj lekceważenia, którego Grecy nie mieli dla swoich bogów.

Grek — Grecy. Wyraz ten, jako Homerowi zupełnie nieznany i obcy, i w tych kilku miejscach, w których jest użyty, prosilibyśmy koniecznie zamienić na Achajowie, Achaje — lub Argejowie, Argiwy.

Nestor z Gereny. Możeby lepiej: *z Gerenii* albo *Gereński.*

Ks. IV. w. 26. διοτρεφὲς może za śmiało tłóm, „O mój jasny Panie."

Podobnie *w. 74* Ὀλυμπίου „Olimpijskiej Mości."

Ks. IX. w. 234. ἵνα οἱ ποτιδόρπιον εἴη. Siem. str. 236. na kuchnię (?) paliwo.

Str. 238. „Jeśli mi chętka przyjdzie zjeść was, zrobię swoje." Wiersza tego w oryginale nie ma. Takie słowa byłyby ich naprzód przygotowały na późniejszą straszną niespodziankę.

W. 408. δόλῳ οὐδὲ βίηφιν — „zdradą (podstępem) *a nie* gwałtem." W tem οὐδέ jest umyślna dwuznaczność. Polifem rozumie *a nie,* Kiklopowie zaś *ani.*

W tłómaczeniu p. Siemieńskiego str. 242 „to nie gwałt, *lecz* zdrada" może nie dość przebija się ta dwuznaczność.

W. 426. ἰοδνεφὲς εἶρος *ciemnofioletowa*, albo w ogólności *ciemna* wełna. Siem. str. 243. *kasztanowate.*

W. 528. γαιήοχε Siem. str. 247. *ziemioburco.* Pozeidon nazywa się tylko *opasującym ziemię* albo *ziemiotrzęścą* (ἐννοσίγαιος), nigdy ziemioburcą. Możeby już lepiej, chociaż także nie całkiem dobrze: *ziemiodzierżco* (dzierżyć w znaczeniu trzymać).

Ks. X. w. 10. περιστεναχίζεται αὐλῇ „Odgłos z całego domu rozlega się w podwórzu." Tak H. Rumpf i Ameis. P. Siem. tłómaczy podług więcej uznanej konjektury Schäfersa, którą Nitzsch polecił, a Bekker i Faesi przyjęli (αὔλῃ = αὐλήσει) „fletni odgłos brzmiał w przysionkach." I jedno i drugie nie psuje myśli.

W. 209. κατὰ δ' ἄμμε λίπον γοόωντας ὄπισθεν „zostawili nas (w tyle) rozpłakanych." Siem. str. 259: „żałując nas, cośmy zostali."

W. 228. φθεγγώμεθα θᾶσσον, Siem. str. 260 nie dość szczęśliwie „wołajmy, niech gada."

maczowi tych kilku drobnostkowych uwag, mamy bowiem przed oczyma przykład krytyków i recenzentów warszawskich, którzy

---

W. 398. ἱμερόεις γόος tęskny (rzewny) płacz, płacz z rozrzewnienia. Łazarewicz: płacz z tęsknoty. Siem. str. 266. „płacz z radości.“ Słów „po tak ciężkiej męce“ w oryginale nie ma. Tłómaczenie to jednak nie psuje myśli.

W. 399. θεὰ δ'ἐλέαιρε καὶ αὐτή „nawet Kirkę zdjęła litość.“ Siem. str. 266. „Kirka płacze z nimi.“

W. 404. ἐν σπήεσσι πελάσσετε. Siem. str. 266. „niech w dołach *zakopią.“* Ma być: „niech w grotach złożą“ — ale to drobnostka.

Ks. XI. w. 50. αιματος ἆσσον ἴμεν. Siem. str. 277. „krwi tej lizać.“ Wolimy dosłownie: „do krwi się zbliżać“ albo nareszcie: „krwi tej pić.“

w. 171. τανηλεγέος. Dosłownie nikomu nie udało się ładnie przetłómaczyć tego pięknego przymiotnika śmierci. Siem. zupełnie wolno ale ładnie „nieprzespana“ (str. 282).

W. 325. Διονύσου μαρτυρίησι. Siem. str. 288 zmieniając myśl: „ubiła, jak świadczy Dionyzos o tem“. Powinno być: „na poświadczenie Dionyzosa“ (że od ojca swego z Krety uprowadzoną została; bóg ten chciał dziewicę dla siebie pozyskać). Ameis Odyssee i Nägelsbach hom. Theol. II. 26.

Str. 289. Wojsk argejskich cierpienia i twe osobiste
Otoż wyznaj mi szczerze, niech wiem prawdę czystę.

Tu i w kilku innych miejscach przymiotniki rodzaju żeńskiego zakończone w 4 przypadku liczby pojedyńczej na *ę*. Można łatwo zmienić położywszy zamiast *cierpienia* — „niedolę“ (i twą osobistą — prawdę czystą). Prosimy o to głównie ze względu na szkołę, gdzie czasem objaśniając n. p. poezye Pola lub Syrokomli wielki się ma kłopot z takiemi nieprawidłowościami.

W. 339. ἕκαστος δ'ἔμμορε τιμῆς znaczy: Każdemu przypada w udziele zaszczyt (którego mój dom doznał przez przybycie tak znakomitego gościa). Ameis. — Siem. str. 288. zmieniając myśl: „wolno uczcić go każdemu.“ Łatwo poprawić.

W 424. βάλλον opuściłem (ręce z bezsilności), ἀποθνήσκων περὶ φασγάνῳ umierając na mieczu (który Aigistos tak głęboko zapchał, że musiał go w piersi zostawić). To tłómaczenie (Ameisa) zdaje się najlepszem. Inaczej Faesi — zupełnie też inaczej p. Siem. str. 291: (jam) za miecz schwycił — ona wydarła i sobie — precz poszła. Słów „ona wydarła“ w oryginale nie ma. Za mniej szczęśliwe uważamy słowa: „sobie precz poszła.“

chcieli poprawiać Mickiewicza. Pan Siemieński sam uzna najlepiej, czy potrzeba poprawić lub zmienić jakie słowo w następnem wydaniu.

Na to drugie wydanie nie długo czekać będziemy, i nie tylko na drugie. Będzie ich bardzo wiele od najwspanialszych aż do najtańszych — jesteśmy o to spokojni, bośmy się przekonali, że naród pomimo narzekania literatów prawdziwie wielkie dzieła zawsze uznaje i ocenia. Z naszej strony tylko o jedno prosimy szanownego tłómacza, o najrychlejsze wydanie dla młodzieży z opuszczeniem kilku małych ustępów.

Odysseja p. Siemieńskiego będzie niezawodnie książką szkolną, będzie zwłaszcza prawdziwem dobrodziejstwem dla szkół, w których Homera po grecku czytać nie można.

Ks. XII. w. 26. κακορραφίῃ — ἀλγήσετε. Siem. str. 304 „*przez szaleństwo* nie popadli w błądy.“ Ma być: „przez złośliwą zdradę nie cierpieli.“

Ks. XIII. w. 198. Siem. str. 311: „po bokach *macnął się.*“ Możeby lepiej zmienić na „uderzył się.“ (Wyrazu *macnąć* nie zna Linde ani Słown. Wil.).

Str. 335. „Kiedym z Argami.“ Może lepiej: „Gdym z Argiwami.“

W. 435. μεμορυχμένα καπνῷ. Siem. str. 340 „w dymie wędzone“ wolelibyśmy koniecznie zmienić na „dymem zbrudzone.“

Ks. XIV. w 37. ὀλίγου — o mało. Siem. „co tylko.“

W. 214. „Ale sądzę że patrząc na ścierń poznasz (jaki był kłos) t. j. choć jestem nędzny, poznajesz, że nie zawsze takim byłem. Siem. str. 351. może nie dość dokładnie: „Dziś jestem, jakbyś patrzał na gołe ściernisko.“

Ks. XV. str. 374. Czy nie dałoby się jak zrobić, żeby zamiast *Eosa* było wszędzie *Eos?*

W. 271. θεοειδής. Siem. dowolnie „pięknego lica.“

W. 326. Gościu, skąd ci takie myśli w głowie? — Siem. str. 377. może zanadto poufale: „jakaż znowu ugryzła cię mucha?

W. 388. τοῦ δ᾽ἀνδρός sprzedali temu (mężowi), a on. Siem. str. 378. sprzedali komuś, który.

W. 460. Niedokładnie „naszyjnik złoty, bursztynowy. Podobnie potrzebaby dodać spójnik w ks. XVII. 37. str. 413 „podobna Artemidzie, złotej Afrodycie.“

Ks. XVIII. w. 217. Wiersza: „I każdy w tobie widzi całą gębą pana“ w oryginale nie ma.

Pan Siemieński wzniósł Homerowi wspaniały i niespożyty na polskiej ziemi pomnik — a powiedzmy, wzniósł go i sobie. Jak długo język nasz żyć, naród istnieć, myśleć i kształcić się nie przestanie, Odysseja będzie w każdym polskim domu bardzo blisko, może tuż koło „Pana Tadeusza.“ Wszystkie drzwi otworzą się dla niej i wszystkie serca i wszyscy już bez trudu czerpać będą z tego czystego i jasnego źródła prawdy, piękności, poezyi.

Czy wolno jeszcze wypowiedzieć ciche a serdeczne życzenie, żeby tłómacz Odyssei obdarzył nas i *Iliadą*, czy nie będzie to objawem onej nienasyconej chciwości, która im więcej dającem więcej pożąda? Wolimy na razie w podziękę zawołać z Odyssem

σοὶ δὲ θεοὶ τόσα δοῖεν, ὅσα φρεσὶ σῇσι μενοινᾷς.

Niech Ci Bóg da, czego sobie w sercu swem życzysz!

a do szanownych czytelników z Plautem: Powstańcie i dajcie poklask! — Plaudite atque exsurgite!

Listy z za Atlantyku.

Rio-Janeiro.

Kochany M......

Żądasz odemnie abym okrom wiadomości o sobie, dawał ci także szczegóły o krajach, jakie w dalekich moich wędrówkach poznać mi przychodzi. Sam oddany wyłącznie naukowym poszukiwaniom i książkowemu życiu, chcesz odemnie pożyczyć skrzydeł, i od czasu do czasu wślad za mną dalekie krańce świata zwiedzać. Stosując się tedy do życzeń twoich, przesyłam ci te krótkie notatki, które może na chwilę oderwać cię potrafią, tak od nużących badań filologicznych, jak od pilnego śledzenia rozwoju polityki Bismarka, i zgryzot jakie ci to sprawia. Straszna doprawdy przestrzeń jaka nas dzieli, wytłómaczy ci nieraz opóźnienie w odbieraniu listów moich, ale chociaż przesyłane ci spostrzeżenia i wrażenia czasami wydadzą ci się przedawnione, nie mniej będą one miały wartość ścisłej prawdy, nie ubranej nawet w ową literacko fantastyczną barwę, którą zwykle podróżni upiększają swe zapiski.

Amerykę południową można na dwie części pod względem narodowości czyli raczej języka, podzielić: na portugalską i hiszpańską. Portugalska część obejmuje jedną tylko Brazylią, hiszpańska wszystkie inne kraje. Pod względem zaś geograficznym, a nawet po części klimatycznym, dzieli ją pasmo Kordyllierów na dwie nierówne połowy. Od Kordyllierów na wschód, aż do Oceanu Atlantyckiego rozciągają się szerokie

równiny poprzecinane ogromnemi rzekami jak n. p. La Plata, Amazonka właściwie Maranion i inne. Na zachód zaś od Kordyllierów między górami a Oceanem Spokojnym, ciągnie się wzdłuż pasma Andów długa i wązka wstęga ziemi, pokryta górami, bez żadnych znaczniejszych rzek, z wyjątkiem kilku pomniejszych strumieni ku samemu południowi, i jednej wielkiej na północ, w Ekwatorze, Rio de Guayaquil.

Brazylia odłączyła się od Portugalii bez żadnej gwałtownej rewolucyi, bo sam Don Pedro I, widząc że przemocą jej nie utrzyma, a chcąc przynajmniej jeśli nie dla swego kraju, to dla rodu Braganza ją zachować, ogłosił ją wolnem, niezależnem cesarstwem, a siebie cesarzem nowopowstałego niepodległego państwa. Jedyny to też kraj Amerykański, gdzie forma monarchiczna do dziś dnia się przechowała. Hiszpańskie zaś kolonie, które korzystając z wojen Napoleońskich i niemocy w jaką przez to Hiszpania popadła, bunt przeciw Metropolii podniosły, i po długich dopiero walkach, z nielicznem wprawdzie, ale wyćwiczonem i dzielnem wojskiem, niezależnemi się stały, skutkiem nienawiści przeciw formie rządu pod którym tak długo zostawały, a w braku jakiegobądź rodu któryby mógł sobie do tronu rościć pretensye, czy to tradycyjne, czy też oparte na niezwykłej wziętości i zasłudze, w skutek także tendencyi i ducha czasu, bez wyjątku formę republikancką przyjęły.

Po takim wstępie, który trochę zanadto na jakąś uczoną rozprawę zakrawa; opiszę Ci najprzód etapy mojej podróży, zanim przyjdę do opisu zachodniej strony Ameryki t. j. Peru, a szczególnie Chili. Po dwutygodniowej żegludze z Lizbony, dopłynęliśmy nareszcie do Rio de Janeiro, pięknej Brazylijskiej stolicy. Z daleka już ukazują się wysokie góry dziwnych i ostrych kształtów, w jedno pasmo zlane. Za zbliżeniem się dopiero w paśmie tem, okazuje się przerwa, to wjazd do zatoki w której leży Rio. Po prawej stronie piętrzą się góry *Organami* zwane, mają bowiem pewne do rur organowych podobieństwo, o ile takowe zawsze w górach upatrywać się daje, po lewej, wyrasta spadzisto z morza szczyt zwany trafnie pan de *Azucar*, w istocie bardzo do olbrzymiej głowy cukru podobny; to jest, sam wjazd do portu, nie znam po polsku na to wyrazu, po francuzku bardzo trafny *le goulot*,

czyli szyjka od butelki. Zaraz za nim w prawo i w lewo rozszerzają się brzegi, i przecudowny widok oczy zachwyca. Zatoka tak wielka jak ogromne jezioro, a raczej małe morze, bo końca trudno dopatrzeć. Naokoło w amfiteatr podnoszą się góry bujną, tropikalną obrosłe wegetacyą, na zatoce samej porozsiewane wyspy, niektóre uwieńczone fortami, inne pokryte palmami, kaktusami najrozmaitszego rodzaju i kształtu. Na lewo nad wodą rozciąga się miasto dziwnie białe, gdzieniegdzie urozmaicone kolorowemi gmachami, przerywane wieżami licznych kościołów, a otoczone jak tylko oko dojrzeć zdoła, domkami bielejącemi się zdala wśród najpiękniejszej zieleni. Wszystko to na tle gór, których pierwsze podnóża samego sięgają miasta, rzekłbyś bukiet z białych kamelii w oprawie z zielonych liści. W porcie krzyżują się niezliczone statki żaglowe, parowe, wojenne; gdzieniegdzie sterczy monitor jak pływająca wieża, powiewają flagi wszystkich narodów świata, przesuwają się rozliczne czółna, jak portowe dorożki, od lądu do okrętów i od okrętów do lądu, a wszystko to oblane złotem, jaskrawem światłem zwrotnikowego złońca, łączącego pojedyńcze te przedmioty w wielką, harmonijną, a pełną życia i wdzięku całość. Zaraz obok miejsca gdzie się ląduje, pierwsza rzecz co uderza oczy, jest to targ na jarzyny i owoce. Przekupki wszystkie murzynki, tłum uwijający się pomiędzy ogromnemi stosami banan, mangów, kawonów i najrozmaitszego rodzaju krajowych płodów, także prawie wyłącznie czarny, krzyk, rejwach, targowanie się przedających i kupujących, z gwałtownością i gestami epileptycznemi właściwemi tej rasie, wszystko to zaraz na wstępie przenosi przybysza w jakiś świat zupełnie odmienny, od tego, który nie tak dawno porzucił. Idziesz dalej, a tu ulica pełna składów Europejskich, z oknami jak na bulwarach paryzkich, pełno modystek, perukarzy, jubilerów, wystrojonych pań, to znów przecież Europa ze swojem zbytkiem i z swojemi wygodami. Dziwne to jakieś pomięszanie, dziwny amalgamat dwóch różnych całkiem światów, różnych ras, i to na ziemi obydwom im obcej, bo część biała z Europy, część czarna z Afryki pochodzi. Biała przyniosła na te wybrzeża nowego świata intelligencyę, rzutność, cywilizacyę, a nareszcie krzyż chrześciański starego, ale pod rozpalonem niebem, w klimacie tak odmiennym a tak denerwującym, brakło

jej fizycznej siły, by módz wszystkie te skarby praktycznie zastosować, sprowadziła więc z Afryki ród silny, wytrwały, przywykły do upałów i do i do rozżażonego słońca, i ten jako narzędzie użyła. Wyrosła z tego społeczność nowa, jeżeli stosunki niewolnika do pana społecznością nazwać można, w której Europejczyk rozkazywał, rządził, rozmyślał, ale też wszystkie korzyści z obopólnej pracy odnosił, Afrykańczyk zaś nieodpowiedzialnie, machinalnie pracował. Praca na niewoli oparta, w całej prawie Ameryce rozpowszechniona, pod wpływem nowych wyobrażeń, pod wpływem zwłaszcza kolonii uwalniających się z pod rządów metropolii, powoli wszędzie ustawała; kolonie te do walki o niepodległość wszystkich sił potrzebujące, negrów także używały, a tem samem do spraw ogólnych, do obrony państwa ich przypuszczając, z stanu prawie zwierzęcego do obywatelskiego nieomal ich podniosłszy, później już ich całkiem odrzucić nie mogły, i choć nie wszędzie od razu emancypacya nastąpiła, to przynajmniej ziarno jej było rzucone, i wszędzie trochę prędzej czy trochę później przyszło ją uznać i ogłosić. W Brazylii która nie w gwałtowny lecz w pokojowy sposób niezależność swoją otrzymała, gdzie więc do owego środka rewolucyjnego, do pomocy niewolników, nie było potrzeby się uciekać, niewola po dziś dzień się utrzymała, zdaje się jednak, że pomimo pewnych materyalnych korzyści, stała się ona całkiem przeciwną duchowi czasu, bo przed trzema laty Izby Brazylijskie będące w tym względzie bardzo zgodne z przeważną większością opinii publicznej, zniosły niewolę w zasadzie. Żeby jednak nie zrujnować zupełnie wszystkich posiadaczy ziemskich, którzy wyłącznie niewolników do uprawy roli używają, i dla których ci ogromny kapitał stanowią, bo ziemia o tyle właściwie jest wartą, o ile właściciel rozporządza potrzebnemi do kultury siłami, wartość zaś silnego niewolnika od 1000 do 1500 dolarów wynosi, ustanowiły, że wszystkie dzieci po ogłoszeniu prawa urodzone, wolnemi na świat przychodzą, ci zaś wszyscy, którzy do tej chwili niewolnikami byli, niemi aż do śmierci zostaną, chyba że się wykupią, lub też że ich pan wyemancypuje. Jednak mimo ogólnego, szczególnie po miastach prądu za zniesieniem niewoli, nie trzeba sobie wyobrażać aby murzyna, nawet wolnego, za równego sobie tutaj uważano. Stare szczególniej rody, oddawna

w kraju zamieszkałe, uważają za wielki zaszczyt, że ani kropli krwi czarnej w ich żyłach nie płynie, a nie należy tego za czczy tylko przesąd uważać. Nie mówiąc już wcale o fizycznej stronie negrów, o wyrazie ich twarzy, który ich prawie tak różnemi od białej Kaukaskiej rasy czyni, jak ich samych od wielkich gatunków małp n. p Chim panzów wyróżnia, w rzeczy samej, i z moralnego nazwiska daleko im do białych, bądźże przez długą niewolę do takiego zezwierzęcenia doszli, bądź też że w samej rzeczy są oni niższym gatunkiem ludzi. Możnaby prawie to ostatnie przypuścić zdanie, gdy nawet w krajach gdzie od dość dawna niewolę zniesiono, odznaczają się murzyni lenistwem, zwierzęcością, i z bardzo małemi wyjątkami nader tępym rozumem, nie mówiąc już wcale o złodziejstwie złej wierze i zaciętości przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, które to ostatnie wady przypisać chyba można chęci zemsty i odwetu za długą, ciężką przeszłość.

Bądź co bądź murzyni w Brazylii całkiem od białych odrębnie żyją, mają swoje restauracye gdzie prawie oni tylko uczęszczają, swoje właściwe miejsca, zabawy i rozrywki. Mulaci zaś, t. j. krew mięszana, zaczynają się wyswobadzać z pod uprzedzeń które i na nich ciężyły, a to za pomocą liberalnych praw państwowych, do tego stopnia, że nawet kilku deputowanych mulatów w izbie zasiada, a jeźli się nie mylę, przed paru laty jeden z ministrów był mulatem, w dziennikarstwie zaś dość licznie są przedstawieni. Lecz prawdopodobnie w skutek owej nienawiści do starego świata, którą po czarnych swych matkach lub babkach odziedziczyli, (bo Mulaci prawie zawsze z czarnej matki a białego ojca się rodzą), do najskrajniejszych należą partyi, i dziennik „*La Republica*“ jedyny który w monarchicznym kraju, korzystając z nieograniczonej wolności prasy, śmiał wziąść podobny tytuł i w otwarty sposób popierać zasady tak całkowicie przeciwne systematowi na którym stoi cesarstwo Brazylijskie, prawie wyłącznie przez Mulatów jest redagowany.

Co z tego przypuszczenia do równouprawnienia czarnych, wyniknie w przyszłości trudno przewidzieć, czego jednak lękać się wypada, to rozruchów, które prawdopodobnie nastąpią, kiedy obok wolnych Negrów, znajdzie się jeszcze dosyć duża ich liczba w stanie niewolniczym, o parę tylko lat starsza

i w niczem się od pierwszych nie różniąca, bo co się tyczy wykształcenia, to takowe chyba dopiero z czasem nastąpić może. I dziś już zaczynają przewidywać i nawet lękać się tego, a pomiędzy murzynami niezadowolnienie i chęć jakiegoś odwetu, chociaż może jeszcze niejasna, coraz się bardziej wzmaga i dojrzewa. Pewnem zaś jest, że stronnictwo dotąd nie zbyt liczne, któreby życzyło sobie zmiany cesarstwa na republikę, w nowych tych obywatelach silną i znaczną znajdzie podporę. Partya bowiem republikancka i w Brazylii istnieje, chociaż nie ma może kraju, gdzieby ona miała mniej przyczyny bytu. Rząd jest konstytucyjny w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wszystkie wolności jakie tylko z bytem uorganizowanego państwa pogodzić się dadzą, znaleść tu można, cesarz tyle tylko ma osobistej władzy, ile n. p. królowa angielska. Brazylia zaś otoczona republikami, które ciągle podlegają nie kończącym się nigdy wojnom domowym, od pół wieku cieszy się wewnętrznym spokojem, rozwija się w sposób nieprzerwany i ciągły, dobrobyt się wzmaga, ruch handlowy i importacyjny rok rocznie większe przybiera rozmiary. Słowem znajdujemy tu wszystkie swobody rzeczypospolitej, zespolone z owemi gwarancyami stałości i pokoju wewnętrznego, które w dzisiejszym kupiecko-liberalnym świecie za ideał uważają. Do tego dodać należy, że sam cesarz Don Pedro II, nadzwyczaj jest popularnym, prosty i skromny w obyczajach i w sposobie życia, oddany całkiem naukom, dążący o ile możności do tego, ażeby w rządzie jego ręki czuć nie było, przytem nader przystępny dla tych, którzy do jego łaski uciekać się pragną. I ta jego popularność do tego stopnia była w Rio posuniętą, że między innemi politycznemi burdami kursującemi wśród ludu i następna rozejść się mogła; żeby ogłosić republikę, a cesarza Don Pedro II prezydentem jej dożywotnim. Pokazuje to wyraźnie, jak w ludzie tym, obok chorobliwie fermentującej myśli zmienienia formy rządu, przywiązanie do osoby cesarskiej również silnie występuje.

Jedno z ustępstw, które w Brazylii duchowi republikańskiemu uczyniono, jest to urządzenie tytułów nobiliarnych, o ile wiem jedyne na świecie. We wszystkich innych krajach tytuły są to zabytki z feodalnych czasów, gdzie władza rozdrobniona w odrębne, a jednak od siebie zawisłe ogniwa, od

króla jednym łańcuchem aż do ostatniego ciągnęła się barona, a prawem dziedzicznem z ojca przechodziła na syna. Później, przy coraz większem koncentrowaniu władzy w ręku królewskim, prerogatywy upadały, ale tytuł i nadal spadkowym pozostał. I to stało się normą nawet przy tytułach później nadawanych, gdy się dawne feodalne stosunki całkiem zmieniły. W Brazylii zaś cesarz przyłącza tytuł nie dopatronomicznego nazwiska, jak się gdzie indziej przy nadawaniu nowych nobilitacyi dzieje, ale do której z ziemskich własności otrzymującego ten dowód łaski monarszej, n. p. do wilii, domu lub wioski. Podobny tytuł na dzieci nie przechodzi, ale z śmiercią tytułowanego gaśnie. Nie jest to więc niczem więcej jak rodzajem dokoracyi, lub też jak owemi „charakterami“ *Geheimerathów, kommerzienrathów* któremi tak licznie w Niemczech szafują. Przez to brakuje cesarstwu tej klaSy ludzi, która gdzieindziej najwierniejszą bywa tronu podporą, bo wdzięcznością, interesem własnym, tradycyą z nim związana, *Malgré et contretous* go wspierają. I może dla tego właśnie, żeby monarcha, niemając na kogo pewno rachować, niemógł się o większą kusić władzę, jak sciśle konstytucyą ograniczoną, t. j. prawie żadną, i w ciągłej był od kraju zależności, tego rodzaju instytucya wprowadzoną została. Niepamiętano zapewne, iż w jedyném konstytucyjnem państwie, które oddawna jako takie istnieje, t. j., w Anglii właśnie przez arystokracyę najstaranniej konstytucya bronioną i gwarantowaną zawsze była, a w demokratycznych państwach tylko rodzaj interregnum stanowiła, między rządem absolutnym a absolutną anarchią.

Wolność prasy, jak już o tém nadmieniłem, jest prawie nieograniczoną, wychodzi też mnóstwo dzienników w Brazylii, a największa ich liczba naturalnie w stolicy. Wszystkie te pisma rozprawiają jak najszerzej o sprawach krajowych, każdy ze swego stanowiska, ale wszystkie z równą wolnością a raczej swawolą mowy; a do tego przykłada się jeszcze i ta okoliczność, że oprócz wszystkich innych kwestya religijna, walka państwa z kościołem i tu zawrzała. Jedyną religią przez krajowców wyznawaną jest katolicka, ale francmasonerya dużo liczy w kraju zwolenników, biskupi katoliccy z wielką energią przeciw nim występują, ztąd wynikają ciągłe zawikłania i za-

targi, prasa obu stronnictw z wielką zapalczywością broni każdy swego, i dyskussya dochodzi często do gwałtownego dyapazonu, w czem szczególnie dzienniki liberalne rzadką zajadłością i dziwnem zapomnieniem form się odznaczają, co się z resztą nie w jednej tylko Brazylii widzieć zdarza. Rząd znajduje się jak między młotem a kowadłem, ale że w Izbie, a zatém i w ministeryach dużo jest liberałów, że oprócz tego z wszystkich stron świata i od wszystkich rządów wieje wiatr przeciwny kościołowi, więc i tu ulega on ogólnemu prądowi i do ostatecznych udaje się środków.

Oprócz dzienników politycznych większych rozmiarów i poważnie rzecz traktujących, co w Francyi la grande Presse nazywają, jest tu i polityczna petite presse, i to z rysunkami, coś na kształt Berlińskiego Kladderadatscha, która z największą sans façon najważniejsze kwestye obrabia i rysunkami objaśnia. W rysunkach tych wszystkie chwilowe znakomitości krajowe przedstawione są bez najmniejszego względu w sytuacyach często, śmiesznych albo też dotkliwych i obraźliwych nawet, gdy o przeciwnika chodzi. Ministrowie, deputowani, biskupi itd., przesuwają się przed oczyma publiczności, w sposób, który pewno wziętości ich nie zwiększa, ale może też i nie o tyle zmniejsza jak na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, bo to wszystko kwestyą przyzwyczajenia. Tego jednak rodzaju pisma szeroko tu są rozpowszechnione.

Wojska w Rio samem dość dużo widzieć można. Żołnierze w niebieskich mundurach, dosyć krojem do pruskich zbliżonych, porządnie i czysto wyglądają. Większość wprawdzie jest biała, lecz i znaczną liczbę negrów pomiędzy nimi się spotyka. Ci, rośli i silni, musztrą i ćwiczeniami do pewnego wojskowego chodu przyuczeni, mimo czarnej cery dosyć dobrze wyglądają, prawda że lepiej z tyłu jak z przodu. Oficerów w mundurach szczególnie po kawiarniach mnóstwo dostrzedz można. *) I nasuwa się ztąd na myśl sama z siebie uwaga,

---

*) Liczba oficerów stosunkowo do wojska w południowej Ameryce, zwłaszcza w drobnych republikach bywa ogromna, n. p. w Rzpltej Veneruela na armię 50000 ludzi wypada 4000 generałów.

jak dziwna prawie w całym świecie zachodzi sympatya pomiędzy oficerami a kawiarniami. Lecz mniejsza oto. Oficerowie ci powiększej części bardzo młodzi, tak, że niektórzy całkiem na kadetów wyglądają, nie mają w całym układzie tej cechy militarnej która we wszystkich armiach Europejskich, chociażby po cywilnemu ubranego oficera odznacza. Jedni brodaci, drudzy z wąsami, inni całkiem wygoleni, w rozpiętych mundurach, z wystającym kołnierzem od koszuli, bez szabli przy boku, prędzejbyś ich wziął za urzędników cywilnych, za celników n. p. aniżeli za to czem są wistocie. Wojskowość w bardzo małem szczególnie dawniej była poważaniu, i prawie nigdy porządny człowiek tej karyery się nie chwytał. Od czasu dopiero ostatniej wojny Paraguayskiej która dłuższy czas trwała, zyskała ona na poważaniu, i przez to samo pewna liczba młodzieży do wojska wstąpiła. Większą jednak aniżeli lądowe wojsko ma wziętość marynarka, i korpus oficerski morski z porządniejszych i bardziej wykształconych składa się ludzi, co z resztą w wielu krajach się zdarza. Brazylia państwo morskie, ogromnej długości wybrzeża, wszystkie większe miasta nad morzem leżą, zaludniona zona wzdłuż niego się rozciąga, a więc siła morska jest konieczną. Oprócz tego jedyny punkt drażliwy w polityce Brazylijskiej jest właśnie kwestya Paraguaju. Brazylia interweniowała także wspólnie z konfederacyą Argentyńską i Uruguayem, wspólnie co do formy, bo efektywnie prawie całe wojsko było Brazylijskie. Po długiej walce które się śmiercią dyktatora skończyła, pozostał Paraguay pod strażą interwencujących państw, lecz pod własnym krajowym rządem. Tymczasem jest to jabłko niezgody między południowemi Brazylijskiemi, a północnemi Argentyńskiemi prowincyami leżące, każdy by je rad wziąść dla siebie, żaden się z drugim nie podzielić, a przytem otwarcie nikt pierwszy wystąpić nie chce, żeby nie ściągnąć na siebie odium anektującej polityki. Sytuacya nader drażliwa, i ciągłe też zerwanie stosunków między sprzymierzonemi niegdyś cesarstwem i republiką na jednej wisi nitce. Trzeba jednak przyznać, że zaczepne zachcianki z Buenos Ayres wychodzą, i tylko w obec spokojnej ale stanowczej postawy Brazylijskiego rządu, dotąd groźnego nie miały skutku. Że zaś Buenos Ayres nad La Plata, czyli nad morzem leży, i kommunikacye lądem nadzwyczaj są

uciążliwe, więc w razie gdyby wojna rzeczywiście wybuchła, flota wielką by w niej odgrywała rolę, Składa się ona, oprócz kilkudziesięciu statków dawnego systemu, tak żaglowych jak i parowych, i piętnastu okrętów pancernych rozmaitej konstrukcyi. Jest to zatem w Ameryce południowej najznaczniejsza siła morska.

Rio Janeiro, ze wszystkich miast południowej Ameryki największe, dużo cudzoziemców w sobie mieści, i wielu ich też co roku przyciąga. Przyczynia się do tego ta okoliczność, że o wiele bliżej od innych miast znaczniejszych, szczególnie od zachodniego Europy leży wybrzeża. A nadto może i to, że u nas brazyliańczyk jest typem owego bogatego południowo-amerykanina, uwydatnionym w znanej Offenbachowskiej „*Vie Parisienne.*“ Szczególnie wśród niższych klas Europejskich, brazyliańczyk przedstawia się w kształcie opalonego plantera rzucającego w około siebie złotem, na tle niejasnem wprawdzie ale błyszczącem ogromnych obszarów plantacyi, tysięcy niewolników i drogich kamieni. Tłumy też wychodźców przybywają z głową nabitą podobnemi illuzyami, których miejsce wnet twarda zajmuje rzeczywistość. W samej stolicy nie ma dla nich zatrudnienia, na prowincyi mało znajdują sympatyi, klimat męczący, wysokie wymagania właścicieli przywykłych do pracy negrów wytrzymałych na upały, a których do niej przymusić można. To też nie mówmy o losie biednych wychodźców, szczególnie takich, którzy żadnego nie znają rzemiosła.

Brazylianie, jak wszystkie nowe kraje, lubią zbytek szczególnie zewnętrzny, lubią pozory okazałości, lubią nareszcie i cywilizacyę, ale z mniej dobrych jej stron, bo w zwyczajach i modzie. To też moda szeroko się tu rozpościera i panuje. *Modes de Paris, chapeaux de Paris, coiffeur de Paris, nouveautés de Paris*, napisy te złotemi wyryte literami, w znaczniejszych ulicach na każdym prawie czytasz domu, i na pierwszy rzut oka przekonać się możesz w jakim kierunku wpływ Europejski tu się wywiera. Upał straszny, słońce jak roztopiony kruszec, a żaden mężczyzna z pretensyami do elegancyi, inaczej się nie pokaże jak w wysokim czarnym kapeluszu, gorąco mu, głowa go może boli, ale cóż? — moda. Toż samo z resztą odzieży: zamiast wygodnego, obszernego,

białego ubioru, zastosowanego do lokalnych potrzeb, widzisz czarne zapinane surduty lub obcisłe komplety, niewygodne wprawdzie i duszące — ale modne. U kobiet owa modna niewola jeszcze dalej posunięta a więcej rażąca, bo owe Paryzkie stroje, które czy wązkie czy szerokie, czy ukrywające kibić, zawsze tak ślicznie na prawdziwej paryżance wyglądają, tutaj jeszcze przesadzone, prawie śmieszne robią wrażenie. Na paryżance wszystko to wygląda jakby tak być musiało, jakby tak zawsze było i lepiej być nie mogło, tutaj znać, że to coś nadzwyczajnego, przyuczonego i źle zastosowanego. Pod krótką sukienką nóżka, małać wprawdzie i bardzo mała, ale cóż? kiedy tak nieśmiało i niezgrabnie stąpa, zaraz poznać, że ona do długich sukien, spływających aż do ziemi przywykła; na główce kapelusik mikroskopiczny, mikroskopiczniejszy nawet jak nad Sekwaną, ale tak jakoś na wysokiej koiffurze przypięty, tak nie na swojem miejscu iż odrazu znać że to przybysz, nieobeznany z główką którą przykrywa. Przytém ów pociąg wrodzony południowi do jaskrawości, do kolorów mocno odbijających, nadaje całej toalecie jakąś cechę gwałtowną a rażącą. Paryżanka wszystko sobie pozwoli, ale takie ma oko wprawne i gust pewny, taką znajomość intuicyjną barw i odcieni, że z tego wyniknie całość mniej lub więcej świetna, mniej lub więcej przyciągająca, bogata lub skromna, ale zawsze harmonijna i powabna. Wszakże o tem brazylijskie panie przekonać się nie chcą, myśląc, że byleby włożyły na siebie suknię podług paryzkiego kroju, już z nich będą paryżanki, a nawet od tamtych wyżej staną, boć paryżanki istne lalki malowane, ani płci, ani rysów, ani świeżości. Tymczasem pomimo tych niedostatków, paryżanka zawsze śliczna, zawsze zgrabna, zawsze powabna, gdy przeciwnie tutejsze panie choć podług własnego zdania wszystko posiadają czego tamtym nie dostaje, z małemi tylko wyjątkami, zawsze wyglądają jak karnawałowe maseczki lub ptaszki w cudze ubrane piórka. Dla tego też Rio de Janeiro jest prawdziwym rajem modniarek. Niema podobno miasta, a przynajmniej ja nie znam żadnego, gdzieby taka ich ilość w tak małej przestrzeni była nagromadzona. W *Rua de Quvidor,* główej ulicy brazylijskiej stolicy jest ich kilkanaście, wszystkie rozumie się Francuzki, Francuzi w ogóle dostarczają tu prawie bez wyjątku modnia-

rek, perukarzy, *marchands de nouveanés*, i kucharzy resp. właścicieli hotelów. Kolonia ta ciągnąca swe zyski głównie z mody, czyli z źródła ciągle zmieniającego się, a nigdy nie ustającego, dobre w ogóle robi interesa. W kilkanaście lat dorabia się mająteczku, przedaje swój magazyn innemu Francuzowi, zwykle takiemu, który jako *Commis* dłuższy czas w nim pracował i powraca do Francyi. Tam jako do równości amerykańskiej przywykła, zadziera nos do góry, dyskuruje przeciw arystokracyi i bawi się w ową liberalną opozycyę, tak drogą francuzkiej niższej bourgeoisie, a której „*Monsieur Prudhomme*“ zawsze niezrównanym jest typem. Nim atoli do tego kresu swych życzeń dojdą, pracują dość pilnie, starają się jak najdrożej wszystko sprzedawać, jak wszyscy kupcy na świecie, kłócą się między sobą, mimo to jednak wysyłają jednozgodne adresa do tymczasowych demokratycznych wielkości francuzkich, mają po części żony, które i interesa i ich samych za nos wodzą, zwykle mało mają dzieci, a wyglądają blado, bo klimat męczący i anemia częsta.

Złotników rozumie się samo przez się także znaczna jest liczba, ale ci są prawie wszyscy krajowcy, bo lubowanie się w klejnotach jest im wrodzone i naturalnym wynikiem owego pociągu do błyskotek i zewnętrznej okazałości. W ogóle zdaje mi się, że im mniej zmysł prawdziwego piękna rozwinięty, tym większe bywa zamiłowanie klejnotów, drogich kamieni, przepychu zasadzającego się nie na artystycznym kształcie i wykonaniu, ale na bogactwie materyi. U dzikich błyskotki perełki z nieznanego im szkła, najcenniejszą są rzeczą. Wschodni mocarze, indyjskie książątka, te ideały barbarzyńskiego zbytku, słynęli skarbami i klejnotami swemi, a nadto niesłychaną do nich przywiązawali wagę; gust ten bowiem cechuje zarazem tak jeszcze nie całkiem rozwinięte, jak i przeżyte i upadające społeczeństwa. Toć ten sam objaw we wszystkiem doślədzić można. W starożytności, gdy instynkt prawdziwej sztuki upadać począł, starano się zastąpić go kosztownością materyi i wykwintnością ozdób, to też im niższy styl tem bardziej skomplikowany, tem bardziej obciążony dodatkami, upiększeniami, detaliami. Już tu nie chodzi o czystość, o prawdziwą piękność zarysów; miejsce ich zastępują misterne ozdoby, filigrany, błyskotki, klejnoty. Złotników tedy

w Rio jest dużo, przedmiotów sztuki, pięknych gmachów mało. Kościoły wszystkie prawie zbudowane w stylu, który jezuickim zowią, a którego *Gesu* w Rzymie głównym jest przedstawicielem. Zewnętrznie żadnej nie mają architektonicznej wartości, wewnątrz mniej lub więcej malowane lub złocone, ale zawsze również banalne, nic nie znaczące i monotonnie brzydkie. Pałac cesarski chyba dla tego tylko pałacem się zowie, że w nim cesarz mieszka, zresztą duży ten i czworoboczny budynek prędzej wygląda na stare koszary, lub na wielką kamienicę zbudowaną dla spekulacyi, aby w niej setki ubogich pomieścić rodzin. Akadamia w tym samym stylu. *Aduana* czyli gmach celny, ot zwyczajne cło; koszary jak prawie wszędzie, na to obrachowane, aby jak najtaniej największą liczbę ludzi pomieścić. O posągach lepiej wcale nie wspominać. Najznaczniejszy wśród dużego square czyli ogrodu stojący, przedstawia cesarza Don Fedro I. Na dużym wysokim piedestalu, otoczonym czterema kobiecemi postaciami, w klasycznym indyjskim stroju, t. j. w piórach, a przedstawiającemi główne krajowe rzeki, wznosi się konny posąg. Koń sam w azardowej stoi pozycyi, bo tylko na dwóch tylnych oparty nogach, jeździec, zdawałoby się, w epileptycznem znajduje się napadzie, tak dziwnie na koniu się trzyma. Wrażenie ogólne niesmaczne i przesadzone.

Naprzeciwko tego pomnika główny teatr, Opera. Duży gmach bez żadnej architektonicznej wartości. Teatrów tu jest kilka, oprócz opery, w której po włosku śpiewają. W jednym dawają dramaty, w innych, głównie w Variedades i Gimnazyum komedye, ale najpopularniejszym, zwłaszcza między młodzieżą jest bez wątpienia francuzki Alcazar.

Pod nazwą Alcazaru nie trzeba sobie wyobrażać coś na kształt paryzkiego Alcazaru, czyli *Café chantant* na wielką skalę; nie, jest to poprostu teatr, w którym dawają operetki, *aux Opéras Bouffes*, i gdzie naturalnie Offenbach rej wodzi. Już to, co się tyczy ogólnej, po całym świecie rozpostartej popularności, to niech się schowają Mozart, Rossini, nawet Verdi, najpopularniejszy z Włochów, bo Offenbach wszystkich pod tym względem prześcignął. Może być, że na seryo rzecz wziąwszy, smutny to objaw, prawda, że muzyka wcale nie klasyczna, pospolita nawet i ordynaryjna, tekst waryacki, ale

jednak nie można sobie wystawić, jak żywo się człowiekowi Europa przypomina, jaki to argument *ad hominem*, taka melodyjka z *Grande Duchesse de Gerolstein* albo z *Barbe Bleue.* Klasyczna muzyka zawsze najwyżej stoi, zawsze jest na swojem miejscu i wiecznie pozostanie, bo to jest prawdziwa muzyka, muzyka *par excellence*, owa mowa uczuć bez słów, która tak nie jasno, ale tak silnie do duszy przemawia, ale może właśnie dla tego żadnego specyalnego wspomnienia nie wywołuje. Offenbach zaś, ta muzyka tak czasowa, że dziesięć lat dla niej to wiek najdłuższy i najdłuższa starość, tak do pewnych miejscowości przywiązana, ileż ona dla tego właśnie wzbudza wspomnień i zapomnianych wrażeń. Wszak to jakoby odgłos naszej młodości, jakoby czas, który z popiołów minionych dni wywołuje cienie wesołe, śmiech szczery i pusty. I dla tego to na najodleglejszych świata krańcach, każdy Europejczyk tak lubi Offenbacha, a i krajowiec porwać się daje, bo to najprzód bez kwestyi wesołe, a po drugie bo paryzkie, a zatem podobać mu się *musi.* Nie mówię ja tego, by bronić tego faktu, ale tylko, aby go wytłumaczyć. Alkazar taki nie rości sobie pretensyi, aby przypominać paryzkie bulwary, bo ani aktorzy ani publiczność temu nie odpowiadają, wygląda raczej jak cząstka prowincyonalnego miasteczka żywcem w dalekie przeniesiona strony. Mężczyźni naturalnie wielką tu stanowią większość, ale i kobiecy element reprezentowany tu bywa, wystrojony kokietujący, a w znacznej części importowany.

Importacya tu wielką we wszystkiem gra rolę. Nie dostaniesz tu ani odzienia, ani materyi, począwszy od najdroższej atłasowej, do najtańszej bawełnianej, któraby nie była importowaną. Każdy guzik, którego potrzebować możesz, każda igła, każda nić by go przyszyć, z Europy pochodzi. Każden z owych drobnych przedmiotów stanowiących damską toaletę, od trzewiczka do bujnych warkoczów, wszystko to z za morza sprowadzone. Z artykułami męzkiego ubrania toż samo się dzieje. Różno kolorowe krawatki, szczotki, fajka, laseczka, to paryzkie, londyńskie lub wiedeńskie wyroby. Kraj industryi własnej nie ma. On wysyła w świat kawę, cukier, drzewa drogie, dyamenty, przeróżne surowe produkta, a za to dostaje w zamian nie tylko to, co do zbytku należy, ale nawet i to

wszystko, co mu do życia potrzebne. Gdyby dziś wskutek jakiegoś nadzwyczajnego kataklizmu Europa zniknęła z powierzchni świata, jak bajka o Atlantydzie głosi, toby prawie cała południowa Ameryka chyba do prymitywnej rajskiej wróciła mody, listkami palmowemi zastąpiła *Modes de Paris* i angielskich krawców. To też cały większy tutejszy handel na tem się zasadza: jedną ręką daje, drugą bierze, jedną wysyła drugą sprowadza, dlatego też ruch morski jest tak znaczny. Codzień odpływają, codzień przybywają stosy towarów, które wszystkie zrazu giną jak w otchłani jakiej, w nieuniknionej Aduanie, bo rząd wysokie cło od wszystkiego bierze, nie dla tego aby protegować industryą norodową, bo tej, jak już powiedziałem, nie ma wcale, ale jako wygodne źródło dochodu.

Systemat wysokich nader ceł w całej Ameryce jest powszechny. Rządy wolą to, jak osobne nakładać podatki, które zawsze są trudne do ściągania, zwłaszcza przy tutejszych stosunkąch, a przytem tak ludowi widoczne. Tymczasem cóż lud wie o cle? Jeźli drogo płaci, to w oczach jego wina kupca, a żeby to miała być w wielkiej części wina rządu, to mu wcale do głowy nie przyjdzie; zresztą on wcale nie czuje, żeby to było tak drogo, bo mu braknie *tertium Comparationis.* On zawsze po tej samej cenie mniej więcej kupował, i zdaje mu się, że tak a nie inaczej być musi. A jednak jakież tu panuje zdzierstwo! Za niektóre przedmioty każą sobie pięć, sześć razy europejską płacić cenę, prawda że to za takie, które mało mają odbytu, ale sto procent wyżej cen europejskich to rzecz zwykła, należy wprawdzie od tego odrachować transport i cło, zawsze jednak zysk ogromny.

Bo też i życie dla tychże samych kupców niezmiernie drogie, zdzierają niemiłosiernie, ale też drogo niezbędne potrzeby życia opłacać muszą. Do tego trzeba dodać jeszcze, że oni, Europejczycy, w krótkim czasie przez upały wycieńczeni, większych niż we własnym kraju potrzebują wygód. I tak n. p. zamiast mieszkać w mieście wszyscy prawie posiadają lub wynajmują w pobliżu domki, rodzaj willi otoczonych ogródkami, i do miasta tylko dla interesów przybywają. Najulubieńszem miejscem jest tak zwane Botafogo. Jest to niby przedmieście Rio, bo nieprzerwanym łańcuchem domów z nim złączone. I rzeczywiście prześliczne to miejsce. Wzdłuż zatoki rozbudo-

wene wille z przepysznym widokiem, poprzeplatane zielonemi wiecznie ogrodami, urozmaicone obfitością różnobarwnych kwiatów, trudno sobie coś ładniejszego wymarzyć. Oprócz Botafogo i w inne strony rozciągają się podobne osady, ale mniej poszukiwane i mniej zamieszkałe. Wszystkie zaś połączone są z miastem omnibusami amerykańskiemi, *Tramways*, na szynach. Omnibusy te przy dalekich odległościach zawsze pełne, co parę minut przesuwają się szybko zaprzężone mułami, i nie tylko przez niższe klasy towarzystwa bywają używane. Owszem, szczególnie pod wieczór, gdy handel ustaje i zbliża się obiadowa godzina, mnóstwo ludzi czeka na nie w Rua Quvidor aż do której dochodzą, a która jest środkowym punktem i główną miasta arteryą, żeby się dostać tym szybkim sposobem do swych domów i odpocząć po całodziennej pracy. A między niemi znajdzie się bogaty kupiec i bankier zamożny, i grona ładnych angielskich *Misses* z blademi twarzyczkami i modremi oczy. W lecie zamożniejsi ludzie, których codzienne zatrudnienia do stolicy nie wiążą, posłowie zagraniczni i t. p. zwykle zamieszkują w Petropolis, niemieckiej Kolonii o parę godzin od Rio oddalonej, a połączonej z stolicą koleją żelazną. Leży ona na wysokiej górze, upały tam są daleko znośniejsze, powietrze zdrowe, a położenie śliczne. W ogóle tu wszystko prawie jest obrachowane, aby od wielkiego uchronić gorąca. Pokoje wysokie, okna duże, prawie zawsze aż do ziemi sięgające, raczej drzwi szklanne niż okna, wszędzie okiennice, żaluzye, za niemi plecionki, widać z wszystkiego, że upały są wielkim, ciągłym nieprzyjacielem, i że z niemi wszystkiemi sposobami walczyć trzeba. Dla tego też koniecznością się staje rozstać się z europejskiemi zwyczajami, chociaż w bogatych domach, zdaje mi się, że po części poświęcono chłód i świeże powietrze wymaganiom elegancyi i komfortu zimniejszych krajów.

Oprócz klimatu drugą plagą tego kraju jest żółta febra. Febrą ją nazwano oczywiście w braku innego wyrazu, boć ona z febrą nic nie ma wspólnego. Bardziej się do cholery zbliża, jak ona epidemiczna, jak ona gwałtownie i zabijająco występuje. Zkąd ta choroba pochodzi? niewiadomo, może z zachodniego afrykańskiego wybrzeża, bo i tam tego rodzaju zaraza, chociaż z odmiennemi trochę symptomatami grasuje.

Zwykle zimową porą t. j. w naszych gorących miesiącach niknie, a na wiosnę powraca. I choć nie zawsze z równą siłą po kraju się szerzy, bo często sporadyczne tylko wypadki się zdarzają, jest to jednak gość, którego wcześnie się spodziewają i wiecznie też lękają. Głównem jej gniazdem jest Pernambuo, najznaczniejszy port brazylijski w północnych cesarstwa prowincyach, i ztąd też statkami wzdłuż całych wybrzeży się przenosi. A że ruch jest znaczny i interesa kupieckie częstych i łatwych wymagają komunikacyi, środki sanitarne jak kwarantany i t. p. nie są wystarczającemi aby skutecznie zarazie się oprzeć. W Rio samem co kilka lat gwałtownie występuje, ten zaś ma osobliwszy charakter, że Murzynów całkiem omija i tylko białych się czepia. Między białymi znowu dla nowoprzybyłych szczególnie jest niebezpieczną, może dla tego, że ci bardziej od krajowców upałami osłabieni, mniej sił, a zatem mniej mają energii by się jej skutecznie oprzeć. Cholera zaś, która od niejakiego czasu także się tutaj pokazała, odwrotną okazuje skłonność t. j., że dla białej ludności mniej zabójcza, okropnie murzynów dziesiątkuje. Przyczyn tych dziwnych objawów dotychczas całkiem nie zbadano i prawdopodobnie nigdy dokładnie zbadać nie będzie można; najrozmaitsze przypuszczenia oparte na sposobie życia, pokarmach, obyczajach, niczem więcej nie są i być nie mogą jak li tylko hipotezami. A jak w Europie na cholerę tyle rozmaitych systematów lekarskich istnieje, a żaden z nich ani dobrym ani całkowicie złym się nie okazał, bo podług nich leczeni chorzy, jedni umierają, niektórzy zaś powracają do zdrowia, tak i tutaj to samo z żółtą febrą się dzieje. Tyle tylko pewna, że choroba to straszna i rzadko kiedy natura ludzka z rozpaczliwej z nią walki zwycięzko wychodzi. To też gdy się w Rio pokaże i na dobre szerzyć zacznie, wszyscy ci, którzy nie są absolutnie do pobytu zmuszeni i którym środki na to pozwalają, z niebezwiecznego wynoszą się miasta. Ale wtedy druga przedstawia się kwestya, dokąd? Morzem trudno, bo do któregokolwiek zajadą portu, jako pochodzących z zarażonego miejsca na kwarantany skazują, a to znowu ciężko parę, czasem kilka tygodni tam czekać. Najprzód amerykańskie kwaratanny nie są zbyt wygodne, potem przepełnione niezmiernem mnóstwem ludzi, którzy przed epidemią uciekają, a na-

reszcie co najgorsza i niebezpieczne, bardzo często żółta febra jakby rada, że w jednym punkcie tyle gotowych czeka na nią ofiar, nieraz nielitościwie między niemi gospodarzy, i wielu takich co zdrowi z rodzinnego wyjechali miasta, tu u celu prawie, nędzną kończy śmiercią.

Gdy więc morzem trudno wyjechać jedna zostaje droga lądem. Z Rio wychodzi w głąb kraju od paru lat wybudowana linija kolei żelaznej „Don Fedro," idzie ona w kierunku prowincyi Minas Geraes, ale nie dochodzi do niej, ma być dalej poprowadzoną, ale dotychczas jest to jeszcze projektem, dlatego szczególnie, że trzebaby tam przebyć pasma gór, które wielkie przedstawiają trudności. Oprócz tego cywilizowańszego środka, inne sposoby komunikacyi ograniczają się albo na dyliżansie t. j. starej zwykle budzie, chwiejącej się, powiązanej sznurkami, brudnej a zaprzężonej mułami, lub też na konnej jeździe. Każden z nich ma nie jedno za sobą, ale nie jedno też przeciw sobie. Przy palącym słońcu, w deliżansie głowa zakryta i z gorąca zdrzemnąć się można, ale znowu szczególnie gdy wszystkie miejscc są zajęte, jakże niewygodnie i jakie zapachy! Wyziewy czosnku i cebuli tak gęste, że mógłbyś powietrze nieomal nożem krajać, do tego woń rozgrzanych nie koniecznie czystych ciał ludzkich, ciągła obawa, żeby się przedpotopowa arka ostatecznie nie rozleciała, przy akrobatycznych podskokach na prymitywnych drogach, wszystko to razem wzięte tworzy okropną całość, zwłaszcza dla człowieka do podobnych nie nawykłego podróży. Konno znów upał straszny, słońce cięży jak ołów na mózgu, zmęczenia wielkie, niewiedzieć doprawdy co wybierać. W obu zaś razach wystawionym się jest na wspólne prześladowania ze strony tysiąca much, muszek i komarów, *mosquitos*, które mianowicie pod wieczór ze wszystkich stron napadają człowieka i bez tego mu już niezbyt bogatej krwi obficie toczą.

Cała wewnętrzna część Brazylii całkiem prawie jest nie zamieszkała, zwłaszcza na północ ku rzece Marauou czyli Amazonne Rozciągają się tam ogromne lasy, a w nich przechowały się rozmaite szczepy dzikich Indyan, którzy nominalnie tylko do Brazylii należą, bo ani ręka, ani wpływ rządu tak daleko nie sięga. Mają oni dotąd swoich Kacyków, własne starodawne obyczaje i religię, żyją szczególnie z rybołóstwa

i długie jeszcze lata, a bodaj czy nie wieki upłyną zanim się stosunki te odmienią. Przy tak niezmiernej rozległości, przy tak ogromnych obszarach, jakiegożby przybytku ludności potrzeba, żeby je choć z rzadka zająć i uprawić! Przypływ z Europy nie jest stosunkowo dość znaczny, a nadto bywa szczególnie ku południowym prowincyom zwrócony, gdzie klimateryczne warunki dla Europejczyków korzystniejsze, bo bardziej umiarkowane. Samychże zaś owych dzikich Indyan ucywilizować, to znów zadanie jak na teraz niemożebne, bo jakiemiż to sposobami osięgnąć? Moralne środki mało przedstawiają prawdopodobieństwa. Misyonarze dotychczas nader mało tam zdziałali, a wszakże oni zawsze pierwsi cywilizacyi torują drogę Przemocą ani pomyśleć, jakaż bowiem siła w tych nieskończonych puszczach dosięgnąć i obsaczyćby ich zdołała? A gdyby i to wykonać się dało, gdyby główniejsze szczepy indyańskie dały się upokorzyć i pogromić, to cóż ztąd za korzyść? Na takie wojsko jakiegoby stała okupacya wymagała, to nie tylko Brazylija, ale nawet najpotężniejsze państwo na świecie, z pewnościąby się nie zdobyło. A zresztą czemuż tak koniecznie się targać na tych biednych Indyan, czemu zmuszać ich gwałtem do przyjęcia naszych wyobrażeń i obyczajów, kiedy pierwsze z praw ludzkości, warunek własnego bytu tego nie wymaga? Gdy człowiek czyta dzieje odkrycia i zdobycia Ameryki, gdy przesuwają się przed oczyma krwawe obrazy, zdrad, podstępów, prześladowań, ucisku, złej wiary i gwałtu, któremi stary świat nowy sobie przywłaszczył, a wyrwał go tym, którzy jako dziedziczni jego mieszkańcy najświętsze do niego mieli prawo, bo tam ich ojców spoczywały kości, bo tę rolę przez długie wieki uprawiali, potem i krwią zlewali, a kochali, jak się własny rodowity kraj kocha, gdy się czyta straszną tę i oburzającą historyę, to zaprawdę trudno zazdrościć kawałka ziemi, nam niepotrzebnego, który się potomkom owych pierwszych właścicieli pozostał. Brazylia przez długie jeszcze lata może wzrastać i rozwijać się; może z jedenastomilionowego stać się stumilionowym państwem, nim przez konieczny wynik okoliczności, *par la force des Choses*, zmuszoną będzie zaabsorbować i ten ostatni przytułek autochtonicznej i podług własnych obyczajów żyjącej ludności. Jaka zaś jest przyszłość Brazylii, jak się ostatecznie skończy autagonizm południowo-

amerykański między portugalskim a hiszpańskim elementem, między monarchiczną a republikańską formą, trudno to przewidzieć. Zdaje się jednak, że tak ogólny dziś republikański prąd w świecie, wywracający wszystko co jest i co na tradycyach przeszłości oparte, i tę jedyną tutaj prędzej czy później wywróci monarchię, chociaż ona tyle się przyczyniła do spokojnego rozwoju i postępu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

**

Przegląd Literacki.

Publikacye Akademii Umiejętności kładziemy na czele miesięcznego naszego sprawozdania. Dla wewnętrznej swej wartości i pochodzenia swego pierwszeństwo się im należy.

Poczet tych publikacyi niemały, zważywszy że Akademia zaledwie od roku istnieje. Mamy przed sobą pięć sporych tomów, prace w nich zawarte dotyczą wyłącznie historyi, archeologii, filozofii i prawa, a więc z tak nazwanego działu nauk moralnych, wiemy jednak, że prace w oddziale nauk matematyczno-fizyczno-medycznych z równą skrzętnością były traktowane i obrabiane. Plon więc dla nauk niemały, i po kilku latach pracy tak usilnej jaką była pierwszego roku można się spodziewać pocieszających rezultatów. Nikt nam nie będzie śmiał bryznąć w oczy zarzutem, że się wleczemy zaledwie za postępem nauki, nie przyczyniając się w niczem do niego.

Za wielką bogdaj czy nie za największą zasługę Akademii poczytujemy wydanie części *Kroniki Wapowskiego* od roku 1480 to jest od roku, na którym się kończy kronika Długosza do roku 1535, który zarazem jest rokiem zgonu autora. Wapowski nigdy dotąd w całości drukowanym nie był, nawet w tym urywku jaki się przechował: to jest od roku 1380. Malinowski w tłumaczeniu polskiem dociągnął swoje wydanie do roku 1463, Akademia wydała teraz część od roku 1480 do r. 1535 brakuje jeszcze lat od roku 1463 do roku 1480, które niebawem jak nas poucza przedmowa do wydanego właśnie fragmentu, mają być drukiem ogłoszone, tak posiadać będziemy raz całość drukowaną znanego dotąd urywku z dzieła Wapowskiego, człowieka wykształceniem i kunsztem pisarskim

wyżej stojącego od Długosza i dwóch swoich bezpośrednich poprzedników Miechowity i Justyna Deciusa.

Ogłoszony fragment stanowi drugi tom: *Scriptorum rerum polonicarum* i wraz z dopełnieniem z ruskich i niemieckich kronik zabiera 363 stronnic in 8vo.

Pamiętnik Akademii Umiejętności Tom I in 4to str. 249 zawiera prace: Zygmunta Samolewicza, Studya platońskie i Hippias większy; Maurycego hr. Dzieduszyckiego, Rys dziejów Kościoła katolickiego w Szwecyi. Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, o narodowości polskiej w Prusach Zachodnich za czasów Krzyżackich; Dr. Zygmunta Węclewskiego, o poezyach Andrzeja Krzyckiego.

Praca Dra Kętrzyńskiego u wielkiej publiczności wywoła zapewne najwięcej zajęcia. Dowodzi on gruntownie, że Prusy Zachodnie od najdawniejszych czasów były przez Polaków zamieszkałe, że Polacy nie byli ludnością napływową, jak to utrzymują Niemcy, którzy przedstawiają Prusy jaką odwieczną siedzibę rasy germańskiej, że Polacy dopiero po zdobyciu Prus na Krzyżakach tam się osiedlili, a nawet część niemieckiej ludności po miastach i prawie wszystką szlachtę biegiem czasu spolonizowali. Z dokumentami w ręku dowodzi im autor jak się miały rzeczy przed przjściem tamże Krzyżaków i w czasie ich panowania. Autor nie przeczy żeby sporadycznych osad niemieckich w Prusach przed przyjściem Krzyżaków nie było, ale to pewna, że większość mieszkańców stanowili Polacy, że dużo ich w czasie panowania krzyżackiego uległo prądowi germańskiemu i dopiero po odzyskaniu Prus przez Polaków do narodowości dziadów swych wróciło. Nazwiska cytowane osad i szlachty przed i podczas panowania krzyżackiego, znajdujące się po różnych dokumentach, z tej epoki pochodzących, dostatecznie przekonywują nieuprzedzonych o tej prawdzie. Nadzwyczajnie ciekawe są cytacye autora jak Krzyżacy nazwiska osad i familii polskich przekręcali i jak dziś Niemcy na tem przekręceniu się opierając, pochodzenie ich niemieckie wywodzą; przytoczymy tu kilka na chybił trafił: Brzezie nazwali Brusse, Kitnowo Keythen, Woythen von Keythen to Wojtko Kitnowski, Ivan von der Brusse to Jan Brzeziński, Bursztyn nazywał się u nich Förstenau, a Scibor Bursztynowski Stibor von Förstenau, Orłowscy herbu Sas nazywali się von Orlau, Głażejowscy herbu Doliwa von Glazaw, Klaudko de Cryczin ma znaczyć z Krzykos, von der Damerau nazywano Dąbrowskich, Elsenau Elżanowskich, Glauchen Gołuchowskich, Mortangen Mortęskich, Schweinchen Swinkow, von der Frantze Frąckich, Wantsche Wężów herbu Wąż i t. p.

Artykuł hr. Maurycego Dzieduszyckiego *o stanie Kościoła katolickiego w Szwecyi*, bezpośrednio wprawdzie Polski nieobchodzi

i nie jest osnuty na dokumentach nie znanych dotąd jeszcze, a zatem nie bardzo może kwalifikujący się, ażeby umieszczać go w Pamiętniku Akademii Umiejętności zawsze z przyjemnością i pożytkiem odczyta go każdy.

Co nas w tym artykule nie mile uderza, to niepoprawność stylu i masa błędów drukarskich, germanizmy w nim nie rzadkie, jak np. na stron. 49 wiersz 17 od dołu: dał się koronować w Upsali od arcybiskupa Waleryana, a błędy drukarskie zaciemniają nieraz sens jak: Sam nawet Beudo biskup Skary Magnus (stronnica 111 16 wiersz od dołu) zdawałoby się, że Beudo Magnus biskup Skary, tymczasem ma być, jak się zdaje przynajmniej: pseudo biskup Skary. Familia namiestników szwedzkich Sture nazywana jest wszędzie Stare.

Akademickie wydania od takich usterków powinny być wolne, żadnemu wydawnictwu nie poczytują tego za zaletę, a już najmniej temu, gdzie się ma nadzieję znaleźć wzory nie tylko co do merytorycznego traktowania przedmiotu, ale także co do formy. Nie lepsze jest także wyrażenie str. 54 wiersz 10 od dołu: Magnus lubo podobno *nie bez nagany wobec brata,* zyskał najlepsze na tronie imię. Zamiast *nie bez nagany w stosunkach z bratem.*

Niejasnym jest także autor, gdzie mówić mu przychodzi o stosunkch społecznych i tak na stronnicy 42 tłómaczy, że *bonde* oznacza kmiecia wolnego z jakich dotychczas składa się największa część ludności. Taki bonde w r. 1150 sprawuje rządy namiestnicze w imieniu króla Swerkara, którego jest przez żonę córkę króla Jnego wnukiem, a już w sto lat później Magnus I występuje jako dobrodziej stanu kmiecego, „który, długo uciskany, zawdzięcza mu zniesienie poddaństwa i różnych danin.“ W sto lat stosunki nie mogłyby się do tego stopnia zmienić. Kmieć Eryk, uznany przez Kościół świętym, ożenił się na początku stólecia o którym mowa z córką królewską, sprawował władzę namiestnika królewskiego, a pod koniec tego stólecia już kmiecie byli w poddaństwie i to długiem, z którego ich wyzwalać było potrzeba?! to jakoś pogodzić się nie da. Zapewne wyraz *bonde*, oznaczający dziś kmiecia, w wieku XII miał inne znaczenie.

O dwóch filologicznych pracach: Dra Samolewicza i Dra Węclewskiego przez specyalistów bardzo cenionych, tutaj mówić nie będziemy.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Tom I in 8vo stron 314 oznaczonych liczbami arabskiemi i 88 liczbami łacińskiemi. Zawiera w sobie prace: Dra Karola Mecherzyńskiego, A. H. Kirkora, Dra A. Sokołowskiego, Dra M. Bobrzyńskiego, J. M. Sadowskiego, Dra J. Szujskiego, B. Kalickiego, Dra A. Bojarskiego.

Sprawozdanie *A. H. Kirkora* o poszukiwaniach archeologicznych w okolicach Babie i Kwaczały, jest nadzwyczajnie ciekawe, z powodu odkrycia śladów mieszkań nadwodnych odnoszących się do bardzo dalekiéj starożytności. Jestto z kolei drugie odkrycie mieszkań nadwodnych (Pfahlbauten) w Polsce; pierwsze odkrył zasłużony archeolog Dr. Józef Łepkowski, w majątku swego teścia Karola Liebelta nad jeziorem Czeszowskiém, — Dr. *Sokołowski* zamieścił rozprawę: Projekt rozbioru Polski w XV wieku. Praca ta opiera się wyłącznie na Grünhagena zbiorze dokumentów: Geschichtsquellen der Hussitenkriege, wydanym w Wrocławiu w r. 1872.

Jako wiadomość, że taki projekt w czyjejś głowie się zrodził w wieku piętnastym, należy go znać historykowi. — Na seryo traktować go nie można, jak nikt go ze współczesnych nie traktował, a najmniej podobno twórca jego cesarz Zygmunt Luxemburgski, który w podlegających mu krajach rady sobie dać nie mógł, a już o postronnych podbojach nie mógł nawet marzyć. Projekt ten, do którego wykonania oprócz twórcy jego należeć mieli: wielki mistrz zakonu, kilku drobnych książątek szlązkich i 6 miast łużyckich, nie był nigdy przez mających w nim brać udział ratyfikowany, a o siłach dostatecznych na jego wykonanie mowy nie było. Siły całych Niemiec nie wystarczały do zasłonięcia własnych ognisk od napadów Husytów. Węgrzy na samo przypuszczenie, że Zygmunt chce posiłkować Wielkiego Mistrza przeciwko Polsce, powiedzieli mu, że na tę wojnę nie dadzą ani grosza jednego ani jednego człowieka.. Zakon militarnie i finansowo był zbankrutowany. Zostawali książątka szlązcy w niezgodzie ustawicznej pomiędzy sobą, a tak rozdrobnieni, że nie jeden z nich zazdrościł losu szlachcica polskiego o miernej fortunie. Że Zygmunt nienawidził Władysława i Polaków, to rzecz znana, żeby myślał o przeprowadzeniu tego projektu, posądzać go nie można, bo już wtenczas nie o lekkomyślność, ale o brak pięciu klepek w głowie pomówićby go trzeba. Władysław w tym czasie, kiedy projekt ten stanął, dosyć życzliwym się zdawał ruchowi husyckiemu, synowiec jego Zygmunt Korybut w 2500 koni posiłkował rokoszan czeskich; otóż w bezsilnym gniewie cesarz ogłosił swój projekt sądząc, że przynajmniej takie zrobi on na królu polskim wrażenie, że synowca z Czech odwoła i pokój z Krzyżakami, znośny dla tych ostatnich zawrze, za jaką znowu przysługę obiecali mu Krzyżacy przysłać posiłki przeciwko Husytom. Innego celu projekt nie miał, i z tego stanowiska na niego, według naszego zdania, zapatrywać się winno.

Przyczynek do historyi dziejopisarstwa polskiego w XVII wieku przez *Bernarda Kalickiego*, rzuca jaskrawe światło na publicystykę ówczesną, do której należała przedewszystkiem współczesna historya. Jeżeli dzisiaj piszą bezkarnie największe

brednie i oszczerstwa na ludzi zasłużonych w kraju i wybitne rodem i majątkiem zajmujących stanowiska, wówczas panowała druga ostateczność, nawet prawdy o ludziach możnych a współczesnych zbliska obchodzących, wypowiedzieć nie można było bez ściągnięcia niebezpieczeństwa dla swego życia lub zdrowia. Łubieński, biskup płocki, człowiek poważny wiekiem i stanowiskiem, napisał historyę współczesną, drukowaną po śmierci autora, kosztem i staraniem brata arcybiskupa gnieźnieńskiego. W historyi tej, przy opisie bitwy guzowskiéj, autor nie bardzo pochlebnie wyraził się o ojcu hetmana Stanisława Koniecpolskiego; nie pochwalił też Stanisława Lubomirskiego za jego zachowanie się w całym tym akcie, a ten znowu był szwagrem Koniecpolskiego. Hetman nie mógł na pierwszym senatorze mścić się za niedyskrecyę brata; listownie dał mu tylko boleśnie uczuć, jak srodze mu się nie podobają rzeczone ustępy; z kim innym byłby się zapewnie inaczej obszedł, a hetman był popędliwy i wrażliwy.

Korrekta w Rozprawach tak samo niedbała jak i w Pamiętniku: W artykule Dr. Sokołowskiego zamiast: król polski, wydrukowano pruski, a w artykule B. Kalickiego inicyałami zapewnie oznaczone tytuły Stanisława Koniecpolskiego, k. k. h. w., wypełniono: kanclerz koronny, hetman wielki, zamiast: kasztelan krakowski i hetman wielki. Błędów tych nie podnosilibyśmy, gdyby nie chodziło o wydawnictwo staraniem akademii uskutecznione.

J. N. Sadowskiego artykuł: Obecny sposób zapatrywania się na zabytki epoki Spiżowej, jeżeli nie odznacza się oryginalnością pomysłów własnych autora, zapoznaje nas z pomysłami najznakomitszych archeologów w ocenieniu zabytków spiżowych tak co do ich starożytności, jak i pochodzenia. Szwed Nilson, Węgier Kiss i Czech Wocel są tu powagami pierwszorzędnymi, ich pomysły są i dla naszego archeologa ideami kierującemi w badaniach przez niego przedsiębranych. Artykuł odznacza się starannością obrobienia i jasnością wykładu tak pożądaną przez wszystkich, a szczególnie przez ludzi niefachowych. Według teoryi Nilsona spiże najwytworniejszej roboty, znajdywane w Europie, są najdawniejsze i pochodzą od Fenicyan; zabytki mniej okazałe są prawdopodobnie wyrobem miejscowym. Czem więcej takowe do fenickich ozdobnością zbliżone, tem dawniejsze; czem mniej udałe, tem więcej zbliżone czasem do nas; naśladownictwo bowiem czem bliższe było pierwowzorów, tem do nich było podobniejsze. — Wielka drogość cyny w starożytności jest także dla archeologów skazówką starożytności bronzowych zabytków; czem mniej ceny a więcej miedzi, tem dawniejszy zabytek; gdzie z miedzią połączony jest ołów i cynk, to dowód, że przedmiot pochodzi już z bliskich czasów epoce żelaznej, a może nawet jej współczesny.

Teorya ta obala dawniejszą powszechnie przyjętą doktrynę, która ozdobniejsze zabytki poczytywała za późniejsze, uważając je za postęp miejscowej industryi.

Starodawne prawa polskiego pomniki. Tom III. Correctura statutorum et consuctudinum regni Poloniae anno MDXXXII decreto publico per Nicolaum Taszycki et socios confecta. Ex rarissima editione authentica opera Michaelis Bobrzyński nunc iterum edita. In 4to stron 290.

Zygmunt Stary pragnąc ujednostajnić prawa obowiązujące w Polsce, gdyż dotąd prawie każde województwo, każda ziemia miały swoje prawa pisane i zwyczajowe ztąd zamęt w sądownictwie, arbitralność i przekupstwo — zalecał od r. 1520 na każdym sejmie, aby korrekturę praw przeprowadzić, sprzeczne z sobą prawa znieść i nowemi je ustawami zastąpić. Wybrano wreszcie w r. 1532 sześciu komisarzy do ułożenia projektu do prawa ogólnego, na podstawie dotychczasowych statutów i zwyczajów, ich pracą powstał projekt znany powszechnie pod nazwą Statutu Taszyckiego, który na sejmie r. 1534 został odrzucony podobno głównie winą Piotra Kmity i Piotra Zborowskiego, nie chcących przeprowadzenia jednego prawa dla wszystkich, aby tem swobodniej samolubne swe widoki przeprowadzać mogli. Jako projekt do praw, statut tak nazwany Taszyckiego w usiłowaniach prawodawstwa polskiego znakomite zajmuje miejsce swą jasnością i konsekwencyą. Przyjęcie tego projektu mogło Polsce inny los zapewnić, od anarchii ją uwolnić, do szanowania praw zmusić. Przedruk tego statutu, dzisiaj nadzwyczaj rzadkiego, napisanie wstępu do niego przez Dra Bobrzyńskiego, młodego, utalentowanego i zamiłowanego w pracy prawnika i historyka, wyjaśniający genezę statutu i jego fatalny koniec, jest prawdziwą przysługą oddaną polskiemu prawoznawstwu. Akademii winniśmy wdzięczność za przyśpieszenie tego wydania.

Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1873 in 8vo str. 159.

Jest to historya powstania, ukonstytuowania się i wewnętrznej manipulacyi Akademii Umiejętności. Rocznik nie zawiera żadnych rozpraw literackich.

Z wyliczonych tutaj prac czytelnik może się przekonać sam o prawdziwości słów naszych powiedzianych na wstępie, że Akademia w przeciągu jednego roku swego istnienia dokonała prac mnogich i pożytecznych i jeżeli dotychczasowa energia zawsze jej udziałem będzie, w krótkim czasie naukowość polska zaważy na szali ogólnego postępu i rozwoju nauk.

Inne prace, chociażby pierwszorzędną miały wartość naukową, pomijamy z powodu, że takiego interesu, jak cytowane, dla szerszej publiczności mieć nie mogą. Zresztą ludzie oddający się wyłącznie pracom naukowym, na naszem sprawozdaniu nie poprzestaną, ale sami z wydawnictwem akademickiem zapoznać się zechcą.

Żydzi i Kahały. Dzieło wydane w języku rosyjskim w r. 1870 przez Brafmanna (żyda przechrzczonego) na język polski przełożone i przerobione przez K. W. Lwów, nakładem drukarni J. Dobrzańskiego i K. Gromana 1874 8vo str. 156.

Zapowiedziane wydanie tej broszury więcej budziło ciekawości, niż na to treść jej zasługiwała. Nowego w niej nie ma nic, czegoby dotąd chrześcijańska ludność, a przynajmniej wykształcone jej warstwy nie wiedziały. — Czem jest kahał i Bet-Din, wiedzieli wszyscy. Że kahał sprzedaje swoim współwyznawcom prawo eksploatowania osób i majątków chrześcijańskich, znane pod nazwą hazaka, jeżeli się odnosi do własności, a meropie jeżeli przedmiotem eksploatacyi jest osoba chrześcianina, to także nie jest nowością. Bezwątpienia gdyby wiadomość o hazace i meropii po raz pierwszy stała się publiczną i jawną za pośrednictwem tej broszury, efekt, jaki wydawca jej starał się osiągnąć, byłby całkowity a może nawet przeszedłby jego oczekiwanie. Znane już powszechnie ustawy żydowskie, jakkolwiek świadczące o nienawiści żydostwa do wszystkiego, co nieżydowskie, już dla tego, że są znane, efektu nie budzą, tem bardziej, że stosunki dzisiejsze ekonomiczne i społeczne nie pozwalają praktykować je na wielką skalę. Dawniej chrześcijanin, na którego żyd nabył hazakę lub meropię, nie znajdował konkurentów między żydami, jeżeli chciał sprzedać swój majątek lub swoje płody, co musiało koniecznie na obniżenie cen wpływać, czyli inaczej: musiał swój dobytek na pół darmo sprzedawać, a znowu gdy chciał pożyczyć, nie mógł dostać pieniędzy tylko od tego, który sobie na niego wyrobił meropię, co potęgowało lichwę, dzisiaj komunikacyę i instytuta kredytowe obie te instytucye żydowskie podkopały, jeżeli nie umożebniły. Nie hazaka i meropie dzisiaj jest straszną dla chrześcijaństwa, ale potęga ich kapitałów i nieuczciwie prowadzony handel. Weźmy tylko nasze stosunki miejscowe krakowskie. Konkurencya kupców chrześcijańskich jest niepodobna z żydami. Po największej części a przynajmniej w wielkiej części u kupców żydowskich sprzedają się towary poniżej cen fabrycznych; handel taki gubi producenta, gubi konkurenta chrześcijańskiego; żydom na dobre wychodzi: ogłaszają bankructwo z swymi wierzycielami ugadzają się jak mogą i pod

inną firmą znowu ten sam handel dalej prowadzą. Kupiec żydowski przychodzi do dobrobytu, jeżeli 6 do 7 razy zbankrutował. Ugadza on się zwykle z producentem za 60%; sprzedawał niżej 20%, zyskuje na tej samej operacyi 20%, a jeżeli udało mu się sprzedać swój towar drożej, co nie rzadko bywało, tem więszy jego zysk przy każdem bankructwie. Jakież dopiero miał zyski, jeżeli sprzedawał towar podły, zalecając go jako najznakomitszy, przytem czyniąc kupującego mimochodem uważnym na różnicę w cenach u niego a u kupca chrześcijańskiego za jeden i ten sam towar. Niektórym tak dobrze ta spekulacya szła, że nie potrzebowali nawet bankrutować, aby się dorobić. Nie mówimy tego o wszystkich kupcach żydowskich; znamy wielu ludzi uczciwych i zacnych, niestety między swymi współwyznawcami są oni wyjątkami. Któż wstąpiwszy do restauracyi lub piwiarń ogródkowych nie był napastowany przez kramarzy żydowskich, ofiarujących mu cygarniczki, skarpetki, chustki do nosa, mydełka, zapałki i t. p.? wszystko to nabyć można za połowę, a czasem i poniżej połowy rzeczywistej wartości. Przedmioty te pochodzą po największej części ze sklepów, które w krótkim czasie zamierzają bankrutować. Taki handel musi przemysł chrześcijański rujnować i żydom ostatecznie panowanie nad światem oddać. Ten brak uczciwości i honoru przebija wszędzie. Niech małoletni potrzebuje 20—30 złr., żaden mu żyd nie pożyczy, chociażby wiedział, że pożyczający oddać może i chce; ten sam małoletni dostanie 1000 złr. od tego samego żyda, jeżeli mu da weksel, o którym żyd z pewnością wie, że jest sfałszowany; bez kahała ma on już meropię na niego na całe życie. Fałszerstwa zwykle nie insynuje ten, który pieniądze daje, ale zwykle jakiś drugi pośrednik, którego osoby i imienia zwykle sobie lichwiarz nie przypomina, gdy sprawa przypadkiem dostanie się przed sądem. Dodajmy do tego wielką solidarność między żydami, od której nawet nowo wychrzczeni nie są wolni, przez ciotki, stryjów, związani ze społecznością żydowską mianowicie jeżeli do ochrzczenia się powodem był interes a nie przekonanie. Ileż to rodzin przyjęło chrzest, aby utrzymać się przy szynkach, jeżeli naprzykład wyszła gdzie ustawa, że żydom szynków trzymać nie wolno! Neofita w ten sposób pozyskany dla chrześcijaństwa, prawie większą jeszcze pałał ku niemu nienawiścią, niżeli będąc żydem. Niebezpieczeństwo dla chrześcijaństwa i chrześcijan istnieje.

Przed kilku laty podaliśmy sprawozdanie z francuskiej książki: Le juif, le judaisme et la judaisation des peuples chrétiens. W niej francuski autor wypowiada obawy, jakie grożą francuskiej społeczności od żydów, gdzie ich jest i mniej co do liczby i mniej solidarnie z sobą związanych, stanowiąc przeważnie ludność napływową. Przed tem niebezpieczeństwem spo-

łeczność chrześcijańska ratować się może tylko solidarnością wszystkich i wielką uczciwością klasy kupieckiej chrześcijańskiéj.

Wydawca niniejszej broszury zdaje się upatrywać jedyny ratunek na to niebezpieczeństwo w ślubach cywilnych żydów z chrześcianami i narzeka bardzo, że żydzi we Francyi poleceniom cesarza Napoleona I, aby na trzy małżeństwa żydowskie przynajmniej jedno było mięszane — zadosyć nie uczynili. Polecenie takie, jeżeli było, bo tego nie wiemy, wymaga naprzód, aby tak żydzi jak chrześcianie zostali bezwyznaniowymi i jeszcze wtedy byłoby śmiesznością, boby przypuszczało, że trzeci żyd z kolei musi pokochać się w nieżydówce, a gwałtem najwyuzdańszego despotyzmu, gdyby ustawa koniecznie do tego zmuszała. My bezwyznaniowości nie chcemy ani u żydów ani u siebie; wyznanie nie tylko reguluje stosunek ludzi z Bogiem, ale także stosunki ludzi między ludźmi; formie religijnej odpowiadają formy społeczne.

Wędrówki Delegata. Szkice humorystyczno-obyczajowe przepisał Jordan. Serya pierwsza i druga. Warszawa nakładem Gebethnera i Wolfa.

Autor dotrzymał przyrzeczenia zapowiedzianego na okładce: jego szkice są naprawdę obyczajowe i humorystyczne, nawet figle i concepta nie nowe umie odpowiedzieć z werwą i humorem. Formą Wędrówki Delegata przypominają Wędrówki Oryginała Korzeniowskiego, tylko w Korzeniowskim jest więcej sentymentalności, w Jordanie satyry. Szczególnie pierwsza serya obrobiona jest z zamiłowaniem, druga jakkolwiek także ma swoją wartość literacką i obyczajową; pisana już na zamówienie księgarskie, nie ma w niej tego życia, co w pierwszej, tej swobody i naturalności, jaką w pierwszej części zniewala odrazu czytelnika. Zawsze w Jordanie, mniejsza czyto pseudonim, czy prawdziwe nazwisko zyskuje powieściopisarstwo utalentowanego pracownika, W dotychczasowej swojej pracy wystawia on tylko ujemne charaktery, ale w tych wadach się nie lubuje, nie idealizuje ich, przeciwnie, budzi do wielu wstręt, okrywa śmiesznością, na czytelnika działa on dodatnio, poprawić go powinien zawsze, rozśmieszy często.

Przedmiotem szkiców szczególne wady ludzkie na polskim zrodzone gruncie, a więc mające już typ i charakter narodowy. Wady te już raz, nie sto razy były obrabiane przez moralistów i satyryków, widzieliśmy je upersonifikowane w kreacyach powieściooisarzy i dramaturgów, nie dziwnem więc, że nie jedna kreacya naszego autora przypomina fizyognomią, giestami, a nawet sposobem wysłowienia się kreacye dawniejsze, nie jedna z jego figur na pierwszy rzut oka wydaje się,

że to dawny znajomy, jednakowoż czem dłużej się z nią prze staje, różnice między nią a dawną znajomością występują co raz silniej, a w końcu przekonywamy się, że to postać podobna, ale nie ta sama, że to indywidualność zupełnie inna.

O jednym panu Hanibalu z Blichtrowa nie możnaby tego powiedzieć, to już figura podług patronu wycięta, autor nie umiał jej nadać jednego oryginalnego rysu. Inaczej się już rzecz ma z p. Kalasantem z Sobkowic, tak dosadnie skreślonego egoizmu pozazdrościć można autorowi. Wyborny jest pan Doliwa z Kuflowa i cała ta pijacka szajka i ten Feluś Baryłkiewicz jeżdżący od komina do komina, pożądany w wielu miejscach a wszędzie gospodarujący jak u siebie w domu, bawi on swoich amfitryonów opowiadaniem śmieszności ich sąsiadów, częste opowiadania te są pełne humoru, szkodliwe nigdy. A ma Baryłkiewicz czasami koncepta dowcipne. Do pana Doliwy np. gdzie pijatyka jest na porządku dziennym przyjeżdża sekwestrator. Jak się go tu pozbyć a niedopuścić zajęcia. Naturalnie że wina i pochlebstwa nie żałowano, Feluś nawet przypomniał sobie że znał jego ojca, posesyonatu, karmazyna co się zowie, wszystko to bardzo ujmowało sekwestratora, który był synem mieszczańskim, ale od swojego odstąpić nie chciał, bo przełożony surowy, wymagał punktualności w służbie. „Jutro muszę być z powrotem w powiatowem mieście i wykazać się protokółami, że nie próżnowałem“ mówił sekwestrator do zgromadzonych, wszystkie prośby braci szlachty i odezwy do solidarnośbi szlacheckiej nie miały skutkować. Sekwestrator pił całował się z nimi, płakał, że w tym wypadku pomódz nie może. Tak zeszło mu jakoś do nocy. Kiedy pijatyka jeszcze trwa wpada furman sekwestratora do pokoju z płaczem i krzykiem: że konie ukradli. Konie to była najsłabsza strona sekwestratora, gotów był sobie odmówić objadu a koniki nakarmić, bata u niego nie wolno było użyć, nigdy kłusem koni nie puścił, aby się nie męczyły, słabość tę miał on tylko do koni swoich, jeżeli jechał obcemi to ich nie żałował bynajmniej. Wiadomość o skradzeniu koni jak grom uderzyła w sekwestratora, powstał ogromny hałas, sekwestrator furmana zbił na kwaśne jabłko, szlachta pijana żałowała skradzionego, radziła coby robić należało. Gdy takie zamięszanie, Feluś każe wyprowadzić dwa najlepsze konie ze stajni gospodarskiej radzi sekwestratorowi siąść na jednego, na drugim niech jedzie furman, może będzie można złodziejów dognać, pruska granica tylko o dwie mile a złodzieje zwykle tam z kradzionymi końmi się udają. Rada była jedyna. Furman i pan jego puszczają się konno za złodziejami. Drogi im nieubywało, bo tu ciemno, oczy wykól, do tego deszczyk gęsty kropił bez przerwy. Jezdcy koni nie żałowali, sekwestrator harapem podganiał swojego i na furmana co chwila woła, aby nieszczędził. Świtać

już zaczynało, a pogoń daleko jeszcze była od granicy. Ale pozwólmy niechaj autor sam koniec opowiada:

W tem spragniony wierzchowiec Frąsia, na widok wody w rowie, zarżał...

— Wielmożny panie... takuchny głos jak naszego biczowego kasztanka.

— Bodajeś przepadł, gamoniu! — odrzekł gniewnie sekwestrator — jeszcze mi będziesz jego przypominał!

Po chwili, na widok kupki siana, odewał się znów wygłodniały wierzchowiec sekwestratora.

— Wielmożny paniczyku!... ale takuchny głos jak naszego licowego.

— A podajeś zaniemiał, gapiu! — krzyknął zniecierpliwiony sekwestrator, któremu wspomnienie licowego rozkrwawiało serce doreszty; — i zaciąwszy biczem szkapę, znów go w lekki truchcik wprowadził.

— Panoczku, ja już nie mogę zdążyć... mój szkapa ustał do dna i na prawą nogę upada.

— Wal go co się zmieści, a ruszaj.

— Ale on się może schwacić i zdechnie.

— A to niech zdycha... to nie mój. Widzisz go jaki miłosierny!

W samej rzeczy wierzchowiec chłopaka kulał już porządnie, a obydwom koniom boki tak zapadły, tak były zmarnowane, zbite, zziajane, że litość brała patrzyć.

Dzień też robić się już zaczął na dobre.

Nagle chłopak spiął się na strzemionach, żegnając znakiem krzyża świętego.

— Co tobie gapiu? spytał sekwestrator. Będziesz tu może pacierze odmawiał?

— Wielmożny panie... dopuszczenie Boże, czy co!...

— No cóż znów?

— A dyć wielmożnego pana koń, to ma takuchny konopiaty ogon i pręgę bez grzbiet, jak nasz licowy.

— Co ty bajasz?

— A i ta łysina taka sama.

— Bój się Boga! — krzyknął sekwestrator — i twój szkapa ma taką łysinę jak nasz biczowy... Wykręć-no się, ośle... Jezus Marya! i taki sam szczurzy ogonek!... To mój koń!

— I to nasz koń! — zawołał chłopak.

Stanęli obaj jak wryci, wpatrując się w swe własne konie, na których mniemanej zguby szukali.

Trzeba bowiem wiedzieć, że cała scena skradzenia koni była prostym figlem Baryłkiewicza, który, obiecawszy panu Doliwie tak zatrudnić sekwestratora, iżby ten w nocy protokółu zajęcia sporządzić nie mógł, wpadł na myśl szatańską

wyprowadzenia koni ze stajni przed nosem chrapiącego po wódce parobka, a narobiwszy później hałasu o złodzieju, podstawił sekwestratorowi do pogoni własne jego konie.

— Boże! moje szkapiątka... co się to z nich porobiło! — wołał, wychodząc z osłupienia sekwestrator. Cóż to za licho się stało?... Może się tobie, ośle, przyśniło, że ci konie skradli narobiłeś hałasu.

— Ale wielmożny panie, przecie dokumentnie widziałem.

— Coś widział?

— No... że koni nie było.

— Jak to, czyś wstawał do nich w nocy?

— Nie wstawałem, bo to wej zaraz z północka się zrobiło.

— Więc kiedyś gamoniu nie wstawał, zkądżeś się dowiedział że skradli.

— A no ktoś mi we śpiku krzyknął nad uchem, że kasztany skradzione — ja się też zerwałem na równe nogi, zaświeciłem latarkę... patrzę... koni niema.

— Cóż dalej?

— A no dalej, jak widzę że niema koni, tak też zacząłem krzyczeć że koni nie ma.

— Ale cóż dalej?

— A no, wielmożny pan przecie wie najlepiej co dalej, bo dalibóg wielmożny pan na mnie ręki żałował.

— Ale dlaczego-żeś gapiu krzyczał, że konie skradli?

— A no, bo koni nie było.

— A zkądże się, gamoniu, tu wzięły?

— A no... to już jest chyba sprawa złego ducha... W imię Ojca i Syna!... Wielmożny panie, ja już przy tych koniach nie będę służył, bo to nieczyste stworzenia.

— Ja ci tu dam nieczyste stworzenia! moje kasztanki nieczyste stworzenia! Tylko ty mi się tu rusz od koni! Przecież trzeba teraz coś zrobić z niemi, bo bydlęta jak Bóg Bogiem pozdychają.

— A no, trza się wrócić nazad na piechotę i konie za sobą ciągnąć.

— A gdzież jesteśmy!... ja tych dróg nie znam wcale.

— Wielmożny panie, a dyć my z granicy kuflewskiej nie wyjechali; ot tamte krzywe topole za górką...

— Co ty bajesz? myśmy może już w Prusach... co najmniej z pięć mil zrobiliśmy.

— Wielmożny panie... ja już nie wiem... ja za służbę dziękuję... to jakiś czart szkapami kręcił... Przecie to tam za groblą Sobkowice... a to tu za górką kuflewski dwór.

Sekwestrator poznał okolicę... cichaczem przeżegnał się, także nawpół ze strachem, i w milczeniu poprowadzili za sobą ledwie wlokące się konie do Kuflewa.

Za powrotem do Kuflewa dzień już był wielki o protokole nie można było myśleć, trzeba powracać do miasta — szlachcić zyskał kilka dni zwłoki, nie uratowało go to od zguby ale pocieszać się mógł jakiś czas ulubionym polskim frazesem: jakoś to będzie a awantura sekwestratorska także mu humoru nie psuła.

W seryi drugiej wybornie także skreślony jest adwokat starej daty, kręt co się zowie, kogo może namawia do procesowania się, dawny jego szkolny kolega, u którego bawi, usłuchawszy jego rady dziesiątki miał procesów „poczekaj kochaneczku nasmaruję ja mu rachuneczek“ mawiał do przyjaciela-Skończyło się że przyjaciel poszedł z torbami. Wabik karcz. marz należy także do bardzo małych kreacyj. Kończymy nasze sprawozdanie o tej książce podziękowaniem autorowi za już i prośbę o jeszcze.

L. Powidaj.

Kazimierz Jarochowski. — *Dzieje panowania Augusta II. od wstąpienia na ziemię polską Karola XII. aż do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego (1703—1704)*, — Poznań. 1874 r. 644 str. in 8vo majori.

Poważna historyczna praca, o której dzisiaj donieść chcemy czytelnikom *Przeglądu*, jest dalszym ciągiem dawno już rozpoczętych przez szanownego autora *Dziejów Augusta II.* — Ośmnaście lat temu wyszła część ich pierwsza, obejmująca początkowych lat pięć tego panowania; dzisiaj, jak widzimy, przybywa nam historya dalszych lat dwóch przeszło. Kiedy nasz historyk zabierał się do swego dzieła już wybór przedmiotu poczytywano mu za odwagę, tak chwalić jeszcze siebie ciągle i świetnych stron tylko przeszłości naszej szukać potrzebowaliśmy wtenczas. On sam pisał w przedmowie swojej, że „patryotyczne pióro dotychczasowych historyków polskich, omijało ten tragiczny ustęp przeszłości naszej, pełen ciemnoty i zgrozy wiek Sasów, jak zabobonny wieśniak mogiłę samobójcy o północnej godzinie.“ Pan Jarochowski już wówczas widział w tej epoce ścisły związek z obecnością naszą, i jakkolwiek dla uczuć jego mogła ona i musiała być bolesną, uznał, że była najbardziej pouczającą, i zakładając sobie zbadanie przyczyn naszego upadku, za wyłączny ją przedmiot swych poszukiwań obrał. Jeżeli w ciągu tych lat kilkunastu, które nas dzielą od ukazania się pierwszej jego książki, postąpiliśmy o tyle, że nie lękamy się szukać w przeszłości źródeł naszej niedoli, i taki wybór przedmiotu już nie wymaga odwagi, jeżeli z rosnącą ciągle gorliwością rozpatrując się w ostatnich przedrozbioro-

wych czasach, zdobywamy się nawet na męztwo obwiniania przedewszystkiem siebie samych, to niemniej przeto wielka wytrwałość na raz obranej drodze, jakiej niezbity dowód w nowej swej pracy złożył szanowny autor, wszelkiego godną jest uznania, tem bardziej, że ona to zawsze do arcytrudnych naturom naszym cnót należała. Niezaprzeczony pisarski jego talent mogły inne, milsze i wdzięczniejsze nęcić przedmioty, liczne i poważne a zupełnie różnego rodzaju zatrudnienia, jakim się prócz tego oddaje, nie jednemu na jego miejscu nierazby pióro wytrąciły z ręki; on pomimo to wszystko nie wyrzekł się swojego smutnego i bolesnego zadania, i to przez lat blisko dwadzieścia. Jakżeby tego nie uszanować i takiej nie przyklasnąć pracy! Bliższe znowu w poważnej książce rozpatrzenie się pokazuje nam, jak żmudnych zachodów jest ona owocem, i widząc, że się na nią prócz książek i źródeł drukowanych, składały przedewszystkiem skrzętnie przezierane archiwa państwa w Dreznie, Stockholmie i Kopenhadze, oraz rozmaite rękopisma polskie, w archiwum grodzkiem poznańskiem i w bibliotece Rogalińskiej przechowane — nie dziwimy się, że ta praca przy innych zatrudnieniach tyle lat szanownemu autorowi zająć musiała.

Sposób, w jaki swej pracy dokonał, autor sam we wstępie określa. „Historyk tej epoki — powiada on — znajduje się w położeniu wędrowca zbłąkanego w ciemnym lesie wśród nocnej zawiei. Biada mu, jeżeli się puści przed blaskiem jutrzenki jakąkolwiek drogą, jeżeli błędny ognik weźmie za przewodnie światło, jeżeli w fantastycznych kształtach nocnych cieni dopatrzy się łatwowiernie bezpieczne schronienie zapowiadającej chaty leśnika. Pozostaje mu tylko odczekać z rezygnacyą świtu, by przy pewnem świetle białego dnia przekonać się o mylności dróg, jakie mu nocna niecierpliwość raz po raz wskazywała. W podobnem, powtarzamy, położeniu znajduje się historyk opowiadanej przez nas epoki Biały dzień archiwalnej prawdy, światło bijące z fizyonomii ludzi i wypadków przekona go, jakby się mylił, gdyby mglistą szarugę chciał sobie rozwidnić błędnemi ognikami jakichbądź, choćby najprawdziwszych na pozór doktryn, choćby najpoważniejszą tradycyą uświęconych wyobrażeń o ludziach, czynach i wydarzeniach. Historykowi owej epoki pozostaje, jak naocznym świadkom wstrząśnień natury i dopuszczeń bożych, jak Tucydydesowi skreślającemu obraz ateńskiej dżumy, jak Pliniuszowi opisującemu wybuch Wezuwiusza i ostatnie dni Pompei, rola *opowiadacza.* Serca i rozumu narodowego nie ma z kim zespolić. Każda doktryna, każda myśl, każdy człowiek, każdy wypadek okaże się niestety przy bliższem opatrzeniu w charakterze nie światła, lecz błędnego ognika.“ Stosownie do tego określenia autor szukał mozolnie białego, jak powiada, dnia archiwalnej prawdy i ze

zdobytą w tych poszukiwaniach znajomością wypadków, często drobnych nawet, opowiada je kolejno, nieraz dzień po dniu, z wielkim spokojem, nie wykluczającym wcale życia, i w tem jest właśnie tego dzieła zasługa i wielka jego wyższość nad pierwszą, przed kilkunastu latami ogłoszoną częścią tej pracy; ale w tem zarazem, że się na roli opowiadacza ograniczył, że na smutny przebieg wypadków zapatrywał się jak na ateńską dżumę lub zniszczenie Pompei, a nie poszukał prawdziwego, ciągle bijącego ich źródła, leży ujemna strona tej pełnej wysokich zalet pracy. Zastanowimy się nad nią przez chwilę.

Rozmaite są rodzaje historycznego, jeżeli tak powiedzieć można, kunsztu. Macaulay w jednym ze sławnych swoich *Essays* powiada, że dziejopis jak pejzażysta powinien na niektóre punkta w swoim obrazie całe zgromadzić światło, a inne w półcieniu lub w dalekiem zostawić przezroczu, i że na tem całe jego zależy mistrzowstwo. Być może, iż to sposób niebezpieczny, i w mniej biegłem od angielskiego historyka ręku, zamiast uwydatniać i rozświecać prawdę, może ją nieraz przyćmić i zgłuszyć, a rysom przeszłości nadać kształty karykatury; niemniej przeto zaprzeczyć się nie da, że tak pojmujący swą sztukę pisarz staje się dla czytelnika jakby tą z gwiazdą nad głową postacią Grottgera, co to ująwszy za rękę młodego artystę, stawi go kolejno przed całym szeregiem wielkich, wykończonych obrazów, połączonych wyższą ideą, a pozostawiających w duszy niezatracalne wrażenie, obudzających mnóstwo uczuć i myśli, uczących i podnoszących zarazem. Autor „Dziejów Augusta II od 1702 do 1704 r." inaczej rozumiał swoje zadanie; on wyraźnie postanowił, z zatloną przy archiwalnej pracy pochodnią, oprowadzić czytelnika po wszystkich o ile podobna zakątkach swojej widowni, strzegąc się wszędzie mocnych świateł i cieniów; zyskała może na tem wierność opowiadania, osłabł, przyznajmy, jego urok. Nie robimy z tego zarzutu naszemu historykowi, zaznaczamy tylko jego metodę, jakby drogę, po której opowiadanie swoje prowadzi; odnosi się to zaś przedewszystkiem do pierwszych rozdziałów dzieła, gdzie uwaga autora na kilka punktów jednocześnie zwrócona, każe je czytelnikowi zbyt często wspólnie oglądać, a pilnując się chronologicznego przytem porządku, nieraz jednego nie dokończywszy obrazu, zwraca się ku drugiemu, aby później znowu raz i drugi do pierwszego powrócić, nie dając temu czytelnikowi dostatecznego wytchnienia, aby się całość w pamięci jego złożyła. Dodajmy wszakże, iż sam rodzaj przedmiotu, zmienność usposobień szlacheckich, nieraz drobiazgowemi wywoływana przyczynami, a stanowiąca jakby tło odgrywającego się dramatu, doradzała niejako tę metodę. W ostatnich rozdziałach, gdy się akcya przyspiesza, staje się i pendzel naszego autora śmielszym, mocniejszym i jakby bardziej obrazowym.

Powiedziawszy we wstępie, że praca jego jest dalszym ciągiem dawniej ogłoszonej, autor uważa uprzednie wypadki za dostatecznie czytelnikowi znane, i odrazu prawie rozpoczyna swe opowiadanie, poświęciwszy tylko pierwszych stron trzydzieści bliższemu zapoznaniu się z głównemi postaciami, mającemi wystąpić na pole działania. Naczelne w szeregu ich miejsce zajmuje i słusznie „siedmioletni na ziemi polskiej gość a tak pamiętnie na niej gospodarujący“ Karol XII; za nim idzie całe jego otoczenie, osiwieli w boju jenerałowie, sześćdziesięcioletni kanclerz Piper z sekretarzem Hermelinem itd.; nie brak i wesołych towarzyszy młodzieńczych figlów króla i awanturniczych jego wypraw i przygód: szwagra, księcia Fryderyka holsztyńsko-gottorpskiego, koniuszego Harda i nieodstępnego pazia Klinkowströma. Widzimy dalej owego żołnierza szwedzkiego, najkarniejszego wówczas, najlepiej wyćwiczonego na świecie, który postawą nie imponował jednak; „ludzie mizerni — jak mówił naoczny świadek Otwinowski — wpół nadzy, na lichych szkapach,“ ale którzy, według słów autora, robili na współczesnych takie wrażenie, jak w pierwszych tego wieku latach na wielkopolskiej ludności zwycięzcy z pod Austerlitz i Jeny. Po takiem przejrzeniu szwedzkiego obozu przychodzi kolej na polskie dygnitarstwo, i tu spotykamy najprzód główniejszych nieprzyjaciół Augusta II, zacząwszy od Sapiehów i Radziejowskiego, do Leszczyńskich, Sobieskich, Hieronima Lubomirskiego i wielu podrzędniejszych; dalej między przyjaciółmi znowu królewskimi, niecierpianego przez szlachtę Przebendowskiego, wojewodę Gałeckiego, Załuskiego biskupa, a wkrótce wielkiego kanclerza, podkanclerzego lit. Szczukę; w. hetman kor. Jabłonowski w tej chwili dogorywa; z polnych: Sieniawski trzyma się na uboczu, litewski Wiśniowiecki gotów ucierać się ze Szwedem, ale nie jako z najezdnikiem, lecz tylko jako ze sprzymierzeńcem i stronnikiem Sapiehów.

„Cała prawie Polska — mówi w końcu autor — gotową była patrzeć bez żalu w tej nieszczęsnej chwili na pogrom Sasów i Augusta, tu i owdzie, życzyć go sobie nawet stanowczo... tłumy szlachty szeregowały się według okolic około wojewodów, kasztelanów i osobistości wpływowych, jako około naturalnych filarów, a z tych żaden prawie dla Augusta nie był pewnym i bezpiecznym.“ Wojsko koronne było zupełnie dla sprawy królewskiej zobojętniałe, a chłopska pożoga szalała na Ukrainie, gdzie bunt przez Paleja i Samusia rozpłomieniony był właśnie w tej chwili zwycięzkim.

Właściwe opowiadanie rozpoczyna się od chwili, gdy Karol XII doczekawszy się nareszcie niecierpliwie wyglądanej poprawy dróg, w początku marca 1702 r. zwija swój obóz pod Bilewiczami i puszcza się w głąb Polski, — gdzie w sapieżyńskich stronnikach znajduje pierwszych adherentów. Już wtenczas

nosi się on z myślą detronizacyi Augusta II, którą wkrótce w urzędowym wypowiada manifeście, obrachowanym zręcznie na namiętności i wyobrażenia szlacheckie; nazywając Augusta już tylko elektorem saskim, zarzuca mu nieprawność elekcyi, jemu, Sasom i nieprzyjaciołom Sapiehów wszystkie klęski kraju przypisuje, a oddzielając stanowczo interes króla od interesu Rzpltej, tej ostatniej stateczną swą przyjaźń zapewnia, powołując się na płynącą w jego żyłach krew jagiellońską. — Szukający naturalnie obrony August, odzywa się ze swej strony do narodu, stara się uzyskać poparcia Rzpltej, która znowu żądna przedewszystkiém pokoju, wyznacza delegatów dla układania się z królem szwedzkim. Bolesny zaprawdę obraz! Walczący z sobą cioteczni ukoronowani bracia, kilka razy kolejno zajmują Warszawę to Kraków; gdziekolwiek stanie król August, gromadzi około siebie dygnitarzy Rzpltej, zwołuje zjazdy i rady: w Warszawie, Sandomierzu, Toruniu, Malborgu; wydają tam uchwały, rozsyłają uniwersały, wici zwołujące pospolite ruszenia województw; ale te gromadzą się niechętnie, nieraz przesejmikowawszy czas jakiś, rozjeżdżają się do domów; albo jak np. wielkopolskie „przepuściwszy najspokojniej przychodzące królowi szwedzkiemu posiłki, i postępując za niemi przez czas jakiś o kilka dni marszu, oświadczają uroczystym aktem, że *„w skutek złośliwej potęgi losów* nie spotkawszy ani króla Imci, ani Małopolski, ani wojsk koronnych, limitują się aż do nowego zjazdu“. — Gdziekolwiek znowu zatrzyma się król szwedzki, zbierają się około niego stronnicy; wybierani ciągle delegaci starają się z nim zawiązać rokowania. — Gdy przychodzi do bitwy kliszowskiej, ta pomimo przewagi sił augustowych zamienia się dla niego w klęskę, bo hetman w. kor. Lubomirski, wykonawszy sam ze swem wojskiem świetną szarżę, dla uratowania wojskowego honoru, cofa się z placu boju w porządku, nie ścigany zresztą przez Szwedów, a to dla tego, „aby nie dopomagać prawdopodobnemu w razie udziału Polski zwycięztwu Augusta, i grożącemu tuż za niém *absoluto dominio*“! Nie wiele potém Szwedzi zajmują Kraków i obraca się w perzynę królewski zamek na Wawelu. Prywatne sprawy, namiętności, urazy, główną wszędzie grają rolę; nigdzie uczucia obowiązku; osobistemu, rodowemu, powiatowemu wreszcie lub wojewódzkiemu interesowi poświęcany wszędzie interes całej ojczyzny. — Wobec zdzierstw i grabieży Stenbocków, Klas-Bondych i im podobnych, wobec głośnych żalów na gwałty Sasów, wobec spustoszeń na Ukrainie, gdzie dla poskromienia buntu, dygnitarze nasi myślą aż o sprowadzeniu Tatarów, bawią się i ucztują wesoło, tak dwór Augusta jak i jego przeciwnicy. Wzywany przez Szwedów prymas, aby ogłosił detronizacyą, trzyma się długo na uboczu, wyzyskuje dla siebie położenie stron obu, stara się stać się arbitrem losów narodo-

wych. Wśród kulawo i ułomnie według wyrażenia autora prowadzonej wojny, nawiązują się co chwila i zrywają znowu stosunki, „prowadzi się istna praca Danaid, korespondencya i układy o pokój różnych dygnitarzy polskich z królem szwedzkim“ nie ustaje na chwilę gra *interesów partykularnych.* — Wśród ciągłego kalejdoskopu zmiennych usposobień szlacheckich, chwilowo jedna osobistość wpływowa w prowincyi nabiera wyjątkowego znaczenia; tak staje się z Rafałem Leszczyńskim. Augustowi chodzi jak zawsze o zjednoczenie około siebie Rzpltej: tego bez zjednania Wielkopolski osiągnąć nie można, a w Wielkopolsce najpopularniejszą postacią jest Leszczyński, w blizkich stosunkach zostający z Prymasem i Sobieskimi; on jeden to Wielkopolska; bardziej też o niego w otoczeniu królewskiem się troszczą niż o Karola XII, który złamawszy nogę, zimował wtenczas na południu Polski, o którego śmierci nawet rozchodziły się wieści. — Leszczyński na początku 1703 r. umiera a prymas rozpoczyna z Augustem wojnę na manifesty i uniwersały; odbywają się zjazdy i rady: królewska w Malborgu, prymasowska w Warszawie. — Przy rozpoczęciu na nowo kroków wojennych, Karol oświadcza delegatom, że interesa Polski i Szwecyi są wspólne, bo wspólnym ich nieprzyjacielem jest Moskwa, ale tego nikt wtenczas nie rozumié. Król szwedzki pod Pułtuskiem znosi jazdę, w Toruniu oblega resztę saskiej piechoty. Tymczasem dzięki zabiegom królewskim zbiera się sejm w Lublinie, pierwsza od rozpoczęcia wojny reprezentacya całej Rzpltej. Autor nasz rozwodzi się szeroko nad możliwem tego sejmu znaczeniem, i przebieg jego opisuje szczegółowo. Wypadają uchwały na pozór najpomyślniejsze dla Augusta; Rzplta oświadcza się za nim, nakazuje pospolite ruszenie korony i W. Ks. Litewskiego przeciw Szwedom, aukcyą wojska, przeznacza na to fundusze, przyzwala na ościenne alianse, a wszystkim stronnikom szwedzkim nie szczędzi piorunów. Wśród roznamiętnienia ogólnego, odważny Jeruzalski zaledwo dla Sapiehów sześcioniedzielną do powrotu na łono Rzpltej wyjednywa zwłokę. Ale prymas na sejmie śmiertelnie obrażonym został, wyrzuceni posłowie wielkopolscy krzywdę swą odnoszą do województw, ferowany na Sapiehów wyrok rozjątrza całe ich stronnictwo; korzysta z tych wszystkich żywiołów rozstroju Szwed, nie szczędzi zabiegów i pieniędzy, i zaraz po rozjechaniu się sejmujących, powstaje w Wielkopolsce pod laską starosty pyzdrskiego Bronisza konfederacya „dla obrony, jak wyrażano się, osób dotkniętych obelgą lubelską“. Wychodzi manifest Sapiehów, i wszystko wraca do dawnego zamętu. — Po kilku miesiącach, gdy August żąda, od przydanej do jego boku rady, zatwierdzenia zawartego z Carem Piotrem traktatu, odstępują go w Jaworowie dygnitarze koronni; przychodzi tylko do tajnego przyzwolenia delegatów litewskich na wyłączny trak-

tat Litwy z Rosyą! Tymczasem Karol dobywa Torunia; wypadek ten uderza umysły szlacheckie, mnożą się zaraz akcesa do konfederacyi wielkopolskiej; całe województwa przystępują do niej, nareszcie i wojsko koronne; zamienia się ona na *generalną konfederacyą* całego narodu, a prymas wzywając Radę jej do Warszawy zaleca wszystkim, aby do niej, dla dobra Rzpltej przystępowali. Pozostaje tym sposobem naprzeciw władzy królewskiej i prawomocnych uchwał lubelskiego sejmu, nowy jakoby majestat — prawdziwe jak wyrażono się *altare contra altare*. W zdobytym Toruniu Karol XII oświadczył, że od detronizacyi nie odstąpi; prymas zwołując konfederacyą do Warszawy zapowiedział, że mają być wybrani delegaci dla rokowania z najjaśniejszym królem szwedzkim, bo ten postanowił zawrzeć nareszcie traktat z Rzpltą. I odbywa się zjazd uroczyście; wśród patetycznych mów o niedoli powszechnej i o dobru Ojczyzny, wśród pochwał dla szwedzkiego króla, łaknącej pokoju szlachcie odczytują listy hrabiny Königsmark i Vitzthuma dawnych pełnomocników Augusta, komunikują jej rozmaite na całość Rzpltej godzące jego projekta. Komisarz szwedzki Arwid Horn oświadcza, że detronizacya Augusta jest pierwszym i niezbędnym warunkiem traktowania o pokój. Wśród wywołanego ogólnego oburzenia na Sasa, wśród gwałtownej żądzy pokoju, konfederacya ogłasza detronizacyą (13 lutego 1704 r.) i naród od posłuszeństwa Augustowi uwalnia. Tłumowi szlacheckiemu zdawało się, że ten akt zamknie już wszystko; że z nim rozpocznie się znowu era pokoju i upragnionego wytchnienia; — lecz była ona bardzo jeszcze daleką. Gwałty i kontrybucye szwedzkie nie ustawały, a Karol chcąc dzieła swego dokonać, domagał się nowej elekcyi. Miał on gotowego w swej myśli kandydata, Jakuba Sobieskiego, syna nieśmiertelnego Jana III, dla którego rycerski monarcha głęboką w duszy cześć nosił; królewiczowi polskiemu, bo tak go nazywano, wydał był nawet od siebie tak zwaną *assekuracyą*, zapewniającą mu wszelkie w ubieganiu się o koronę poparcie. Książę Jakub liczył wielu zwłaszcza w Wielkopolsce stronników i elekcya jego zdawała się rzeczą zupełnie prawdopodobną, niemal niezawodną. Świadomy wszystkiego August II, w chwili stanowczej dwóch braci Sobieskich porwać i pod strażą do Saksonii odwieźć kazał. Wiadomość o tém skrzyżowała plany Karola i całego stronnictwa królewiczów, ale też wywołała w narodzie oburzenie; nie jeden z wiernych dotychczas Augustowi dygnitarzy polskich opuścił go; pozostał on na chwilę odosobniony, z Sasami tylko swoimi; ale rąk nie opuścił. Na akt detronizacyi odpowiedział manifestem do narodu, uniwersały powołujące się na uchwały sejmu lubelskiego rozchodziły się z jego kancelaryi, wszyscy nieprzyjaciele Sapiehów stali po jego stronie, a nie ustające gwałty szwedzkie i trwająca na

wielu miejscach partyzantka podkopywały wziętość warszawskiej konfederacyi. Przywódzcy jej oglądali się za nowym kandydatem do tronu, szukał go i Karol XII. Gdy pozostały na swobodzie brat księcia Jakuba Aleksander, żadnym sposobem do wystąpienia jako kandydat namówić się nie dał; padł nareszcie wybór króla na młodego wojewodę poznańskiego, Stanisława Leszczyńskiego, którego przy pierwszém spotkaniu bardziej nad innych upodobał. Myśląc, że po uwolnieniu Sobieskich będzie mógł księciu Jakubowi oddać koronę, którą za przynależną jemu uważał, i pod tym jedynie warunkiem, zgodził się Stanisław na przyjęcie tego ciężaru, i po długich zabiegach Szwedów, pomimo całej niechęci prymasa, który nawet na pole elekcyjne nie przybył, po wyczerpaniu wszystkich zwłok możliwych, gdy obecny między wyborcami Horn biegał pomiędzy szlachtą i wołał po łacinie: *extrudite istos qui contradicunt* (wyrzućcie tych co protestują), królem nareszcie obrany i przez biskupa Święcickiego ogłoszony został. Kulawy ten i nieszczęśliwy, jak go autor nazywa, wypadek, zamyka jego 600 stronic obejmujące opowiadanie.

Żałujemy szczerze, że niepodobna nam było zatrzymać się z nim nieraz, powtórzyć jego słowami przytoczony fakt, lub rys charakterystyczny; gdybyśmy tej pokusie ulegli, łatwo ta krótka o dziele wzmianka, zmienićby się mogła w książkę lub bardzo przynajmniej obszerny artykuł. Czytając to szczegółowe, a z wielką trzeźwością stylu ułożone opowiadanie, czuć, że autor ziarno swych wiadomości z pełnej sypie miary, że wie daleko więcej nad to co powiedział, że na poparcie każdego niemal opowiedzianego faktu znalazłby jeszcze w pamięci swojej, nie małą liczbę podobnych, co wielką jest dzieła zaletą. Bezstronnym też jest zazwyczaj. Jakkolwiek radby coś dodatniego o swoich powiedzieć, nie waha się przecież wypisać słów następujących: „Smutna i bolesna bez wątpienia, ale nie mniej prawdziwa rzecz: w owej epoce tak nieszczęsnej i upokarzającej, a przecież tak nieczułej i obojętnej na swe nieszczęścia, przedstawia jedynie obóz szwedzki, obóz rozłożonego w kraju najezdnika, obraz godny wojennego obozu Prawdziwych wojowników i rozumiejących położenie rzeczy mężów stanu“. W inném znowu miejscu, opowiadając bombardowanie Torunia, dodaje: „W smutnym owym, ponurym, pozbawionym nie mniej czynów jak charakterów czasie, stanowią ostatnie chwile obrony tego miasta pocieszającą i dodatnią stronę. Jakże bolesna, że karty jej dziejowej nie wypełniają Polacy, lecz cudzoziemcy na polskiej ziemi! Jenerałowie Röbel i Canitz, pierwszy naczelnik całej siły saskiej, drugi plackomendant Torunia, dają własnemi osobami jak najlepszy przykład i. t. d.

Bardzo ciekawą stronę książki stanowią też zabiegi dyplomatyczne, rokowania, projekta podawane i przeprowadzane

przez posłów zagranicznych, a często i przez podrzędnych agentów, prawdziwych nieraz awanturników politycznych, jak Patkul, Görtz, nareszcie Krystyn Müller, autor projektu podziału Polski między Szwecyą, Brandenburgią, Augusta i cara Piotra, projektu odrzuconego przez Karola XII. w obozie pod Toruniem, ale którym się zajmowano w Berlinie i na dworze Augusta II. Szkoda że nowych tu często szczegółów nie poparł szanowny autor dokumentami które wskazał tylko; wydrukowane *in extenso* na końcu dzieła, dodałyby mu tylko powagi.

Sprzeczne sobie interesa postronnych mocarstw w Polsce ocenia też autor wybornie, a ustęp w którym opisuje walki podziemne, jakie między sobą staczały w Polsce Austrya i Francya, zcharakteryzowanie u nas polityki francuzkiej, „dla której Polska i jej magnaci o tyle tylko mieli wartość o ile pierwsza była warsztatem a drudzy narzędziami dywersyjnej wojny na Węgrzech" należy do najtrafniejszych w całem dziele. Taką była w istocie ta polityka, nie tylko wtenczas, ale jeszcze przez cały wiek następny, co teraz zaledwo przezierać zaczynamy.

Z prawdziwą przyjemnością podnosząc liczne zalety jakie cechują poważną pracę p. Jarochowskiego, musimy z kolei wskazać to, co według nas jest dzieła jego niedostatkiem. Autor nasz przed kilkunastu latami występujący, jako bezwarunkowy prawie wielbiciel naszej rządowej XVII wieku ustawy, oświadczający, „że cokolwiek jej zarzucić można, jest przecież i pozostanie ona zawsze wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowej dojrzałości i naszego rozumu politycznego," dzisiaj już wprawdzie z żadnem podobnem nie odzywa się słowem; znajdujemy owszem gdzieniegdzie, jakby mimochodem rzucone słówko o chorym i pruchniejącym organizmie Rzplitej, ale jeszcze nigdzie zdobyć się on nie mógł na rzetelne, scisłe ocenienie tej naszej ustawy, a bez tego sąd o opisywanej przez niego epoce nie mógł być pełnym. Rzecz dziwna! bystry postrzegacz a skrzętny dokumentów i świadectw spółczesnych szperacz, zebrał poważną i zdaje się aż nadto dostateczną ilość aktów do procesu, a wyroku, który przezierając je, co chwila zdaje się cisnąćby się powinien pod jego pióro, wydać nie śmiał czy nie chciał. Zawsze jeszcze ówczesna bojaźń szlachecka przed *absolutum dominium*, powstrzymuje go od sądu. Nie znajdując nie tylko żadnego żywiołu, ale nawet żadnego w tym czasie człowieka, z którymby się mógł sprzymierzyć moralnie, do któregoby się przywiązał rozumem i sercem, zaliczył autor tamtą epokę do chwil spotykanych jak powiada u wszystkich narodów, w „których duch z nich jakoby uleciał, by czekając szczęśliwej możności ponownego zstąpienia, unosić się tymczasem nad nimi, jak duch Boży w epoce chaosu nad ziemskim padołem," i nie chciał zapytać dziejów, nie chciał nawet zapytać tych samych, przez siebie zgromadzonych materyałów, czego chaos przezeń opisywany był koniecznem nieuni-

knionem następstwem? prawdziwym wypływem i owocem. Kozłem ofiarnym dla niego, główną i jakby jedyną wszystkiego złego przyczyną, jest zawsze jeszcze ten król cudzoziemiec. „Że zgroźliwe (sic), powiada, szlachcie *dominium absolutum* nie było czczem widmem straszącem poziomy egoizm i ubogą fantazyą szlachecką, najlepszym dowodem: srożąca się w Polsce wojna, postronne, wstrętne Polsce alianse, bunt kozacki na Rusi — wszystko rezultaty usiłowań króla Augusta, wszystko klęski i nieszczęścia, którychby rządy toczące się normalnym biegiem choćby najkulawszych praw i ustaw Rzplitej, przenigdy nie były sprowadziły! „Daruje szanowny autor, ale jak powyższe scharakteryzowanie epoki, pomimo pięknej swej formy, nie jest historycznem, tak proste twierdzenie *przenigdy* nie jest żadnym jeszcze dowodem; wszyscy zaś niestety aż nadto dobrze wiemy do czego nas doprowadził normalny bieg praw i ustaw Rzplitej. Nie myślimy wcale występować w obronie wszystkich postępków Augusta, ale trudno zaprzeczyć, że rządzić krajem bez reformy instytucyj było niepodobna; że wszyscy najwięksi nasi elekcyjni królowie, czuli tego potrzebę i o to się starali; a znowu, że nie trzeba było wcale przeciw całości państwa konspirować, żeby zawziętą wywołać opozycyą; wystarczało na to samo piastowanie władzy. Od wybranego najlegalniej króla Michała, którego szlachta nazywała ulubieńcem swoim, domagano się po kilku latach abdykacyi, a wiemy jaką goryczą zatrute były dni bohaterskiego Jana III, który przecież był kością kości naszych, a niespożytą sławą Ojczyznę opromienił. Normalny bieg praw i ustaw naszych rodził koła wojskowe i niezliczone konfederacye, uniemożebniał wszelką rządową czynność, pogrążał kraj w zupełnej niemocy.

Autor na wymownych dwóch stronicach porównywa pierwszy najazd szwedzki za Jana Kazimierza z drugim za Augusta; i zapytawszy siebie, czy w partyzanckiej wojnie jaką w 1703 i 4 r. prowadzono gdzieniegdzie przeciw Szwedom, nie daje się postrzegać duch co dawniej ożywiał Czarnieckiego i obrońcę Częstohowy? z boleścią odpowiada przecząco; bo niestety w ówczesnych usiłowaniach widzi tylko: „albo objawy fantazyi szlacheckiej, zdolnej, jak tego najlepszym dowodem sam Śmigielski, dobyć jutro korda przeciw Augustowi, jak go dobyła dzisiaj za Augustem, albo fakt obrony domowego ogniska, krwawą burdę o zagrożoną stajnię lub wyprzątaną stodołę.“ Zupełnie słusznie — ale nie przychodzi szanownemu autorowi na myśl, że jedną z głównych tego przyczyn jest o lat kilkadziesiąt odległa data dwóch najazdów; pod wpływem normalnie rozwijających się praw i ustaw naszych, rozszerzyła się przez ten czas jeszcze bardziej prywata. W kilkanaście lat po opowiadanej przez autora epoce, doprowadza ten rozwój do ulegalizowania *liberum veto,* a panowanie drugiego Sasa aż nadto wymowny do tego dostarcza komentarz.

Szanowny autor tym którzy potępiają nieubłaganą opozycyą szlachty przeciw Augustowi II w pierwszej połowie XVIII wieku, przypisuje „aposteryoryczny zapał dla monarchii absolutnej.“ Trudno przypuścić aby który z historyków współczesnych mógł zachwalać rządy nieograniczone, i w ich obronie występować — a trzeba też pamiętać, że szlachta pod *absolutum dominium* rozumiała wszelkie, najmniejsze nawet ograniczenie swojej samowoli, i nie dopuszczała zaprowadzenia żadnej rządowości. Reformatorowie w Polsce w XVIII wieku nie chcieli rządów absolutnych — chcieli naprawy Rzplitej — chcieli rządu, i mieli słuszność.

Przyszliśmy już dzisiaj do przekonania, że potrzebujemy wiedzieć całą prawdę o naszej przeszłości, abyśmy skutecznie na przyszłość pracować mogli; wydanie ścisłego, surowego sądu o instytucyach naszych, jak się w ostatnich dwóch wiekach niepodległego bytu wykształciły, czy też przekształciły, jest najpierwszym tej pożądanej wiedzy warunkiem. W słońcu tych instytucyj, dojrzewały wady naszego charakteru narodowego, pleniły się i rozmnażały, i kiedy już instytucyj nie stało, trwają jeszcze w usposobieniach naszych, trują nieraz obecność i budowę przyszłości oddalają. Obowiązkiem dziejopisarzy jest więc wskazać źródło zła wszelkiego, bo takim tylko sądem uzbrojona historya staje się czem być powinna, *mistrzynią życia*. Sąd surowy wydany na instytucye, złagodzi tem samem i sprawiedliwszym uczyni sąd indywiduów i całych nawet pokoleń. „Prawda że Polacy chcą pokoju, pisał cytowany przez naszego autora poseł duński Meuschen, lecz każdy z nich ma swe osobne widoki, którym dobro publiczne musi ustępować, choćby nawet ze zgubą całego królestwa,“ a opowiedziane przez naszego historyka dzieje, co chwila prawie potwierdzają prawdą tego postrzeżenia. Mając przytomne w umyśle, że szlachcic polski od kolebki słysząc że jest kandydatem do korony, rósł w tém przekonaniu, że królowi nic więcej prócz tytułu na pozwie nie winien, że wszystko się jemu od Rzplitej a jej nic od niego nie należy, że uprawniony jest do wszystkiego się mięszać i o wszystkiem stanowić, a prawie zawsze może być pewnym bezkarności, mniej dziwić się będziemy, że się w nim wysokie o sobie wyrodziło wyobrażenie, że interes jego własny i interes jego bliskich stał mu się najpierwszym na świecie, i potępiając instytucye, mniej surowi będziemy dla samych pokoleń. Myślimy, że gdyby szanowny nasz autor raz zdobył się na stanowcze potępienie tych instytucyj wadliwych, któremi w młodości na chwilę był zachwycony, i gdyby gruntownem nad niemi studyum sąd swój historyczny zaostrzył, podniósłby niezmiernie wartość swojej poważnej i pełnej zalet pracy, i nadał jej prawdziwą doniosłość, samemu zaś sobie i czytelnikom nie jedną rzecz daleko lepiej jeszcze rozświetlił.

Pozwalamy sobie mieć nadzieję, że dalsze tomy dziejów Augusta II zbyt długo czekać na siebie nie każą. Kto miał wytrwałość przez tyle czasu szperać po archiwach w Kopenhadze, Stokholmie i Dreźnie, ten pewno studów swoich do dwóch lat nie ograniczył, i musiał obszerne nagromadzić materyały; kto tak przygotowany wziął się nareszcie do pióra, ten już i dalszą epokę znać musi, i chodzi mu tylko o ułożenie tego co w myśli zapewne dojrzało. W interesie historycznego piśmiennictwa naszego, życzymy serdecznie aby tak było, i abyśmy co najprędzej szanownemu autorowi za dalsze tomy dziękować mogli, jak za ten dzisiaj dziękujemy.

Język szanownego autora czysty, jędrny, miejscami ozdobny i silny. Spotkaliśmy jednak kilka wyrażeń które nas zdziwiły; przytaczamy z nich niektóre: np. niema potrzeby grzeszyć trywialnością, *rozpominając* szczegóły z życia Karola XII albo: zgroźliwe dominium absolutum, pospolita bezmyśl, rozczar, wyględująca szlachta i t. p.

Bronisław Zaleski.

Kronika bibliograficzna z r. 1874.

I. TEOLOGIA I PISMA RELIGIJNE.

Encyklopedya kościelna ks. Michała Nowodworskiego podług teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego, z licznemi jej dopełnieniami (całość tomów 14). Tom III. Warszawa. Nakładem Przegl. Kat. 1874, str. 688. 8vo, cena 14 złp. 20 gr.

Grabowski ks. German. Pamiątka z Łagiewnik z Nowenną do Śgo Antoniego. Warszawa, drukiem Czerwińskiego i Spółki. 1874, str. 108, 16mo, cena 1 złp.

Grzesznik do Boga, czyli sposób utrzymania grzesznego człowieka w należytych uczuciach ku Bogu i Świętym. Książka do nabożeństwa dla wszystkich stanów. Pelplin, nakładem Jana Nepomucena Romana. 1874, str. 478, 24to, cena 10 sgr.

Honorat O. Kapucyn. Nabożeństwo Wielkopostne, zawierające sześć odmiennych sposobów odbywania drogi krzyżowej, na sześć tygodni Wielkiego postu, Gorzkie Żale i różne pieśni pobożne przez wiernych w tymże czasie najwięcej używane. Warszawa, drukiem Jaworskiego Jana 1874, str. 178, 16mo, cena 2 złp.

Kegel T. ks. Dziennik z Pielgrzymki do Ziemi Św., spisany w Gąsowie 1873. Pelplin, nakł. Jana N. Romana 1874, str. 405, 24to, cena 14 sgr.

Kożuchowski Antoni ks. Nauki Majowe ku czci Niepokalanej Boga Rodzicy, miane w Żytomierzu. Warszawa, nakł. Glücksberga, 1874, str. 116, 8vo, cena 3 złp. 10 gr.

Krechowiecki ks. A. Nauki niedzielne Skład apostolski, według ewangelii i Ojców Kościoła. Część I. Lwów. nakł. Autora, 1874. str. 411, 8vo, cena. 2 złr.

Ligury ks. Alfons. I. Moc Męki Zbawiciela ku rozpaleniu serc wiernych.

II. Słodkie rozmyślanie pod krzyżem duszy miłującej Boga. Tłum. ks. Deloni. Poznań. nakł. Daszkiewicz Tytus. r. 1874, str. 23, 16mo, cena 3 sgr.

Majcherski ks. M. Katechizm do zrozumienia dla dzieci wiejskich sposobiących się do pierwszej spowiedzi i Komonii św. Warszawa, 1874, str. 116, 16mo. cena 10 kop.

Mszał Rzymski. dla użytku wiernych, obejmujący całoroczne nabożeństwo poranne przekład z łacińskiego. Wydanie dla mężczyzn i dla kobiet. Kraków, druk. L. Paszkowskiego, 1874, str. 1388 12mo, cena 4 złr.

Nobożeństwo, do Najśw. Serca Jezusa i do Najdroższej krwi Jego. Wrocław, 1874, str. 108. 8vo, cena 4 srg.

Nabożeństwo do Najśw. Panny Maryi nieustającej pomocy. Wrocław, 1874, str. 80, cena 3 srg.

Ołtarzyk żałobny. Zbior nabożeństwa za umarłych na dni powszednie i uroczyste oraz wszelkie obchody żałobne. Warszawa 1874. str. 300, 32a, cena 4 złr.

Rusbrok przedziwny. Tłum. X. W. P. Lwów nakładem tłumacza, 1874, str. 305, 32. cena 1 złr.

Segur ks., Jezus Chrystus. Kilka uwag nad osobą, życiem i tajemnicą Chrystusa podług 16go wyd. franc. Kraków, nakł. Dr. Wł Miłkowskiego, 1874, str. 225 8vo, cena 1 złr.

Serdeczne modły, czyli Nabożeństwo dla prawowiernych katolików. Wrocław 1874, str. 330, 8vo, cena 10 sgr.

Skarby niebieskie, czyli książka do nabożeństwa dla wszystkich katolikow wydał F. R. Wrocław. nakł. Adertolz, 1874, str. 352 16mo. cena 15 sgr.

Ulanecki ks. Stanisław. Miesiąc Czerwiec poświęcony czci najsłodszego serca Pana Jezusa, wydanie szóste poprawne, Warszawa nakł. Langie, 1874, str. 357, 2 tabl., 8vo, cena 50 kop.

Wichert ks. Michał Ignacy. Nauki katechizmowe na trzy części podzielone. Pelplin nakł. Roman. 1874, 8vo str. 640, cena 3 tal.

Wliczek J. ks. Rocznik drugi kazań niedzielnych na cały rok. Kraków, 1874, str. 317 8vo.

Wł. M. Wierzyć? czy nie wierzyć? Kraków, nakładem Dr. Wł. Miłkowskiego, 18v4, str. 38, ı6a, cena 10 cnt.

Wykład godzinek o Niepokalanem Pocz. Najśw. P. Maryi. Wrocław, nakładem Goerlicha, 1874, str. 351, 16a, 1 rycina, cena 12 sgr.

II. HISTORYA I UMIEJĘTNOŚCI POMOCNICZE.

Akademii umiejętności w Krakowie wydawnictwa:

1. Wydawnictwa komisyi historycznej:
   a) Starodawne prawa polskiego pomniki. T. III. (jako dalszy ciąg tomów I. i II., wydanych w r. 1856 i 1870 przez Ant. Zygm. Helcla): Correctura statutorum et consuetudinum regni Poloniae, anno MDXXXII decreto publico per Nicolaum Taszycki et socios confecta. Ex rarissima editione authentica opera Michaelis *Bobrzyński* nunc iterum edita. Kraków, 1874, str. 288, 4to, cena 5 złr.
   b) Scriptores Rerum Polonicarum (Pisarze Dziejów Polskich). T. II. Kroniki Bernanrda Wapowskiego z Radochowiec, kantora katedralnego krak. Część ostatnia, czasy podługoszowskie obejmująca, 1480—1535. Z rękopismu będącego własnością hr. Wiktora Baworowskiego wydał życiorysem Wapowskiego i wyjątkami z spółczesnych historyków objaśnił Dr. J. *Szujski*, c. k. prof. hist. pol. na Uniw. Jag. Sekr. gen. Akademii Um. Kraków, 1874, str. 364, 8vo, cena 3 złr.
2. Pamiętnik Akademii umiejętności w Krakowie. Wydziały filologiczny i historyczno-filozoficzny. T. I. zawiera: 1) Dr. Zygmunt *Samolewicz*: Studya platońskie. I. Hippias większy. — 2) Maurycy hr. *Dzieduszycki*, członek zwyczajny akademii: Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi. — 3) Dr. Wojciech *Kętrzyński*, korespondent akademii: O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich. Studyum historyczno-etnograficzne. — 3) Dr. Zygmunt *Węclewski*, człon. zwycz. akademii: O poezyach Andrzeja Krzyckiego. Kraków, 1874, str 250, 4to, cena 6 złr.
3. Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego akad. um. Tom I. Kraków, 1874, str. 314, LXXXVIII, 8vo, cena 3 złr.
4. Rocznik zarządu akademii umiejętności w Krakowie. Rok 1873. Kraków, 1874, str. 192, 8vo, cena 1 złr. 50 kr.

Boniecki Michał. Szkice historyczne. Książęta szlązcy z domu Piastów, przyczynek do historyi rodzin panujących w Polsce zebrane i ułożone przeważnie z niemieckich źródeł. Część III. od 1610—1675. Warszawa, druk. Bergera J. języku str. 108, 8vo, cena 6 złp.

Brafmann. Żydzi i Kahały. Dzieło wydane w języku rosyjskim w Wilnie w r. 1870 przez żyda przechrzczonego na język polski, przełożone i przerobione przez K. W. Lwów, nakładem Dobrzańskiego i Gromana, 1874, str. 156, 8vo, cena 1 złr. 50 kr.

Genty Ach. Mitologie i Religie. Tłomaczył Józef *Siellawa*. Lwów, nakładem A. J. Rogosza 1874, str. 210, 12o, cena 80 kr.

Guthe H. Geografia powszechna z 43ma drzeworytami w tekście. Przekład z drugiego wydania 1872 r., porównany z trzeciem z 1874 r., pomnożony oryginalną pracą odnoszącą się do Słowiańszczyzny. Warszawa, nakładem Orgelbranda. 1874, str. 112, 8vo, cena 24 złp.

Hirschberg Dr. Alex. O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza 1485—1545. Lwów, nakł. autora, 1874, str. 132, 8vo.*

Kantecki Klemens. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły. Opowiadanie historyczne. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta 1874, str. 99, 8vo, cena 1 złr. 20 kr.

Kruczkiewicz Dr. Bronisław. Rozprawa o cenzurze Apiusza Klaudyusza Ślepego (312--308 przed Chr.), oparta na materyale czerpanym ze źródeł rzymskich i greckich. Odbicie z pisma: „Sprawozdanie Dyrektora c. k. Gimnazyum Św. Anny w Krakowie. Kraków, nakł. autora 1874, str. 71, 8vo, cena 50 kr.

Kunasiewicz Stanisław, Przechadzki archeologiczne po Lwowie. Lwów, druk. Zakładu Ossolińskich, 1874, str. 54, 8vo, cena 1 złr.

Kunasiewicz, Zajęcie Rusi, Utrata tejże i ponowne przyłączenie do Polski. Ustęp z Przechadzek Archeologicznych po Lwowie. Lwów, Druk. Związkowa, 1874, str. 22, 8vo cena 50 kr.

Kraszewski J. I. Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studya do historyi ducha i obyczaju T. II od r. 1788—1791. Poznań, Żupański druk. I J. Kraszewski 1874. str. 447, 8vo, cena 3 tal. 10 sgr.

Lubbock Joh. Początki cywilizacyi. Stan pierwotny człowieka i obyczaje dzikich spółczesnych. Tłum. z francuzkiego drugiego wydania przez B. i Z. Warszawa 1874 r.. 3 tomy razem 16a cena 1 rubel.

Maciejowski W. A. Historya włościan i stosunków politycznych społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych, aż do drugiej połowy XIX w. Warszawa 1874, str. 409, 8vo, cena 2 rsr.

Pawiński. Serbia. Zarys historyczno-etnograficzny. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1874, str. 119. 8vo, cena 6 złp.

Siennicki Stanisław. Les elzevires de la bibliothèque de l'Université impériale de Varsovie. Warszawa, druk. Wieku, 1874, str. 221, 8vo, 21 tablic, cena 16 złp.

Szymański, Statystyka ludności polskiej pod zaborem Pruskim. Poznań. Nakł. Leitgeber. 1874. str. 26, 8vo, cena $7\frac{1}{2}$ sgr.

Walewski Cypryan. Marcin Kromer, Warszawa. Nakł. autora. 1874, str. 221; 100, cena 12 złp.

Wdowiszewski W. J. Kobieta w historyi sztuki. Poznań. Nakł. Tyg. Wielk. 1874, str. 107, cena 6 złp.

Wołyński Artur. Kopernik w Italii czyli dokumenta italskie do monografii o Koperniku. Poznań. nakł. Tyg. Wielk. 1874. Część II. str. od 291—400, 8vo, cena 6 złp.

Żuliński Dr. Nasi uczeni. Lwów, 1874. Nakł. Gazety Nar., str. 95, 16mo. Cena 80 kr.

Załęski X. Czy Jezuici zgubili Polskę. Wydanie drugie poprawne. Lwów. Nakł. autora 1874. str. 493, 8vo, cena 3 złr.

Załęski X. Historya zniesienia zakonu Jezuitów w Polsce i zachowania go na Biało-Rusi. Lwów. Nakł. autora. 1874. str. 390, cena 3 złr.

III. PRAWO, PISMA I BROSZURY POLITYCZNE.

Biblioteka umiejętności prawnych. Warszawa, nakładem Red. 1873—1874. *Serya I.*

a) Przepisy o hipotekach czyli Wykład prawa hipotecznego obowiązującego w Królestwie Polskiem przez Ksaw. *Józefowicza* dla byłych kursów prawnych przygotowany i przez St. Zawadzkiego przejrzany i poprawiony 1873, str. 261, 8vo, cena 2 rsr.

b) Zasady kodeksu Napoleona w związku z nauką i jurisprudencyą, przedstawione przez J. I. *Delsola*, Dra praw, adwokata przy sądzie apelacyjnym w Paryżu Przekład dopełniony pod redakcyą Mścisława *Podlewskiego*, według drugiego wydania francuzkiego 1873, str. 497, 8vo, cena 4 rsr.

c) Wykład postępowania karnego niemieckiego Dra Alberta *Zachariae* przełożył *Mikulski* Leopold. 1874, str. 250, 8vo, cena 15 złp.

Bobrzyński Michał. O dawnem prawie polskiem, jego nauce i umiejętnem badaniu. Odbitek z pisma „Niwa.“ Warszawa. 1874, str. 87, 3vo, cena 3 złp. 10 gr.

Dutkiewicz Walenty. Zbiór praw sądowych, przez exkanclerza Andrzeja ordynata Zamoyskiego ułożony i w r. 1778 drukiem ogłoszony; a teraz przekowany z domieszczeniem źródeł i uwag tak prawoznawczych jak i prawodawczych. Warszawa, drukiem Orgelbranda 1874, str. 964, 8vo, cena 33 złp. 10 gr.

Jeleński Jan. Nasz świat finansowy. Warszawa, drukiem Opieki Domowej, 1874, str. 36, 16, cena 1 złp. 20 gr.

Kasparek Franciszek Dr. Usiłowania najnowsze około reformy prawa międzynarodowego. Kraków, drukiem L. Paszkowskiego, 1874, str. 75, 8vo, cena 1 złr.

Kasznica Józef. Kilka uwag z powodu niektórych pism filozoficzno-prawnych, wydanych w ostatnich latach. Warszawa, odbicie z Gazety Sądowej, 1874, str. 67, 8vo, cena 2 złp.

Kwestya społeczna zjednoczenia. Rzecz ofiarowana Towarzystwu przyjaciół pokoju. Lwów. Druk. Dziennika Polskiego. 1874. 8vo str. 52. Cena 50 kr.

Limanowski Bolesław. Dwaj znakomici komuniści: Tomasz Morus i Tomasz Kampanella i ich systematy: Utopja i państwo Słoneczne (studyum socyologiczne). Lwów. Nakład. Gubrynowicz i Schmidt. 1874, str. 175, 8vo. Cena 1 złr. 50 kr.

Piętak Dr. Leonard. O towarzystwach zarobkowych i gospodarczych według ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 z uwzględnieniem odnośnych ustaw w Niemczech obowiązujących. Wykład systematyczny. Lwów. Nakł. autora. 1874, str. 235 8vo. Cena 2 złr.

Prawa i obowiązki sędziów przysięgłych w Austryi w sposób przystępny wyłożone z dołączeniem najważniejszych przepisów nowego postępowania karnego, tyczących się ławy przysięgłych. Zestawił A. U. Lwów. Nakł. Richter. 1874, str. 112, 16mo. Cena 60 kr.

Prądzyński Edward. Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie. Prelekcya publiczna w Warszawie 1874. Nakładca Glücksberg. 8vo, str. 63. Cena 2 złp.

Till Dr. Ernest. Ustawa z dnia 20 marca 1874 względem założenia i wewnętrznego urządzenia ksiąg hipotecznych (gruntowych) dla królestwa Galicyi i Lodomeryi etc. Lwów. Nakł. Seyfarth i Czaykowski. 1874. 16o, str. 191. Cena 80 kr.

IV. FILOZOFIA I KRYTYKA.

Libelt Karol. Filozofia i Krytyka. Tom I. Samowładztwo rozumu i objawy fiłozofii słowiańskiej. Drugie wydanie tom I. Część krytyczna. Poznań, nakładem Żupańskiego, 1874, str. 248, 8vo.

Ochorowicz Julian. O zasadniczych sprzecznościach, na których się opiera cała nasza wiedza o wszechświecie. Odczyt publiczny miany w Warszawie dnia 29 października 1873. Lipsk, drukiem Metzgera i Wittiga, 1874, str. 34, 8vo, cena 2 złp.

Lemcke Karol Dr. Estetyka podług czwartégo wydania oryginału niemieckiego tłom. Zawadzki. Lwów. Nakł. Gubry-

nowicz i Schmidt. 1874. T. I 217 str., T. II 307 str., 8vo. Cena 6 złr.

Pawlicki S. Dr. Mózg i dusza. Wyd. drugie poprawne i powiększone. Kraków. Nakł. Wł. Miłkowskiego. 1874. 16mo. Cena 50 kr.

Wundt W. Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej. Zasady psychologii. Tłomaczył Masłowski. Kraków. 1874. T. I str. 557.

V. PEDAGOGIA I SZKOLNICTWO.

Benoni Karol Dr. Rys geografii i historyi powszechnej dla wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej. Tom I. Z. 1. Lwów, Karol Wild, 1874, str. 112, cena tomu 2 złr.

Borkowska A. z R. Powieści i opowiadania dla młodego wieku z 4 rycinami. Warszawa, drukiem Gazety Lek., 1874, str. 287, 8vo, cena 6 złp. 20 gr.

Borkowska A. z R. Marya Klementyna Sobieska. Opowiadanie poświęcone młodemu wiekowi. Warszawa, drukiem Gaz. Lek. 1874, str. 127, 12, cena 4 złp.

Borkowska A. z R. Wakacye Janka i Zosi. Opowiadania o znakomitych wynalazkach przemysłu i sztuki, cudach przyrody i wypadkach codziennego życia z 47 rycinami. Warszawa, drukiem Gaz. Lek., 1874, str. 248, 12, cena 6 złp.

Campe J. H. Robinson Cruzoe. Przekład z niemieckiego. Warszawa, nakładem Glücksberga, 1874, str. 81, 4to, rycin 6 kolor., cena 6 złp.

Castillon A. Po szkolnym roku. Powieść naukowa dla dzieci, przetłómaczył Chęciński Jan. Warszawa, nakładem Sennewalda, 1874, str. 335, rycin 37, cena 8 złp.

Chmielewski J. Grzecznym dzieciom na wiązanie. Opowiadania, wierszyki i powiastki przez J. Chmielewskiego, K. Wojciechowskiego, A. Ślędzińskiego i Pannę J. S. Kraków, nakładem Korneckiego, 1874, str. 80, 16, cena 25 kr.

Dzieduszycka A. Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1874, str. 335, 8vo, cena 9 złp.

D......a Zofia. Pamiętnik Ewuni. Warszawa, nakładem Red. Kron. Rodz., 1874, str. 146, 12mo, cena 4 złp.

Hoffmannowa. Druga książeczka Helenki. Powieści dla dzieci poczynających już czytać gładko. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1874, str. 122, rycin 8, 12mo, cena 5 złp.

Dziekoński T. Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauki. Nakładem Ungra i Bauerskiego, 1874, str. 249, 16, cena 2 złp.

Falkiewicz Lucyan. O poznawaniu temperamentów dzieci w zastosowaniu do wychowania, dla rodziców, opiekunów, wychowawców i nauczycieli szkół ludowych. Kraków, nakł. A. Nowolecki, 1874 str. 129, 8vo. Cena 1 złr.

Gerstäcker Fryderyk. Mały poszukiwacz złota w Kalifornii. Opowiadanie dla młodzieży. Przekład z niemieckiego Stan. Miłkowskiego. Warszawa, nakł. Sennewald, 1874, str. 328, rycin 6, 8vo. Cena 8 złp.

Gregorowicz J. K. Pierwsza książeczka na gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich. Warszawa, nakł. Red. Przyj. Dzieci, 1874, str. 134, 16mo. Cena 2½ złp.

Jawurek Józef. Seminaryum Sądeckie a c. k. inspektor szkolny St. Olszewski. Kraków, nakł. autora, 1874, str. 112, 8vo, cena 1 złr.

Jerzykiewicz Bolesław. Botanika dla niższych i średnich klas gimnazyalnych i realnych. Poznań, nakł. Żupański, 1874, str. 228, 8vo Cena 1 talar.

Jeske August. Geografia Kurs I dla dzieci od lat 9—12, Warszawa, nakł. aut. Stan. w Lublinie, 1874, str. 132, figur w tekscie 12, 8vo. Cena 3 złp.

Kawczyński Max. Listy pedagogiczne z wystawy powszechnej wiedeńskiej. Lwów nakł. Tow. pedagog. 1874. Zeszyt I str. 55, 8vo. Cena 50 kr.

Kuczyńska Joanna. Myśli o edukacyi kobiet. Warszawa druk. Gaz. Lekarska. 1874, str. 64, 8vo. Cena 2 złp. 20 gr.

Kudasiewicz Adolf. Kurs początkowy nauki języka polskiego. Warszawa Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 115, 16mo. Cena 3 złp

Leja Emilja. Fantazya i Prawda. Kilka nowych powieści poświęconych dla młodocianego wieku. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 167, 12mo, Cena 6 złp. 20 gr.

Mace Jan. Powiastki dla małych czytelników. Tłom. Chęciński J. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 256, 8vo. Cena 6 złp. 20 gr.

Nowakowski Franciszek Dr. Jak niemieccy pedagogowie polecają przygotowywać dzieci do nauki pisania i czytania. Lwów. Nakł. Towarz. Pedagogiczne. 1874, str. 73, 8vo. Cena 50 kr.

Rymarkiewicz Jan. Wzory Prozy (stopień III) według rodzajów i kształtów chronologicznie z literatury zebrane. — Dodatek zawiera historyą poezyi w okazach. Poznań. Nakł. Żupański. 1874, str. 562. Dodatek str. 191, 8vo. Cena 2 tal.

Rys urządzeń państwowych w Polsce, dla uczni gimnazyów. Pelplin. Nakł. Roman. 1874, str. 96, 32do. Cena 4 sgr.

Sto powiastek dla dzieci. Tłom. J. Chęciński. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874. str. 176, 12mo, z rycinami. Cena 6 złp.

Serwatowski X. Walery. Jak Mama maleńkiego Jasia religii uczyła. Kraków. Nakł. Nowolecki. 1874, str. 23, 12mo. Cena 25 kr.

Starkel Romuald. Dział szkolny na wystawie powszechnej we Wiedniu w 1873 r. Lwów. Nakł. Rogosz. 1874, str. 76, 8vo. Cena 40 kr.

Starkel Romuald. Zacni ludzie. Książka do czytania dla młodzieży. Lwów. Nakład. Karol Wild. 1874, str. 470, 8vo. Cena 1 złr. 60 kr.

Wychowanie domowe. T. I zawiera: Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinnno. Warszawa. Nakł. Red. Opiek. Dom 1874. Tom I str. 143, 8vo. Cena 25 tomów 15 złr.

Żuliński Dr. O znaczeniu astronomii w wychowaniu i jej nauczaniu. Lwów. Nakł. Tow. Pedag. 1874, str. 54, 8vo. Cena 90 kr.

VI. MEDYCYNA, UMIEJĘTNOŚCI PRZYRODNICZE I ŚCISŁE.

Biblioteka 50-tomoma za 6 rsr. Serya II. T. I. *Marrey* E. J. Machina zwierzęca. (Ruch przenośny na ziemi i w powietrzu, z drzeworytami). Przekład W. Niewiadomskiego. Warszawa, nakł. Przegl. Tygod. 1874, str. 112, 8vo.

Biblioteka umiejętności lekarskich. Warszawa, nakładem Gaz. Lek.

T. I. Anatomia opisowa ciała ludzkiego Przekład dzieła: „Lehrbuch der Anatomie v. Hoffmann.“ Erlangen 1870, przez Dr. Kazimierza *Gurbskiego* z 392 drzeworytami w tekście. 1874, str. 811, 8vo, cena 50 złp.

T. II. Chirurgia Operacyjna. Opracowana przez Dra Jana *Kwaśniewskiego* i Dra Józefa *Wszebora* z 414 drzeworytami w tekście. 1874, str. 442, 8vo, cena 28 złp. 10 gr.

T. III. Patalogia i Terapia szczegółowo. — Choroby narządu oddechania (I. Jamy nosowej, II. Krtani i tchawicy, III. Gruczołu tarczowego, IV. Grasicy). Przekład dzieła prof. *Ducheca*, „Handbuch der speciellen Pathologie und Therapie.“ Erlangen 1873, przez Dra Ludwika *Pogorzelskiego*, 1874, str. 210, 8vo, cena 13 złp. 10 gr.

Brodowski Wincenty Dr. Działanie ścieśnionego powietrza na organizm w stanie zdrowia i choroby z 1 ryciną. Warszawa, nakł. Gaz. Lek. 1874, str. 44, 16mo.

Dobieszewski Zygmunt Dr. Medycyna społeczna. Prace komisyi przeciwcholerycznej berlińskiej w r. 1873. Plan poszukiwań naukowych w celu wyśledzenia przyczyn cholery i zapobiegania takowej. Warszawa, nakładem wydawnictwa „Medycyny“ 1874, str. 27, 8vo, cena 20 kop.

Engeström hr. Wawrzyniec. Karol Lineusz. Życiorys z portretem. Warszawa, nakład. Red. Kron. Rodz. 1874, str. 85, 16mo, cena 1 złp. 20 gr.

Flammarion Kamil. Opowiadania o nieskończoności. — Lumen. — Historya komety. — W nieskończoności. Tłumaczenie z francuzkiago Hieronima *Kuczalskiego*. Warszawa, nakładem tłumacza, 1874, str. 342, 16mo, cena 1 rsr. 50 kop.

Hr. S. Jak pielęgnować chorych. Przewodnik lekarski dla Ochronek idomowego użytku. Poznań. nakł. autora 1874, str. 82, 8vo, cena 7½ srg.

Kamiński Antoni Odrowąż. Prawdy wstępne do nauki przyrody. Warszawa, nakładem autora 1874, str. 166 rycin w tekście 45, 8vo, cena 6 złp. 20 gr.

Kramsztyk Zygmunt. Jędrzej Śniadecki. Teorya jestestw organicznych wobec dzisiejszych pojęć o życiu (z portretem Śniadeckiego). Warszawa, nakł. Orgelbranda, 1874, str. 87, 8vo, cena 4 złp.

Krasuski Michał. Rzut oka na układy płanetarne, przyszłość człowieka i ziemi. Lwów, drukiem Dobrzańskiego, str. 63, 3vo, cena 60 kr.

Łuczkiewicz H. Dr. Choroby narządu krążenia krwi (Patologia i Terapia Szczegółowa) Warszawa. Red. Gaz. Lek. 1874. 8vo, str. 248. Cena 13 złp. 10 gr.

Łuczkiewicz, Patologia Ogólna. Przekład dzieła: *Uhle u. Wagner* Handbuch der allg. Pathologie, 5te Verm. Aufl. 1872 i Fr. Hartmann, Handbuch der allg. Pathologie für Aerzte u. Studirende, 2te Aufl. 1871, Warszawa. Nakł. Gaz. Lekarska, 1874, 8vo, str. 946. Cena 48 złp.

Naturalista mały, czyli sposoby zapoznawania się z naturą, streszczenie z niem. przez R. B. 1874. str. 135. Cena 1 rsr.

Oczapowski, Dr. J. B. Wpływ klimatu na państwo Kraków. Nakł. Autora 1874. 8vo, str. 88 Cena 1 złr.

Oppenheimer Dr. L. Wpływ klimatu na człowieka. Warszawa. Nakł. Spółki Wyd. 1874. 8vo, str. 32. Cena 1 złp.

Schoedler Dr. Fryderyk. Astronomia, tłumaczył Wermiński Feliks. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff 1874. 8vo 73 figur, str. 110. Cena 4 złp.

Schoedler Dr. Fryderyk. Botanika, tłumaczył Dr. Feliks Berdan. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff, 1874. 8vo 229 drzeworytów, str. 256. Cena 6 złp. 20 gr.

Schorlemer Karol. Wykład Chemii organicznej czyli Chemii związków węgla. Przekład polski dokonany pod redakcyą Dra Erazma Langera, przez Józ. Boguskiego i Bronisława Znatowicza. Warszawa. Gebethner i Wolff 1874. 8vo, str. 618. Cena 20 złp.

Ślendziński A. J. Poradnik dla urządzających zbiory

przyrodnicze. Kraków. Nakł. W. Kornecki, 1874. 16mo, 9 rycin, str. 99. Cena 40 kr.

Tyndall Jan. Woda i jej kształty i przeobrażenia jako obłoki, rzeki, lód i lodniki. Warszawa. Nakł. Spółka Wyd. 1874. 8vo 26 drzeworytów, str. 210. Cena 6 złp.

Wajgel Leopold. Pajęczaki galicyjskie. Kołomyja. Nakł. autora, 1874. 8vo, str 36. Cena 32 kr.

Zieliński Wł. Krótki rys higienii zębów. Warszawa. Nakł. Red. Opiek. Dom. 1874. 16mo, str. 54. Cena 1 złp.

VII. AGRONOMIA I UMIEJĘTNOŚCI TECHNICZNO-PRZEMYSŁOWE.

Czepiński Michał. O uprawie wina w ogrodach, z 2 tabellami i fig. Warszawa, nakł. Fryzego i Spółki. 1874, str. 83, 8vo, cena 4 złp.

Górski Ludwik. Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem. Warszawa, drukiem J. Ungera. 1874, str. 93, 16mo, cena 3 złp. 19 gr.

Grauven H. D. Praktyczne zastósowanie teoryi żywienia inwentarza z uwzględnieniem miar i wag dziesiętnych. Podał August **Lubowski.** Wydanie drugie poprawione i powiększone. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1874, str. 112,

Henrich Jan. Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa, z 299 drzeworytami w tekście. Podług najlepszych dzieł obcych, z zastósowaniem się do potrzeb i zwyczajów krajowych. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1874, str. 278, 8vo, cena 6 złp. 20 gr.

Jarmund Stanisław. Zasady budowy i utrzymania kolei żelaznych. Tom I. z atłasem, talic XXVI. Lwów, nakładem autora, 1874, str 214, 8vo, cena 8 złr.

Kohn Albin. Fabrykacya krochmalu w gospodarstwie wiejskiem. Lwów 1874.

Księga wynalazków, przemysłu i rękodzieł. Historyczny rozwój ludzkości i środki oświaty. Warszawa. Nakł. M. Glücksberg 1874. T. I 8vo, str. 520, 110 rycin w tekscie. Cena 13 złp. 10 gr.

Nabielak R. Kilka słów o sposobach podniesienia dochodów z pasiek. Lwów 1874. 8vo.

Jelinek, Reforma Sadownictwa, czyli nowy sposób uszlachetniania i chodowania drzew owocowych. Warszawa. Nakł. Kuczalski 1874. 8vo, str. 109. Cena 3 złp.

Rudnicki Tomasz. Obliczenie i odtyczenie łuków dla dróg kolei żelaznych. Kraków. Nakł. Czytelnia Techników 1874. 16mo z 4 tabl., str. 147. Cena 1 złr. 25 kr.

Settegast H. Nauka żywienia domowych zwierząt go-

spodarskich, tłum. z niem. L. Boguski. Warszawa. Spółka Wyd. 1874. 16mo, str. 374. Cena 10 złp.

Słówko o myśliwstwie. Broszura 1sza i 2ga. Brody. 1874. 8vo, str. 24. Cena 50 centów.

Stefan z Bronowa. Opis niektórych wzorowych gospodarstw Flandryi. Poznań. Red. Ziemianina, 1874. 8vo, str. 102. Cena 15 sgr.

Strzelecki Henryk. Gospodarstwo lasowe Cz. I. Użytkowanie lasów. Wykład na kursie leśniczym. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1874. 8vo, str. 199. Cena 1 złr. 70 kr.

Witalisa i Zofia. O pielęgnowaniu kwiatów w pokojach, na balkonach i oknach. Lwów. Nakł. Maniecki 1874. 16mo, str. 62. Cena 40 kr.

VIII. DZIAŁ LITERACKI.

Bałucki Michał. Poezye. Kraków, Red. Kraju. 1874, str. 257, cena 1 złr. 60 kr.

Bełza Władysław. Poezye. Wyd. zupełne. Lipsk, Brockhaus, 1874, str. 273, cena 1 talar.

Berstein A. Feigela Magid, czyli Kobieta kaznodzieją. Obrazek z życia prowincyonalnego żydów. Warszawa, drukiem Lewenthala. 1874, str. 151, 8vo, cena 4 złp. 20 gr.

Brodziński Kazimierz. Pisma. Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopisów staraniem J. I. Kraszewskiego. Tom VII. Synonimy polskie, rozprawy, urywki. Poznań, drukiem J. I. Kraszewskiego, 1874, str. 151, 8vo, cena 4 złp. 20 gr.

Bykowski Jaxy P. Skarby Prababki. Powieść. Warszawa, nakł. Glücksberga. 1874, tom I. str. 164, tom II. str. 189, 8vo, cena 10 złp.

Chotkowski Władysław ks. O Myszeidzie, Ign. Krasickiego. Odczyt z dnia 26 stycznia 1874 roku, w Towarzystwie Przemysłowem Poznańskiem. Poznań, nakładem Żupańskiego. 1874, str. 38, 8vo, cena 7½ sgr.

Czerwieński Bolesław. Kilka uwag nad „Odą do młodości“ Adama Mickiewicza. Lwów, nakładem Tow. Brac. Pom. 1874, str. 23, 8vo, cena 32 kr.

Eljasz Walery. Szkice z podróży w Tatry. Poznań i Kraków, nakładem Red. Tyg. Wielkop. i autora. 1874, str. 182, 16mo, cena 2 złr. 50 kr.

Gąsiorowski Albert. Adam Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz. Tom. I. Wadowice, nakł. aut. 1874, str. 192, 8vo, cena 1 złr. 30 kr.

T. T. J. (Jeża). Hryhor serdeczny. Powieść. Poznań, nakładem Żupańskiego. 1874, str. 200, 8vo, cena 1 talar.

Jeż Teodor Tomasz. Ofiary. Powieść. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. 1874, tom I. str. 240, tom II. str. 310, 16mo, cena 12 złp.

Kirkor A. H. O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich. (Odczyty pucliczne w Muzeum technicznem przemysłowem w Krakowie). Kraków, nakład. L. Paszkowskiego, 1874, str. 356, 8vo, cena 2 złr. 50 kr.

Kolberg Oskar. Krakowiaki i Mazurki z okolic Krakowa. Kraków, nakł. autora. (Odbicie z dzieła: „Lud"). 1874, str. 139, 8vo, cena 1 złr. 40 kr.

Kraszewski J. I. Sieroce dole. Powieść. Warszawa, nakł. Glücksberga. 1874, tom I. str. 286, tom II. str. 122, cena 9 złp.

Komorowski Br Próba ognia. Komedya współczesna w 5 aktach. Lwów. Nakładem Księgarni polsk. 1874. 16mo, str. 134.

Lam Jan. Kroniki lwowskie umieszczane w *Gazecie Narodowéj* w roku 1868—1869, jako przyczynek do historyi Galicyi. Lwów. Nakładem A. J. O. Rogosza. 1874. 3 tomy, 8vo. Cena 9 złr.

Lubowski Edward. Na pochyłości. Powieść. Warszawa. Nakł. Red. *Wieku*. 1874. T I str. 245, t. II str. 379. 8vo. Cena 13 złp. 10 gr.

Łączyński hr. Henryk. Renegat Dramat w 5 aktach. (Biblioteka teatralna lwowska, z. XIV). Lwów. Nakł. Zelm. Igel. 1874. 12mo, str. 87. Cena 40 centów.

Łoziński Władysław. Opowiadania JMCi P. Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardyi koronnej, A. D. 1760—1767. Lwów. Nakł. Sayfarta i Czajkowskiego. 1874. 8vo, str. 313. Cena 1 złr. 8 c.

Meller Zofia. Grochowe wianki. Opowiadanie Warszawa. Nakładem *Opiekuna Domow*. 1874 r. 16mo, str. 194. Cena 3 zł. pol.

Morsztyn Andrzej. Niewydane poezye. Objaśnił wstępem i uwagami Wł. Seredyński. Kraków. Druk. Uniw. Jagiel. 1874. 8vo, str. 144. Cena 1 złr. 20 c.

Mörs Julian z Poradowa. Przeor Paulinów. Dramat historyczny z XVII wieku. Lwów. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 1874. 8vo, str. 144. Cena 1 złr. 40 c.

Nehemar K. Wspomnienia z młodości od 1830—50 r. Tomów 2. Lwów. Nakł. Autora. 1874. 8vo, t. I str. 212, t. II str. 218. Cena 2 tomów 2 złr.

Olejowski Kazimierz. Teresa. Powieść tegoczesna. Lwów. Nakład. Seyfarta i Czajkowskiego. 1874. 8vo, t. I str. 245, t II str. 234. Cena 2 złr. 50 c.

Odyniec A. E. Tłumaczenia: T. I. Dziewica z Jeziora. T. II. Pieśń ostatniego Minstrela, ballady i baśnie. T. III. Korsarz, Niebo i Ziemia, Narzeczona z Abydos. T. IV. Czciciel ognia, Peri i Raj, Dziewica Orleańska. Warszawa. 1874. 12mo, Cena 3 rsr.

Ordon W. Fiołki Nowella. Lwów. 1874 16mo, str. 96. Cena 60 c.

Raniecki Emil. Barbara. Tragedya w 4 aktach. Lwów. Nakł. Autora. 1874. 8vo, str. 161. Cena 1 złr. 20 c.

Verne Juliusz. Podróż do środka ziemi. Warszawa. Nakł. Sikorskiego. 1874. 8vo, str. 352. Cena 5 złp.

Wierzbicki. Gadania Polaków. Zürich. 1874. 8vo, str. 10. Cena 10 sgr.

Wilkońska Paulina. Powołanie. Powieść. Dwa tomy w jednym. Lwów. Nakł. Wyd. Pow. i Rom. 1874. 8vo, str. 388. Cena 2 złr. 40 c.

Wojciechowski K. Wawrzyniec Kaszubski, czyli Kto z Bogiem, Bóg z nim. Poznań. Nakł. X. Bażyńskiego. 1874. 8vo, str. 67. Cena 5 sgr.

Zacharyasiewicz Jan. Szczęście kobiece. Powieść. Lwów. Nakł. Richtera. 1874. 8vo, str. 294. Cena 2 złr. 20 c.

Zbigniew. Rocznica. Powieść T. Iszy. Warszawa. 1874. Cena 1 rsr.

IX. LINGWISTYKA.

Łazarewicz. Słownik do Homera Iliady i przypisywanej mu Batrachomomachii. Poznań. Nakł Merzbacha. 1874. 8vo, str. 366. Cena 2 tal.

Nauka języka angielskiego, według metody Robertsona. Kraków 1874. 8vo, str. 363.

Sławiński Fabian. O głosce i literze *I* wobec zasad pisowni. Warszawa. Red. Kron. Rodzinnej. 1874. 8vo, str. 31. Cena 15 c.